

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 8

JÓZEF WITTLIN

MARIA DANILEWICZOWA

ANTONI SŁONIMSKI

IGNACY WIENIEWSKI

ŁUCJAN ŁAGNIEWSKI

BOLESŁAW POMIAN

EUGENIUSZ CĘKAŁSKI

MARJAN PIOTROWSKI

ADAM PRAGIER

FRANCISZKA THEMERSONOWA

ALEKSANDER PISKOR

STANISŁAW BALIŃSKI

WILLIAM TEMPLE

LONDYN

LISTOPAD

1942

114

PRZYPOMINAMY

O TERMINIE PRZEDPŁATY PRENUMERATY

„NOWEJ POLSKI”

NA NASTĘPNE FÓLROCZE

PUBLISHED BY
NOWA POLSKA
91, GREAT TITCHFIELD STREET,
LONDON, W.1
Phone: MUSEUM 2077-8-9

PRZEDSTAWICIELSTWO
NA U.S.A.
"POLAND FIGHTS"
POLISH LABOUR GROUP
55 WEST 42ND STREET
NEW YORK CITY

W grudniu ukaże się najnowsza książka

MARJI KUNCEWICZOWEJ

p.t.

K L U C Z E

Skład Główny w Administracji „Nowej Polski”
91, Great Titchfield Street, London, W.1

6259/W. 3

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 8

LONDYN

LISTOPAD

1942

JÓZEF WITTLIN

STABAT MATER

*Stała matka bolesciwa — na rynku
Przy snym martwym, powieszonym synku.*

*Po tej ziemi, która umęczona
Stoi — patrzy — i milczy — jak ona.*

*Stała w świata przeraźliwej pustce
Polska matka w służącowskiej chustce.*

* * *

*Nie płakała i nic nie mówiła,
Zimne oczy w zimne zwałoki wbiła.*

*Stabat Mater, Mater Dolorosa,
Gdy jej synów odcinali z powroza.*

*Wisiął bosy, z wszystkiego wyrzuty.
Niemcy przedtem zabrali mu buty.*

*Kładła w groby, głuche jak jej noce, —
Martwe swego ż ywota owoce.*

*Będą w butach jej syna chodzili
Po tej ziemi, którą pohańbili.*

*Stabat Mater, Mater Nostra, Polonia,
Z cierni miała koronę, na skroniach.*

NA SĄDNY DZIEŃ ŻYDOWSKI ROKU 1942/5703!

*Od tylu wieków się toczy gardłowa przeciw nam sprawa
I bez Twojego wyroku odwieczna każn nasza trwa.
Powołaj świadków obrony i niech się skończy ta krwawa
Parodia Sądnego Dnia!*

*Miast pieluch już nam w kołyskach śmiertelne wkładają koszule
Od bicia, bicia się w piersi na kamień stężala nam dłoń.
Jehowo! Zjawn się na Sądzie i wykryj błąd w protokule,
Z nadobłocznego zejdz tronu i sam przed Sobą nas broń!*

*Już pierwsze gwiazdy zabyły na Twoich niebios powale,
Starcy zadęli w rogi — płomienie buchnęły im z bród.*

* * *
*Tyleśmy grzeszeli, co inni in hac lacrymarum valle
Wygnańcy, synowie Ewy, przekleły Kaina plód.*

WSPOMNIENIE O WACŁAWIE BERENCIE

Wacław Berent zmarł w Warszawie dwudziestego Listopada 1940 r.

— „Jedzie Pani? To — dobrze. Ja zostanę. Kiedyś, dawno temu wyjechałem niepotrzebnie z Warszawy. Pewnych rzeczy nie robi się po raz drugi.“ Niski, astmatyczny głos ucichł w telefonie. Zawyły syreny, w sąsiedztwie posypały się szyby, drzwi balkonowe otworzyły się nagle na oścież.

Skończyliśmy ostatnią rozmowę. Potem zatrzasnęły się na zawsze drzwi mego mokotowskiego mieszkania i potoczyło się po wielkich przestrzeniach świata złe życie, życie-zmora. Wiem już, że pewnych rzeczy nie robi się po raz drugi. I że nigdy już nie zobaczę Wacława Berenta.

Wiem o tym od dwu niemal lat, bo wieść o Jego śmierci doszła zwyczajem złych nowin jakoś niezmiernie szybko do alpejskiego miasteczka nad romantycznym jeziorem, po którego brzegach obnosiliśmy nasze tęsknoty, powtarzając słowa, Lamartine'a :

„Ainsi toujours poussés vers de nouveaux rivages,
Dans la nuit éternelle emportés sans retour,
Ne pouvons nous jamais sur l'Océan des âges
Jeter l'ancre un seul jour ?“

Tyłu ludzi odeszło na zawsze. Czas stępił tyle uczuć, powalił tyle prawd i tyłu dokonał przewartościowań. Ale gdy myślę o powrocie do porzuconego lekkomyślnie Miasta, wiem, że brak w nim będzie Berenta.

Dla Ojca mego był on przede wszystkim autorem „Próchna“. Dla mego pokolenia — już raczej autorem „Żywych Kamieni.“ Był nim i dla mnie, póki nie odsonił się nowy aspekt jego twórczości: wspaniała wizja Warszawy Oświecenia, zawarta w „Onegdaj“, w „Nurcie“ i „Diogenesie w kontuszu.“

Berent urodził się i zmarł w Stolicy. Pochodził ze starej mieszczańskiej rodziny, niemieckiego niewątpliwie pochodzenia, związanej z Warszawą od paru pokoleń, od czasów — co najmniej — pradziada pisarza, intendenta Szpitala Ewangelickiego. Warszawa, którą znamy z „Lalki“ była krajem lat dziecińczych pisarza. Jeśli opuszczał ją w latach szkolnych jako uczeń Gimnazjum Górskiego, — to celem wakacyjnych wypraw stawało się klasyczne „letnie mieszkanie“ w Aninie, czy Skolimowie, w zasięgu warszawskiej drożki. We wczesnej młodości uchwycił uważnym okiem wspaniałość sylwety kościoła Panny Marii na Nowym Mieście, zapamiętał wklęsłości wydeptanych stopni, wiodących do czarnych czeluści sieni na Freta, na Wąskim Dunaju, na Rycerskiej, nauczył się odróżniać dzwony staromiejskich kościołów. Doznań tych nie pod-

ważły nigdy długie lata spędzone poza krajem, w niespokojnych wędrówkach wieku męskiego pisarza. Domem mu była zawsze i tylko — Warszawa.

Znał niedostępne dla zwykłych śmiertelników adresy stolarzy, niechętnych, jak i on, nowoczesnym wnętrzem, fornirom i dykcie. Stary powroźnik, gnieźdzący się w pseudo-maurytańskiej wieży na Puławskiej, cenił sobie bardzo jego znawstwo lnu i konopi. Kował-artysta, zaszyty gdzieś w podwórzu starej kamieniczki na Bednarskiej, czy może na Mariensztacie, kuł dla niego cierpliwie i radośnie latarnię i świeczniki.

Wiedział w której z szuflad komody w antykwariacie na Świętokrzyskiej — w drugim pokoju na lewo — znajdzie się zgnieciony i spłowiały, ale taki właśnie, jak trzeba, strzęp tkaniny na pokrycie empirowego krzesła. Z mroku magazynu wynosił na światło dnia, ku słońcu, stare rubinowe szkła, radując oczy kształtem ich i barwą.

Zapominał o astmie, o niedomodze serca i artretyzmie, gdy wdrapywał się po krętych schodkach, w podwórzu na Bagnie i przez ciemne korytarze, przez składy materaców, starych łóżek żelaznych i krzesel „wiedeńskich“ prowadził do wielkiej sali, zastawionej fabrykowanymi raczej współcześnie antykami, by gdzieś w kącie, wśród rupieci, pokazać zniszczoną, ale autentyczną, wspaniałą sekretkę z czasów Księstwa Warszawskiego, z delikatnymi bronzami i labiryntem skrytek, otwierających się tylko wtajemniczonym po wysunięciu jednej, drugiej, trzeciej szufladki. Jakąż radość sprawiały mu te odkrycia! Jak nikt inny umiał godzić ze sobą pościągane ze strychów i antykwariatów stare empiry i ożywiać je dotknięciem książek z epoki albo sztychów w bratnim obramowaniu, okalającym wielkie „N“, i łączyć ich: wiecznie młode piękno z głęboką, prawie czarną czerwienią róż, brudną czochraniną chryzantem i sztywnymi liniami małych dali — pomponów, czy wreszcie — z barwą szlachetnego starego wina, którego jakoś dobrze potrafił oceniać, zrzedząc często na nieboszczyka Kasprowicza, któremu po śmierci nawet darować nie mógł, że mu podle wino pijać kazał.

Krzętał się wśród tych sprzętów, sztychów, książek, tkanin — rad z nowego jakiegoś nabytku — posiwały najpiękniejszą siwizną, starannie wygolony, dbały o nakrycie stołu i dobór potraw. Nie znosił centralnego ogrzewania, nie zdobył się nigdy na kupno radioodbiornika, elektryczność tolerował laskawie. Czuł się najlepiej u siebie, w domu, którego — stary kawaler — jedynym był zresztą mieszkańcem.

Jakże inny był wśród ludzi, w tłumie miejskim: ginął, szarzał, malął, nieufny i osowiały. W długich latach chorowitego żywota nasiąknął gorzkimi truciznami samotności i smak w nich znalazł. Chętnie powtarzał ironiczny finał wiersza Pawlikowskiej:

„Człowiek inteligentny sam sobie wystarcza
I gwizdże na wszystko dokoła, jak wiatr wśród
cmentarza“

i twierdził, że mu z tym dobrze. A przecież cenił sobie — i jak jeszcze — każdy dowód przyjaznej pamięci: kwiat, dedykację książki, list, czy życzenia na dzień św. Wacława.

Kolegów po piórze raczej nie lubił, z żyjących czyniąc wyjątek dla Staffa — z niedawno zmarłych — dla Żeromskiego, którego listy cenił, jak relikwie. Z Miriamem, na którego patrzył poprzez Norwida, łączyły go bliskie i dobre wspomnienia z okresu „Chimery.“ Do Lorentowicza zrażał się i przekonywał na przemian, przypominając Paryż i wspólne w nim pobyty. Ale i z nimi widywał się rzadko. Z domu wychodził niechętnie, skwapliwie odwoływał spotkania pod pretekstem choroby, lub złej pogody. Rad był z otaczającej go opinii dziwaka, ułatwiającej mu „splendid isolation.“ Konspirował numer telefonu, drzwi otwierać pozwalał tylko po serii dzwonek-haseł, w stosunku do dziennikarzy i reporterów zdobywał się na odruchy okrucieństwa.

Raz jeden, skuszony przez Stanisława Michalskiego, gwałt zadał sobie samemu i podjął niewdzięczny trud prowadzenia pisma literackiego. Stworzył „Pamiętnik Warszawski“ i redagował go przez rok, najcięższy, jak powiedział, okres jego życia. Z uczuciem zmęczenia i niesmaku wrócił do samotności odludzia na Wspólnej. Pograżył się cały w badaniu losów Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Okres ten zbiegł się z powstaniem Polskiej Akademii Literatury. Łudził się Berent, że zaród wielkości, tkwiący w pracach dawnego Towarzystwa, ożywi pracę nowej instytucji. Przeżyć wypadło gorzkie rozczarowanie, zmieszane z nieodstępującą pisarza troską o przyszłość kultury polskiej — i nowy powrót do zacisza pracowni i zawsze wiernej samotności.

To, że danym mi było wejść w obręb tego zamkniętego świata i w ciągu lat kilku korzystać z niezasłużonego przywileju Jego przyjaźni, rady i pomocy — stało się za sprawą starych książek i rękopisów, powierzonych mojej opiece w warszawskiej Bibliotece Narodowej. Z zapalem nowicjusza opracowywałam wówczas, przed laty już z górą dwunastu — biografię, „wieszczą Miodoborów,“ „polskiego Werthera“ — Tymona Zaborowskiego, przygotowując się równocześnie do egzaminu magisterskiego „z historii literatury polskiej ze szczególnym uwzględnieniem epoki 1800-1830“ u surowego i wszystkowiedzącego prof. Ujejskiego, najwyższego dotąd dla mnie autorytetu. (Ale i Jego także już zabrakło. A był to nie tylko wielki uczyony, ale i jeden z nielicznych egzemplarzy rodzaju ludzkiego, usprawiedliwiających istnienie człowieka na świecie).

Wypadło więc, wracając do przerwanej wątku, wertować

stare czasopisma, sterty książek i broszur, a także poniektóre rękopisy by zadośćuczynić i wymaganiom Profesora i własnej ciekawości. Mogłam wtedy Berentowi, najnieufniej zrazu usposobionemu do — bibliotekarki, sygnąć z pamięci garścią cytat, danych bibliograficznych i sygnatur i z miejsca pomóc ustalić jakieś dane, dotyczące córki Jana Henryka Dąbrowskiego i jej pamiętnika. „Nurt“ był wówczas na warsztacie.

Niewielu ludzi — w Anglii napewno generał Kukiel — odczuć potrafiło w pełni prawdziwy smak tego arcydzieła. Intuicja wielkiego pisarza, poparta latami przygotowań tak pracowitych i żmudnych, jak te, co dały wcześniej „Żywe Kamienie“, — złożyły się na „niesklamany w niczym“ obraz Polski na przełomie wieku XVIII i XIX — zarania inteligencji polskiej, która od dogorywającego świata szlacheckiego przejmowała trud reprezentacji woli narodowej, by stać się w długim wieku niewoli „naczelnym czynnikiem narodowego rozwoju.“

Pióro Berenta budowało mosty nad faktami, łączyło luźne fragmenty w łańcuch przyczynowy, przywoływało do życia „ludzi starodawnych“, „pogrobowców“ i „odnowicieli“ z kapitalną postacią księdza Jezierskiego na czele. Ponad wszystkimi — z woli i predylekcji autora — dominuje wspaniała postać „Wodza“ — Dąbrowskiego, łączącego z głębokim znawstwem sztuki wojennej — troskę o przygotowanie do pracy w kraju młodzieży legionowej i ochronienia tego „ostatniego pokłosa“ przed „roztrwonieniem do cna dla cudzego tymczasem Marsa i w dodatku na obcej ziemi.“

Jakże to mówił Dąbrowski z Kapitolu, obwieszczając stworzenie Instytutu Naukowego ? :

„W umiejętności zasobni, niosąc prawdziwe i czyste republikańskie serca, gdy do Ojczyzny powrócimy, staniemy się dla niej bardziej użyteczni, niżli dawni bracia nasi, pielgrzymujący po świecie.

A zarazem podamy w ohydę i wytępimy zniewieściałość, marnotrawstwo i rozpustę, jaką ci jaśniepańscy wojażerowie nasi z uciemieniem ziomków ubogich do Polski prowadzali . . .“

Słowa te zabrzmiały mi kiedyś nutą troski najserdeczniejszej i utkwiły w pamięci na zawsze. Dziś — jakże bolesnej nabrały aktualności !

Powróciły przed oczy, krzykiem niemal, w sali British Museum, budząc falę gorącej tęsknoty za utraconym na zawsze egzemplarzem „Nurtu“ z dedykacją autora, za domem, za Mokotowem, za Warszawą . . .

Otworzyłam tom pierwszy na oślep. Dla odmiany pojawił się przede mną, wskrzeszony łaską talentu „śpiewak Justyny“ — Franciszek Karpiński. Latarnik staromiejski wiódł starca na Kanonię na posiedzenie Królewskiego Warszawskiego Towarzy-

stwa Przyjaciół Nauk — ku jego właśnie czci — autora „Kiedy ranne . . .“

Szli „przez zaciszną pańską ulicę Świętojerską od razu w pojazdów i ludzi największy zgiełk i tumult społeczny na ulicy Freta.“ I dalej: „przed wachą Ratusza, omijając starannie niedobre miejsce szubienic, stawianych tu w potrzebie i jeszcze dalej! ulicą Jezuicką, na której, powiadają ludzie, straszy; aż z Bożą pomocą dotarli wreszcie na tyły Fary.“

Z mroku miasta, z black-out'u epoki, nie znającej nawet latarni gazowych wyłaniają się ludzie i Miasto. Oto rozbrzmiewać w nim zaczyna, w pruskiej Warszawie po trzecim wyborze pieśń, która na nowo stała się dziś pobudką bojową: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

„Przywiozła do kraju tę piosnkę, powiadano—pisze Berent—księżna Sapieżyna ze swej podróży do badów karlsbadzkich. W owych czasach, gdy tylko jaśnie państwo przez swe stosunki otrzymywali paszporty na wyjazd za granicę podróżowała księżna nietyle do Karlsbadu co do Drezna —a nie w prywatnych sprawach. Tak czy owak, codzień o porze zmierzchowej, gdy tłumy swym zwyczajem wylegały rojnie na ulicę, uderzała ta Pani w swój szpinet cienkobrzmiący i Amtsmanom na złość śpiewała głosem donośnym piosnkę przy otwartych oknach na Nowy Świat. (W tymże gmachu i bodaj u tychże okien stanął po latach fortepian Szopena i także „sięgnął bruku“).

Sercem stolicy był dla Berenta ten właśnie jej punkt — „Plac Akademiczny“ sprzed stulecia, zbieg Nowego Światu i Krakowskiego Przedmieścia. Różny jednak od obrazu, rysującego się w naszej pamięci, bo zamknięty od strony, Teatru Polskiego nieistniejącą już od lat kilkudziesięciu fasadą Pałacu Karasia. I zapełniony tłumem uczonych członków Królewskiego warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, śpieszących na posiedzenie do Pałacu Staszica . . . Tu właśnie wokół pomnika, który wzniesli „MIKOŁAJOWI KOPERNIKOWI-RODACY“, w murach św. Krzyża, strzegących serca Chopin'a, w perspektywie Krakowskiego Przedmieścia — zbiegały się dla Berenta symbole najpiękniejszych tradycji Miasta. Wskrzesić je chciał i ku nauce współczesnych przypomnieć w ostatnim dziele — testamencie, kreślonym w samotności w ciągu długich lat kilkunastu.

Berent pisał powoli, nie łatwo. Kreślił, przepisywał, zaczynał od nowa. Żartował, że w południe, w jaskrawym świetle dnia, tępic musi gadulstwo wieczoru. Walczył z przymiotnikami, których obfitość i zdrobnienia miał mowie polskiej za złe i których nadużywanie zarzucał Żeromskiemu. Przyznawał się jednak ze skrucą do słabości wobec pseudoklasycznych tworców Dmochowskiego, Osińskiego a nawet Staszica, czy Jacka Przybylskiego, „gromowładnych“ czy „słodkośpiew-

nych,“ tchnących aromatem epoki. Cytował z pamięci długie fragmenty prozy Jana Śniadeckiego, „Barbary Radziwiłłówny“ Felińskiego i „Wiersza do Legiów“ Godebskiego, delektując się ich wspianą polszczyzną. Nie rozstawał się ze słownikiem Lindego.

Pisać zaczynał po długim okresie studiów, ogarniających, poza głównym tematem zainteresowań, szerokie zakresy przygraniczne. W okresie pracy nad „Żywymi Kamieniami“ zgromadził pokaźną biblioteczkę, dotyczącą Średniowiecza, zbiór tekstów literackich z tego okresu (Carmina Burana!) i liczne fotografie rzeźb i zabytków architektury, którą za sztukę najwyższą uważał.

To samo powtórzyło się w okresie powstawania „Nurtu.“ Dzień każdy dorzucał druczek jakiś ciekawy, wyszukany w antykwariacie, sztych czy medal z epoki. Rósł warsztat podręczny, uzupełniany stosami notatek, kreślonych równym starannym piśmem, datującym się z czasów studiów uniwersyteckich z dalekiej dziedziny — biologii. Notaty te, posegregowane starannie, kryły się w szufladach i szafach. Na stole pojawiały się tylko w czasie powstawania rękopisu powieści, by zniknąć po odłożeniu pióra i ustąpić miejsca książce nowej czy czasopismu.

Z odludzia swego śledził bowiem Berent niezwykle czujnie bieg spraw kraju i świata. Stąd głęboka aktualność „Nurtu,“ wskazującego rozlanej szeroko i płytko myśli polskiej czasów naszych, szlak twórczej pracy pradziadów i ich wiecznie żywy testament, potępiający płyciznę dążeń i marnotrawstwo zasobów ducha.

W przyszłość patrzył z niepokojem, przybierającym na sile z miesiącem każdym. Przypominam brzmiącą dziś, jak proctwo, jego analizę elementów naszej przyszłości z długiej dysputy w Orłowie, wobec dalekich świateł Gdańska i szalejącej na Bałtyku burzy — w roku 1938. Liczył siły nasze i wroga, stawiał wielki znak zapytania nad Francją w niezrozumiałej wtedy dla mnie trosce o jej jutro i z Diogenesem się porównywał, szukającym na próżno człowieka wśród pustki słów i mózgów . . . Wiedział, że zbliża się katastrofa i czuł, że nie przeżyje jej nasilenia. Wiedział że, jak w bajce bramińskiej, wspomnianej w „Próchnie“ i powtórzonej wobec purpurowego od błyskawic morza — zbliża się chwila, gdy jego tym razem „ciało przejdzie w ziemię, krew w wodę, mowa w ogień, oddech w wiatru tchnienie, wzrok w słońce, serce w księżyc, dusza — w wszechświat.“ Spokojnie mówił o nadchodzącej śmierci. Ze znanstwem i ciekawością — doktor przecie biologii — obserwował na swym własnym organizmie zbliżanie się końca tak, jak ongiś w latach studiów uniwersyteckich w

Zurichu i Monachium — uchwycić usiłował w pracowni tajemnicę stawania się życia.

Bo ze zdrowiem źle było już przed wojną. Od wielu lat. Wierna gospodyni, pani Hela Piasecka, pielęgnująca z mężem po społu chorego, raz po raz telefonowała, by oznajmić przy-ciszonym głosem, że „Pan miał znowu bardzo złą noc. Astma.“ W mieszkaniu pachniało wówczas ziołami, złe cienie snuły się po pokoju w półmroku przygaszonych świateł. Portret „ojca pisarza,“ arcydzieło Konrada Krzyżanowskiego, wydonywał się z ciemności błyskiem oczu starca, świecących jak próchno. Ulubiony owczarek Białka, leżała u nóg, skręcona w rozumnym zwierzęcym niepokojem. Berent, zmęczony atakiem, tonął ciężko w wolterowskim fotelu, błyskiem oczu podobny do ojca z portretu . . . Zmienionym przez chorobę głosem pytał przecież w najwyższym zainteresowaniu o książki, rękopisy, ryciny. Zapominał o chorobie, pogrążał się w notatkach i cytatach.

I taki mi został przed oczyma. Nad rękopisem dalszego tomu opowieści, pokreślonym, jak balzakowska korekta. W domu na Promenadzie. Dawnym, prawdziwym domu, ciepłym i bezpiecznym, z całymi szybami i sufitem niepopękany od bomb.

ANTONI SŁONIMSKI

LISTOPAD

Listopad złotem liści już park przyozdobił,
Szeleszczą pod nogami — opadają z drzewa.
I jam jest jak te liście, które z kraju mogił
Wicher dziejów po świecie dalekim rozwiewa.

Zawodzi wiatr jesienny, łka między drzewami,
Pieśnią smętną, nużącą dla obcego ucha.
Naszą mową, to znaczy mową tych, co łzami
Wśród grobów błędzącego pozdrawiają ducha.

Kto tęskni do umarłych, żywych oplakuje
I kogo przyjaciele odeszli rówieśni,
Ten tylko w płaczu wiatrów jesiennych zgaduje
Melodię polskich wierszy, smutek polskiej pieśni.

Z DZIEJÓW UEBERMENSCHA I HERRENVOLKU

Biblia narodowo-socjalistyczna „Mein Kampf“, nie jest — jak wiadomo — produktem objawienia. Gobineau (nierówność ras), Machiavelli (amoralność) i Nietzsche (prawo silniejszego i amoralność) pośrednio lub bezpośrednio stali u kolebki natchnień Hitlera. Zwłaszcza autor „Zaratusztry“ był głosem wołającego i słuchanego wśród dżungli germańskiej i prostował ścieżki przed przyjściem wodza III Rzeszy. Czytając dzieła niemieckiego filozofa, a zwłaszcza jego „Wolę mocy“, gdzie teorie Nietzschego zostały wyrażone bodaj najbardziej wyczerpująco, nie można nie zauważyć wyraźnych reminiscencji utworu, którego Nietzsche nie wspomina, ale którego wpływowi uległ niewątpliwie. Jest to dialog Platona p.t. „Gorgias“, znany dobrze autorowi „Narodzin tragedii“, jako wybitnemu helleniście — nie Platonowie — dodajmy od razu dla uniknięcia nieporozumienia — nie Platonowie to poglądy przyjął Nietzsche za swoje, ale poglądy osobnika, którego grecki pisarz wprowadził do swego dialogu, jako właśnie antytezę opinii Sokratesa, to znaczy i swojej.

Przypomnijmy, że „Gorgias“ jest jednym z tych dialogów sokratycznych, w których roztrząsane są podstawowe zagadnienia moralności życiowej. Wprawdzie zasadniczym tematem jest problem, co stanowi bardziej wartościowy cel życia: filozofia czy wymowa polityczna, ale dyskusja schodzi rychło na temat istoty dobra. Co jest dobre (agathon) i sprawiedliwe w znaczeniu moralnym (dikaion)? Jaki człowiek jest dobry i sprawiedliwy? (Rzecz charakterystyczna, że ten ideał etyczny bywa u Platona określanym również jako piękno (kalon); echa tego estetycznego wartościowania w dziedzinie etyki, znamienne dla Greków, odnajdujemy u Nietzschego).

W dialogach sokratycznych oponentem mistrza jest zawsze sofista albo ktoś będący pod wpływem nauki sofistów. Wiemy zaś, że według tej nauki, jak nie ma prawdy bezwzględnej i obiektywnej („człowiek jest miarą wszystkich rzeczy“ — twierdził Protagoras), tak nie ma też bezwzględnego dobra i obiektywnych norm etycznych: dobro jest wartością zmienną, subiektywną, ściśle uzależnioną od punktu widzenia poszczególnych ludzi. Dobre, sprawiedliwe, moralne jest to, co spełnia pragnienia danej jednostki. Stąd wniosek, że lepiej krzywdzić, niż być krzywdzonym — a stąd znowu prosta droga do prawa silniejszego, opartego na amoralności („jenseits von Gut und Böse“), na kulcie pożądań i namiętności człowieka.

W „Gorgiasie“ Sokrates rozprawia się z tymi teoriami. „Bardziej należy się wystrzegać — powiada w ostatnim rozdziale — krzywdzenia niż znoszenia krzywd; — każdy winien nade wszystko dbać o to, by być naprawdę, a nie tylko pozornie, dobrym człowiekiem zarówno w życiu prywatnym jak publicznym. A jeżeli ktoś uczyni coś złego w jakiegokolwiek dziedzinie, powinien ponieść karę. Bo najlepszą rzeczą jest być człowiekiem prawym, ale zaraz drugą po niej jest stać się prawym przez odpokutowanie nieprawości“.

Do tej konkluzji dochodzi Sokrates po długiej dyskusji, przeprowadzonej swą zwykłą metodą dialektyki indukcyjnej. Rozmówcami i oponentami mistrza są kolejno: sofista Gorgias oraz myślący jak on — Polos i Kallikles. Ten ostatni wyraża najjaskrawiej poglądy sofistyczne na etykę. Jest to typowy ateński filister ze schyłku V wieku przed Chr., młody mężczyzna z t.zw. „dobrego domu“, o wykształceniu jakiego wymagał ówczesny „dobry ton“ i zrobienie kariery, coś w rodzaju Podfilipskiego z jego cyniczną filozofią życiową światowca, który „umiał sobie życie urządzić“ — z tą różnicą, że Kallikles jest szerszy i brutalniejszy w swych enuncjacjach od bohatera Weysenhoffa.

I oto, dzięki Platonowi, któremu spodobało się użyć go jako antytezę swej teorii, ten nieznany i antypatyczny osobnik stał się ojcem doktryny, która po 23 wiekach miała zrobić ponurą karierę. Stał się prorokiem Uebermenscha i płowej bestii i Herrenvolku i tym podobnych, dobrze dziś światu znanych, ideałów. Ale oddajmy głos samemu Kalliklesowi, dyskutującemu z Sokratesem. Przytoczę tu wyjątki z rozdziałów 38, 39 (w całości), 40 i 46 „Gorgiasa“, starając się w mym przekładzie oddać grecki oryginał jaknajwierniej :

„Ty, Sokratesie, utrzymując, że poszukujesz prawdy, w rzeczywistości prowadzisz do tych komunałów dobrych dla pospólstwa, które są piękne nie z natury, lecz z konwenansu. A przeważnie prawo natury i prawo konwencjonalne są wzajemnie sprzeczne . . . Mianowicie według prawa natury haniebniejsze jest wszystko, co jest gorsze, a więc znoszenie krzywd, natomiast według prawa konwencjonalnego haniebniejszą rzeczą jest wyrządzać krzywdy. Gdyż tego rodzaju cierpienie, jak znoszenie krzywd, nie jest godne wolnego męża, ale jakiegoś niewolnika: krzywdzony i znieważany, nie jest w stanie pomóc ani sobie ani nikomu innemu, o kogo się troszczy.

„Swoją drogą według mnie, prawodawcy są ludźmi słabymi, a takich jest na świecie większość. Dlatego układają oni prawa i ustanawiają kryteria pochwał oraz nagan z punktu widzenia własnego i swoich korzyści. Strasząc silniejszych, którzy potrafią osiągnąć nad nimi przewagę, chcą im w tym przeszkodzić i mówię że przewaga i zysk, osiągnięte kosztem innych, są czymś haniebnym i niesprawiedliwym, oraz równoznacznym z wyrządzaniem bliźniemu krzywdy. A uśmiecha im się równość, moim zdaniem, dlatego że są ludźmi lichszego gatunku.

„Z tych właśnie powodów, według konwencjonalnego prawa, dążenie do przewagi nad pospólstwem uchodzi za coś niesprawiedliwego i hańbiącego i nazywa się to czynem występny. Ja zaś sądzę, że sama natura wykazuje słuszność i sprawiedliwość zasady, by człowiek wartościowszy i silniejszy miał przewagę nad marniejszym i słabszym. Rzecz jasna, że sprawa tak się przedstawia w przeważnej ilości wypadków, zarówno u zwierząt jak u ludzi, w odniesieniu do państw jak do szczepów : wszędzie o tym, co słuszne i sprawiedliwe, rozstrzyga zasada, że silniejszy jest panem słabszego, będąc od niego możniejszy. Bo jakie inne prawo miał Kserkses do wyprawy na Grecję albo jego ojciec — do wyprawy na Scytów ? Można przytoczyć tysiące tego rodzaju przykładów. Moim zdaniem, zdobywcy działają na zasadzie istotnej sprawiedliwości i istotnego — na Zeusa — prawa natury a chyba nie na podstawie tego prawa, które my ustanawiamy sobie sami, kiedy urabiamy na swój sposób charaktery najwartościowszych i najsilniejszych spośród nas : a zabieramy się do nich mianowicie od dzieci i nakładamy na nich jarzmo, paraliżując ich wolę, jak zaklinacze poskramiający lwy, tumaniąc je czarami ; wpajamy w nich przy tym, że muszą poddać się zasadzie równości, która jedynie rzekomo jest szlachetną i sprawiedliwą.

„Ale myślę, że jeżeli znajdzie się mężczyzna z odpowiednim charakterem, wówczas strząśnię z siebie to jarzmo przesądów, rozerwie tę obróżę, ucieknie z tej niewoli, zdepcze bezduszne litery naszych praw, czary i zamawiania zaklinaczy, wszelkie ustawy sprzeczne z naturą — i oto powstanie groźnie nasz niewolnik i ukaże się jako władca ! I wtedy sprawiedliwe prawo natury zajaśnieje pełnym blaskiem.

„Zresztą i Pindar zdaje się jasno wyrażać moją myśl w odzie, w której powiada, że „prawo jest królem ludzi i bogów“ : i to właśnie prawo — mówi dalej poeta — „przemocną ręką sprowadza i usprawiedliwia największe gwałty : świadczę się czynami Heraklesa, który nie kupił . . .“ — i tak dalej coś w tym rodzaju, bo nie umiem na pamięć tej ody : w każdym razie mówi tam Pindar, że Herakles uprowadził sobie krowy Geryones, nie kupiwszy ani nie otrzymawszy [ich w darze od właściciela, ale w po-

czuciu tego sprawiedliwego prawa natury, na zasadzie którego krowy i wszystko inne, co należy do lichszych i słabszych staje się własnością jednostki wyższej i silniejszej.

„Tak tedy wygląda prawda, a przekonasz się o tym, jeżeli porzucisz wreszcie filozofowanie i przejdziesz do spraw poważniejszych. Filozofia bowiem, Sokratesie, owszem ma swój wdzięk, o ile się nią zajmować umiarkowanie i w odpowiednim wieku. Ale zagrzebywać się w niej ponad potrzebę — toż to zmarnowanie człowieka ! . . .

„. . . Według prawa natury — oświadczam ci to teraz otwarcie — piękno i słuszność widzę w tym, że kto chce żyć w sposób właściwy, winien pozwolić na jak najbujniejszy rozwój swoich żądz, bez poskramiania ich. A kiedy osiągną swą pełnię, oddać na ich usługi całą swą męską energię i inteligencję oraz zaspakając je, dostarczając im zawsze czegoby się tylko pragnęło. Ale do tego, sądzę nie jest zdolny szary ogół. I dlatego ogół gani takich ludzi, bo się wstydzi swej własnej niemocy i skrywa ją; twierdzi więc, że niewstrzemięźliwość przynosi hańbę, a twierdzi tak, bo — jak to już poprzednio zaznaczyłem — chce narzucić jednostkom wyższego gatunku swą wolę, a nie potrafi nasycić swych namiętności; wychwala tedy wstrzemięźliwość i cnotliwą sprawiedliwość przez wzgląd na swą własną niemęską naturę. Gdy zaś ktoś z łaski losu albo przyszedł na świat synem królewskim, albo ma wrodzoną zdolność zdobywania sobie własnymi siłami jakiegokolwiek władzy, czy to absolutnej czy oligarchicznej, dla takich jednostek cóż byłoby haniebniejsze i nikczemniejsze od skromnej wstrzemięźliwości? — dla nich, którzy mimo możliwości pełnego korzystania z dóbr życia bez przeszkody z czyjejkolwiek strony sami dobrowolnie narzuciliby sobie, jako tyrana, prawo ogółu, jego zasady i krytykę! Czyż nie staliby się pod wpływem tego „piękna“ sprawiedliwości i wstrzemięźliwości nieszczęsnymi nędznikami, nie będąc dla przyjaciół swych ani trochę hojniejszymi niż dla wrogów, i to w swym własnym państwie, gdzie sprawują władzę? Ach, Sokratesie, na prawdę, na tę prawdę, której — jak twierdzisz — poszukujesz, rzeczywistość jest oto taka: zamiłowanie w rozkoszach, rozkielznanie i nieograniczona swoboda, o ile ma się możliwość zaspokojenia namiętności, to jest właśnie cnota i szczęście; wszystko zaś inne jest tylko czczym blichтром na pokaz, ludzką umową przeciwną naturze i bezsensowną gadaniną, pozbawioną jakiegokolwiek wartości“.

Nie trzeba długich wywodów, by wykazać, jak bardzo podobne są poglądy Kalliklesa do doktryny Nietzschego. Podobieństwo dotyczy zresztą nie tylko treści. Ten Grecki apologeta „płowej bestii“ i pod względem stylu wyprzedza swego niemieckiego ucznia. Jego potworne teorie mają swój polot, a nawet pewien patos — co prawda, dzięki mistrzostwu Platona. Wspólną cechą (choć u Nietzschego w o wiele wyższym stopniu) jest pewna doza kabotyństwa stosowanego „pour epatér les bourgeois“.

Jak już zaznaczyłem, Kallikles był Platonowi potrzebny w „Gorgiasie“ dla kontrastu z ideologią Sokratesa. Nietzsche, który nigdzie nie wspomina o swym pierwowzorze, zajmuje jednak stanowisko w kontrowersji Sokratesa z Kalliklesem (t.j. sofistami). Staje oczywiście po stronie sofistów, jako tych, którzy zakwestionowali kryteria etyczne: Sokratesa zaś i Platona atakuje za ich etykę, przygotowującą zwalczane przez siebie chrześcijaństwo. Nazywa Sokratesa „moral — maniakiem“ i „bufonem z krwią Voltaire'a w żyłach“, twierdzi, że reprezentuje on moment największej przewrotności w historii wartościowania“ i zarzuca mu to samo, co Kallikles (w innym ustępie „Gorgiasa“): paraliżowanie umysłu przeciwnika przez trucicielską dialektykę. Wreszcie najważniejsze: „Sofiści byli Grekami; gdy Sokrates i Platon wzięli stronę cnoty i sprawiedliwości, stali się Żydami“; wprowadzili obaj do filozofii greckiej pierwiastek rozkładu przez moralność, która była poprzedniczką moralności chrześcijańskiej.

W rzeczywistości sprawa ma się odwrotnie: Kallikles jest anty-Grekiem, ideę zaś helleńską reprezentują właśnie Platon i Sokrates, i to właśnie dlatego, że byli prekursorami chrześcijaństwa. Można tu przypominąć tezę Tadeusza Zielińskiego, że chrystianizm jest kontynuacją religii hellenizmu, która była jego właściwym Starym Testamentem.

Wróćmy jednak do poglądów Kalliklesa, by bliżej zbadać zależność od nich Nietzschego. Dadzą się one ująć w następujący dekalog:

I. Między prawem ludzkim (konwenans) a prawem natury istnieje zasadnicze przeciwieństwo.

II. Natura mówi: inne jest prawo silniejszego a inne — prawo tłumu słabych; pierwsze jest ponad drugim, prawo silniejszego (prawo zdobywców) dotyczy zarówno jednostek, jak zbiorowisk ludzkich (państw i narodów).

III. Równość jest ideałem słabych, a niewolą silnych.

IV. Natura mówi: dobrem jest to co jest korzystnym *dla mnie* (krzywdzenie innych we własnym interesie). Złem jest to, co jest *dla mnie* niekorzystne (znoszenie krzywd). Oficjalna cnota i etyka jest absurdem sprzecznym z naturą.

V. Prawa i ich moralność są samoobroną słabych przeciw silnym, a prawodawcy są przedstawicielami interesów tłumu słabych, którzy chcą narzucić swą wolę jednostkom silnym.

VI. Człowiek silny, jak szlachetne dzikie zwierze, strząsa ze siebie jarzmo praw i moralności.

VII. Jednostki wyższe mają prawo i obowiązek zaspakajania swoich żądz i namiętności.

VIII. Kryterium, określającym człowieka wyższego, jest zasada arystokratyczna.

IX. Wychowanie nie powinno polegać na osłabianiu silnych charakterów narkotykiem niewolniczej etyki i równości.

X. W życiu jednostki wyższej zainteresowania praktyczne winny górować nad filozoficznymi.

Tych dziesięcioro przykazań Kalliklesa jest jakby kwintesencją podstawowych poglądów Nietzschego. Wszystkie inne były tylko prostymi wnioskami tamtych tez. Filozof niemiecki poszedł jednak dalej. Porównajmy „Wolę mocy“* z poszczególnymi przykazaniami Kalliklesa w „Gorgiasie“.

ad I) Że między umownym prawem ludzkim (nomos) a prawem natury (physis) leży przepaść, ta myśl tkwi u podstawy wszystkich teorii Nietzschego. Jest główną przesłanką amoralności jego doktryny. Stąd postulat zasypania owej przepaści, postulat „naturalizacji etyki“: zamiast konwencjonalnych wartości moralnych żąda Nietzsche uznawania wartości opartych na kryteriach prawa natury.

ad II) Na przykazaniu pierwszym opiera się drugie: istotnym prawem natury jest prawo silniejszego. Tu dochodzimy do rdzenia filozofii Kalliklesa i Nietzschego. Stopień siły — powiada Nietzsche — jest jedynym sprawdzianem, określającym czyjeś miejsce w hierarchii ludzkiej. Ta zasada odnosi się zarówno do jednostek, jak do zbiorowisk ludzkich. Z pierwszego zrodziła się idea nadczłowieka, z drugiego — idea rasy wyższej, narodu panów. „Nie t.zw. ludzkość, lecz nadczłowiek jest celem!“ Jednostki silne i wyższe mają prawo do czynów, które słabym są poczytywane za występki i rozkiełznanie: Stąd apologia Cezara Borgii, który — zdaniem Nietzschego — miał prawo być takim, jakim był. Ale natury nikczemne nie rozumieją wzniesłego egoizmu jednostek wyższych i ich żądz zdobyczy. Nietzscheański ideał tyraństwa prześciga jednak wizję

*Opieram się tu na tym dziele, będącym syntezą filozofii Nietzschego; cytuję według angielskiego: „The Will to Power“ — translated by A. Ludovici, London, Allen & Unwin, 1924 — 2 tomy.

Kalliklesa. To już coś więcej niż uosobione prawo pięści: „tyranizowanie jest znamioną zaletą wielkich jednostek — ogłupiają one ludzi niższego gatunku“. Nic dziwnego: misją owych jednostek nie jest przewożenie masom, lecz używanie ich jako mierzwy niezbędnej do rozwoju własnej potęgi. Cechą kandydata na nadczłowieka jest nieokielznany egoizm i egoizm, zaborczy i drapieżny. „Ego ujarzma i zabija . . . Jest rozbójnicze i gwałtowne . . . Chętnie dałoby życie własnemu bóstwu i widziało całą ludzkość u swych stóp“. „Orły uderzają prosto z góry na dół — szlachectwo duszy przejawia się najlepiej we wspaniałym i dumnym szaleństwie, z jakim atakuje“. Istotą życia i wolności jest wola mocy i panowania nad innymi; nie ma przed człowiekiem innego wyboru, jak być tyranem dla innych, albo być przez innych zdeptanym niczym robak. Co więcej, środkiem, który zapewni silnym jednostkom zachowanie ich mocy, jest pograżenie się w stanie barbarzyństwa. Nietzsche marzy o takich „nowych barbarzyńcach“, „cynicznych zdobywcach“ i pyta: „gdzie są barbarzyńcy XX wieku?“ Niestety, umarł o 39 lat za wcześnie, by ujrzeć ich w całym ich blasku.

Tak wygląda nietzscheańska „wyższa jednostka“, embriion „nadcłowieka“, którego my chętniej nazwalibyśmy podczłowiekiem. Ale z drugiego przykazania Kalliklesa wykluła się u Nietzschego również idea wyższej rasy. Nawołuje on tedy do wypielegnowania rasy panów, nie skrepowanej nakazami niewolniczej moralności, rasy „poza dobrem i złem“. Ma ona nie tylko panować, ale mieć także „własne sfery życiowe“. Czyżby majaczyło się tu już w niemieckim mózgu Nietzschego marzenie o Lebensraumie? Nie jest to pewne. Ale w każdym razie wyobraża on sobie, że taka rasa zdoła wytworzyć ideał państwa. Oto on: „Państwo, czyli zorganizowana niemoralność, jest od wewnątrz — policją, kodeksem karnym, ustrojem, handlem i rodziną; a od zewnątrz — żądzą wojny, potęgą, podboju i zemsty: „To państwo dokonywa aktów gwałtu, których tchórzliwa jednostka nie śmie wziąć na swoją odpowiedzialność. Taka jest u Nietzschego prorocza wizja Herrenvolku i Herrenstaatu, Państwa — Zbrodni. A dalej: „Gdy dana społeczność rezygnuje z wojny i podboju, to znaczy, że wchodzi w okres schyłku: dojrzała do demokracji i rządów sklepikarzy. Ale, co prawda, w większości wypadków zapewnienia pokojowe są prosto środkami usypiającymi“. Wreszcie w związku z tą teorią narodu panów znajdujemy u Nietzschego pewne elementy rasizmu. Chociaż gdzie indziej wypowiada się przeciw nacjonalizmowi i nienawiści rasowej, tu jednak przestrzega wyższe klasy przed mieszaniami swej krwi z krwią klas niższych, gdyż grozi to w drugim lub trzecim pokoleniu zwyrodnieniem: wszystko stanie się motłochem.

ad III) To nas prowadzi do trzeciego dogmatu wspólnego Kalliklesowi i Nietzschemu: idea równości i braterstwa jest bronią słabych przeciw słusznemu wysiłowaniu ich przez silnych. Zasada demokratyczna oznacza władzę ludzi niższych, którzy łączą się przeciw jednostkom wyższym, jest więc sprzeczna z prawem natury i okropna w swych skutkach. Demokracja — to kult stada, a równość oznacza dla typu władczygo — niewolę. Wychodząc z takich założeń, Nietzsche atakuje gwałtownie chrześcijaństwo, widząc w nim słusznym źródło wszystkich teorii o równości społecznej.

ad IV) Dogmat amoralności. Nietzsche poparł tu za Kalliklesem relatywizm etyczny sofistów (moralność jest czymś nieistotnym, pozornym i subiektywnym), mówiąc: „Nie ma zjawisk moralnych; jest tylko moralna interpretacja zjawisk“ — i wystąpił gwałtownie przeciw cnotcie i etyce („występny nałóg, zwany cnotą, jest najkosztowniejszym z nałogów“); „oszustwo zwane moralnością“ i.t.d. Ponieważ, jak twierdził Kallikles, krzywdzenie innych jest rzeczą dobrą, a ponoszenie krzywd — złą, przeto, dowodzi Nietzsche, wszyscy wielcy ludzie byli zawsze zbrodniarzami, a

zbrodnia musi być nieodłącznym składnikiem wielkości. „Pociesza mnie to, że natura człowieka jest zła, a to jest gwarancją jego siły“. Moralność należy zastąpić wolą osiągnięcia własnych celów i prowadzących do nich środków. Altruizm jest niedorzecznością i oznaką degeneracji, a zasada: „nie czyni drugiemu, co tobie nie miło“ — sentymentalnym głupstwem angielskim.

Człowiek dobry — idealny niewolnik. Wielki człowiek jest wolny od jakichkolwiek przekonań; jeżeli sobie na nie kiedy pozwala, są one dlań tylko środkami, ale nigdy im się nie poddaje. W dążeniu do swego celu ma obowiązek posługiwania się zbrodnią, kłamstwem i obłudą, tłumiąc w sobie niskie uczucia litości i sprawiedliwości. „Czyste zło jest jego radością“. Wyższość kultury nad brakiem kultury polega jedynie na większej sumie niemoralności. I wreszcie kwintesencja moralności panów: „typ władcy rozumuje: co złe dla mnie, jest złe samo w sobie“. Nietzsche nie sprzeniewierzył się Kalliklesowi.

ad V) Atak na prawa i ich moralność, jako na środek samoobrony słabych przeciw silnym. Sceptyczny stosunek Nietzschego do praw widzimy np. w przypomieniu zdania pewnego mędrca chińskiego, że gdy potężne państwa chyliły się ku upadkowi, liczba ich praw rosła niepomierne. Tutaj jednak, prócz wpływu Kalliklesa, prawdopodobny jest wpływ Spencera, według którego w idealnym ustroju ilość praw spadłaby do minimum. Specjalnie zaś atakuje Nietzsche prawa ludzkie, jako skodyfikowaną moralność, broniąca ludzi niższych przed „straszными wybuchami mocnego“. Celem zaś moralności umownej jest powstrzymać i zniszczyć wzlot człowieka ku szczytom mocy i chwały; etyka jest więc wyrazem tłumy słabych, którzy walczą z pełnią życia i siły, a jej stosunek do życia jest wrogi. Wreszcie, najwyższym przejawem skodyfikowanej moralności jest religia. Stąd zdecydowanie wrogi stosunek Nietzschego do religii: uważa ją za „szybką instytucję ludzką“, za emanację ducha niewolnictwa. Ze szczególną zaś zawziętością atakuje chrześcijaństwo („wypowiedziałem wojnę anemicznemu ideałowi chrześcijańskiemu“) za jego apoteozę cierpienia, zawartą w Ukrzyżowanym Bogu. I przeciwstawia Chrystusowi Dionizosa, jako bóstwo zmysłowości i okrucieństwa, radosną siłę rodzenia i niszczenia.

ad VI) Człowiek — bestia. Jak wynika z przytoczonego tekstu „Gorgiasa“, gdzie Kallikles parokrotnie porównuje swego nadczłowieka do drapieżnych zwierząt, tutaj właśnie należy szukać genezy nietzscheańskiej „blonde Bestie“. Jest ona dla Nietzschego ideałem jednostki egotycznej i egoistycznej, amoralnej i nie skalanej cnotą, a znającej tylko pojęcia własnego dobra i zła, kierowanej nie przez bóstwo, lecz własnym instynktem i inteligencją. Stąd jednostka wyższa winna kultywować w sobie zwierzęcość, bez której wszelkie „człowieczeństwo“ nie ma wartości. Albowiem „człowiek jest połączeniem potwornego zwierzęcia (Untier) i nadzwierzęcia (Uebertier), a człowiek wyższy — połączeniem potwora ludzkiego (Unmensch) i nadczłowieka „(Uebermensch)“.

ad VII) Pean Kalliklesa na cześć zmysłów i namiętności wywarł na Nietzschego duży wpływ, ale nie całkowity. Różnica polega na tym, że Nietzsche chce zaprząć zmysły i żądze w służbę człowieka, podczas gdy Kallikles oddaje człowieka w ich służbę. Ale rola, jaką im Nietzsche przypisuje, jest olbrzymia. Nad namiętnościami — pisze — należy panować, ale nie osłabiać je lub wykorzeniać. Wrogość wobec zmysłów jest szczytem niedorzeczności. „Człowiek wielki jest wielkim dzięki szerokiej swobodzie, jaką zostawia swoim požądaniom, i dzięki jeszcze większej sile, która umie zaprząć te wspaniałe potwory w swoją służbę“. Obawa przed namiętnościami jest objawem słabości i cechą ludzi moralnych, t.j. słabych. Oni to otoczyli nienawiścią i kłutwą istotne motywy działań ludzkich: popęd płciowy, chciwość, żądze władzy i okrucieństwo — instynkty

najsilniejsze i najnaturalniejsze. Zmysły są w człowieku ważniejszym elementem niż „t.zw. przez współstwo duch”.

ad VIII) „Gdy zaś ktoś z łaski losu albo przyszedł na świat synem królewskim albo ma wrodzoną zdolność zdobywania sobie władzy własnymi siłami“, przysługuje mu prawo silniejszego — powiedział Kallikles. Tutaj tkwi in nuce owa zasada arystokratyczna, stanowiąca dla Nietzschego kryterium przy określaniu człowieka wyższego. Już u Kalliklesa nie chodzi tu wyłącznie o jednostkę z rodu władców, ale o każdą, która ma w sobie cechy władcze. Albowiem — powiada Nietzsche — wola mocy przejawia się u jednostki najsilniejszej, najbogatszej, najniezależniejszej i najodważniejszej, która umie stosować przemoc, grabież, ujarzmianie, — chociażby na zewnątrz głosiła ideały Ewangelii, humanitaryzmu, demokracji i t.d. Tak wygląda w oczach Nietzschego ideał arystokratyczny, stanowiący przeciwieństwo ideału stada, t.j. demokracji. W każdym jednak razie arystokratyczne pochodzenie polskie, z którego Nietzsche tak był dumny, sprawiło, że jego „wyższy człowiek“ miał w swych żyłach raczej niebieską krew. „Jedynym szlachectwem — czytamy — jest szlachectwo urodzenia i krwi“. Pojęcie „arystokracji umysłowej“ wymyślili Żydzi. Intelkt sam się uszlachca: przeciwnie, do uszlachcenia intelektu potrzeba zawsze jeszcze czegoś: tym czymś jest krew.

ad IX) Powiedział Kallikles: „urabiamy na swój sposób charaktery najwartościowszych i najsilniejszych z pośród nas: zabieramy się do nich mianowicie od dzieci i nakładamy na nich jarzmo, paraliżując ich wolę, jak zaklinacze poskramiają lwy, tumaniąc je czarami: wpajamy w nich przy tym, że muszą poddać się zasadzie równości, która jedynie rzekomo jest szlachetna i sprawiedliwa“. Tę krytykę wychowania moralnego i demokratycznego znajdujemy również u Nietzschego, i to w bardzo podobnej formie: „Człowiek ma jedno straszliwe i podstawowe pragnienie: pożąda potęgi, a ten pęd — zwany instynktem wolności — musi być hamowany najdłużej. Stąd etyka zawsze dążyła instynktownie do wychowania, ujarzmiającego pragnienie mocy: w związku z tym nasza moralność rzuca oszczerstwa na tego, kto chce być tyranem, a gloryfikuje miłosierdzie . . . i ambicję motłochu“. A dalej: „zdrowy i krzepki chłopczyk, zapytany: „czy chcesz stać się cnotliwym?“ — spojrz sarkastycznie, ale zapytany: „czy chcesz być silniejszym od twoich towarzyszy?“ — okaże natychmiast skwapliwą ochotę“. I jak Kallikles mówił o paraliżowaniu woli młodzieży narkotykiem moralności i równości, o wychowawcach — zaklinaczach, tak i Nietzsche pisze o „ludziach otepiałych przez narkotyk moralności, którzy głoszą prawo jednostki do samoobrony“, pisze o etyce, która „sugestionuje czarowaniem“, „paraliżując rozum i wolę“.

ad X) Chłodny stosunek Kalliklesa do filozofii, reprezentującej u niego w ogóle kulturę intelektualistyczną, nie mógł być przyjęty bez zastrzeżeń przez filozofa i stuprocentowego intelektualistę, jakim był Nietzsche. Ale jego wspomniane już marzenia o człowieku — barbarzyńcy, jakim ma być „nadczyłowiek“, apoteoza pierwotności i zwierzęcości „płowej bestii“ są tu znamienne dla Nietzschego oraz dla jego duchowej latorośli, hitleryzmu. Nietzsche wzdycha przecież do upadku całej naszej cywilizacji, byleby z takiego chaosu powstał wielki Tyran.

Tak więc wpływ Kalliklesa, na teorie Nietzschego był ogromny i — nie waham się twierdzić — decydujący. Być również może, że to ubóstwienie siły, kult brutalności i idea woli mocy stanowiły naturalną reakcję kompleksu niższości człowieka chorego i słabego fizycznie, jakim był nieszczęsny filozof niemiecki.

To wszystko jednak byłoby niezbyt ważne, gdyby cała ta doktryna prawa pięści, moralności murzyńskiej i socjologii dżungli pozostała jedynie na papierze, jako dokument psychiki maniackiej. Stało się atoli inaczej. Trucicielskie ziarno padło na glebę, która przyjęła je chciwie. Albowiem

teorie Kalliklesa i Nietzschego wyrażały atawistyczne, najgłębsze marzenia duszy narodu niemieckiego.

I oto słowo ateńskiego zjadacza chleba, którym Platon posłużył się jako ciemnym tłem, by na nim tym jaśniej zabłysła promienna prawda Sokratesa, słowo pół — obłąkanego myśliciela niemieckiego — stało się ciałem.

Poprzedzony przez owych proroków, zjawił się Antychryst. I wprowadził w życie ponury dekalog Kalliklesa i obłędne nauki Nietzschego. Rzeczywistość europejska stała się koszmarem, a nad światem zawisła groźba upadku cywilizacji, o jakim marzył Nietzsche, prorokując nadejście Wielkiego Tyrana.

Uważam za zbędne rozpisywanie się o podobieństwach między hitleryzmem a przytoczonymi wyżej teoriami. Czytelnik dostrzeże je od razu, znając „Neuordnung“. Ograniczę się przeto do kilku cytata z „Mein Kampf“,* gdzie geneta dywagacji o Uebermenschu i Herrenvolku jest szczególnie wyraźna.

Hitler również uznaje prawo natury, które nie ma nic wspólnego z kodeksem moralności. Prawo to mówi, że w walce o byt jednostki wyższe i silniejsze pokonują słabsze. Tylko silni mają prawo do życia. Słabi winni zginąć. To ocala rodzaj ludzki przed zwyrodnieniem, jest więc dobre i słuszne. Ci, którzy, obciążeni balastem humanitaryzmu, walczą z prawem wyższej rasy, grzeszą przeciw naturze, przeszkadzają postępowi ludzkości i ponoszą klęskę. „Idea pacyfistyczna — humanitarystyczna — zauważa przy tym Hitler — może być doskonałą ideą, o ile najwyższy typ rodzaju ludzkiego zdoła ujarzmić świat do tego stopnia, że stanie się jednym panem na ziemi“. Jak to powiedział pisarz starożytny? „Solitudinem faciunt, pacem appellant“ . . .

Za Kalliklesem i Nietzschem przyjmuje Hitler także zasadę arystokratyczną, która „leży u podstawy wszystkich operacji natury“. Zasada ta odrzuca demokratyczną zasadę rządów mas i stosuje się zarówno do jednostek jak do zbiorowisk ludzkich: zmierza do dania światu najwartościowszego narodu.

Przeciwko prawu równości występuje Hitler również, zajmując się kwestią wychowania (w rozdziale: „Państwo“). Jak obaj jego poprzednicy, każe rozwijać w młodzieży poczucie siły fizycznej i wyższości nad rówieśnikami, by przeciwdziałać kompleksowi niższości wobec słabszych. W związku z tym stawia na pierwszym miejscu wychowanie fizyczne, odnosząc się, jak jego prorocy, wstrzemięźliwiej do pielęgnowania kultury umysłowej przyszłej „płowej bestii“.

Wreszcie, jak oni, głosi amoralność. Może mniej dosadnie, niż w praktyce hitleryzmu, wyrażone jest to w „Mein Kampf“. Ale i tutaj występuje Hitler przeciw wprowadzaniu do koncepcji państwa kryteriów moralnych. Nic dziwnego. Lekceważenie tych kryteriów, podobnie jak kalliklesową pogardę dla praw, wykazuje Führer w rozkazie wydanym sędziom niemieckim, żeby nie liczyli się z prawami, gdy tego wymaga wyższy interes i wola Wodza. By zaś dopełnić dekalogu Kalliklesa, pielęgnuje w narodzie swym nieokiełznaną zwierzęcość.

Testament Kalliklesa i Nietzschego, wzywający do bestializacji kultury ludzkiej, wszedł w życie. Znalazł się człowiek i naród, którzy podjęli się wykonania tego programu.

*Cytuje według wydania angielskiego: A. Hitler: „Mein Kampf“ — translated by James Murphy — London, Hurst & Blackett, 1942.

GRUDZIEŃ 1939

I.

Gdy żona nareszcie wróciła do domu, była tak skostniała z zimna, że nie była nawet w stanie pokazać swej radości, że oto przyjechałem z powrotem z Warszawy. Wziąłem z jej zsiniałych rąk skarby, zdobyte jej tylko wiadomymi sposobami: odrobinę mięsa, bochenek chleba, paczuszkę soli i blaszankę mleka dla dziecka. Następnie zdjąłem z niej zaśnieżony płaszcz (przydałoby się futro, ale skąd? wszystkie nasze rzeczy pozostały we Francji . . .), znułem jej przewilgocone obuwie, wreszcie postawiłem przed nią kubek gorącej herbaty. Po czym zacząłem opowiadać o stolicy: o zniszczeniach, o rodzinie i o przyjaciółach: tych, co polegli w tych dwóch najstraszliwszych dniach oblężenia, i o tych, co żyli, niepewni jutra. Tak nam minęła na opowiadaniu godzina jedna, druga. Wreszcie zdołałem ze siebie niezgrabnie wykrztusić, że — jeżeli chodzi o mnie, — zdecydowałem się jednak jechać, za kilka dni. Nawet nie powiedziałem, dokąd jechać i po co.

Twarz żony stała się raptem dziwnie szara, spłynęła z niej gdzieś cała zwykła pogoda. Żona spojrzała na mnie jakoś bezradnie i rzuciła: — Jakto? Jechać? Przecie Rataj mówił, żeby zostać? Przecie wiadomo, że Sikorski zakazał? Przecie granica już obstawiona . . .

Pocałowałem żonę i powieciałem, że jechać trzeba. Że Rataj już arystrowany, a o zakazie Sikorskiego nikt nie potrafi powiedzieć co, jak i kiedy. Że jeszcze można przedostać się, póki śnieg zupełnie nie odetnie przejść poprzez Karpaty. Tu siedzieć? Czekać bezczynnie, aż wyłapia i w najlepszym wypadku pognają do obozu? Przecie to nie na długo: z wiosną powrócimy.

Z wiosną . . .

Żona patrzyła w bok, tak jakby w ogóle nie słuchała. Nie odpowiadała, tylko jej wargi kilka razy coś wyszeptaly bezgłośnie, a jej ręka zacisnęła się mocno na moim ramieniu. Uplęła dłuższa chwila ciszy. Aż spoza drzwi usłyszałem, że dziecko przebudziło się: powiedziałem, że idę je uspić — i uciekłem. Bo bałem się, że chwila jeszcze takiej ciszy zmieni i wywróci wszystko, poprzekreśli com postanowił i że zostanę w tym mieszkanku i nie wybiorę się do Francji.

Gdy po jakimś czasie od dziecka wróciłem, żona siedziała schylona nad stołem i cerowała moje pończochy narciarskie. Na drogę . . .

* * *

Na drugi dzień postanowiłem rozmówić się także ze synem. Był to dzień, w którym kończył on trzeci rok swego życia. Dla uświetnienia tej rocznicy bawiłem się z nim w ulubioną przezeń zabawę w kolej, w której ja oczywiście odgrywałem rolę pociągu.

— Odjazd! — pisał zniecierpliwiony pasażer, gdy pociąg przedłużał nadmiernie postój na stacji pomiędzy łóżkiem a oknem. Zwłaszcza, że przecie wiedział, iż zaraz za tą stacją będzie tunel. Tak, tunel, źródło niezwykłych emocyj, gdy w chwili mijania wyłącznika elektrycznego światło w pokoju gaśnie i pociąg mknie poprzez nieprzejrzany mrok, wydając ze siebie od czasu do czasu tęskny gwizd.

Nie było rady: acz zmęczony i zadyszany, pociąg ruszał w dalszą podróż, częściej już tylko zatrzymując się na stacjach i przystankach: koło pieca,

rzy drzwiach, przed oknem. Nie psuło to widać programu podróży, z której mały, mocno uwieszony u mej szyi, ujawniał swe zadowolenie podnieconym posapywaniem.

Ale coś po czterech tunelach i dwunastu przystankach (tudzież trzech katastrofach, z wywracaniem się pociągu, wraz z pasażerem, na kanapę), pociąg zdecydowanie zatrzymał się. Pasażer spojrział na niego z wyrzutem i pochylił główkę, w oczekiwaniu dalszej jazdy. Pociąg już jednak nie ruszył z miejsca: nadszedł moment rozmówienia się.

— Wiesz, pęta, — powiedziałem, patrząc małemu w oczy, — wiesz, papa odjedzie, daleko i na długo. A ty z mamą tu zostaniesz i grzecznie poczekaasz, aż papa kiedyś wróci. . . .

Mały się zastanowił, po czym, przechodząc widać do porządku nad istotną treścią mego oświadczenia, wydał buzię i wygłosił tonem opowieści heroicznej:

— Pojedzie, pojedzie, pojedzie koleją. Papa, mama, i synek. Koleją: fu, fu, fu. . . .

Wtedy otrzymał odpowiedź stanowczą:

— Nie, mama i synek zostaną, i poczekają tutaj. Papa pojedzie sam.

Ale mały wykrzywił usta w niezadowoloną podkówkę i zapiszczał głosiakiem nieuznającym sprzeciwu:

— Nie sam. Papa zabierze mamę i synka. . . .

Po czym, zamykając dyskusję, zakomenderował: — Odjazd!

Cóż było robić? Pociąg znowu ruszył. Wspomnienie nieudanej rozmowy rozwiało się ostatecznie w najbliższym tunelu.

* * *

Przygotowania do opuszczenia kraju rozpocząłem już dawno, w niedługim czasie po owej niedzieli, w której, pokaleczony, obdarty, brudny, powróciłem do żony i dziecka z kampanii, a raczej z tułaczki wrześnieowej. Z początku planowałem maszerować do Rumunii lub na Węgry poprzez okupację rosyjską. Od ludzi wracających spod tej okupacji otrzymałem sporo ważnych wiadomości i wskazówek. Chodziło przede wszystkim o przebycie linii demarkacyjnej, oddzielającej od siebie oba zaborcy; można to było uczynić drogą legalną i nielegalną. Sposoby legalne, zresztą rzadkie, niepewne a nawet czasami ryzykowne, polegały na dołączeniu się do transportów, którymi okupanci wymieniali pomiędzy sobą ludność, którą losy wojny rzuciły poza obszar obecnej okupacji. Z myślą o takich możliwościach zdołałem już zaopatrzyć się w dokument, stwierdzający urzędowo, lecz wbrew rzeczywistości, że przed wojną zamieszkiwałem stale we Lwowie. Zebrałem jednak także starannie wszystkie szczegóły, dotyczące przekraczania granicy okupacyjnej „na zielono“: a więc wynotowałem sobie przejścia graniczne, miejsca których należało się wystrzegać, nazwiska i adresy przewodników, ich taryfy itd. Podobnie ustaliłem sporo nazwisk i adresów ludzi, zamieszkałych po tamtej stronie kordonu, którzy pomagali, lub mogli pomóc w marszu dalszym za granicę. Przygotowania ukoronowałem zdobyciem mapy sztabowej południowych połaci Województwa Lwowskiego; przestudiowałem ją dokładnie, utrwalając sobie w pamięci szlaki kolejowe, drogi, ścieżki górskie, przełęcze: wiedziałem, gdzie się mieści jaka stacja, gdzie wieś, gdzie tartak; gdzie kolejka wąskotorowa przejeżdża przez obszar zalesiony, a gdzie przecina gościniec; do dziś mam przed oczyma rozmieszczenie tych paru osiedli „podejrzanych“, bo o nazwach niemieckich, nasuwających przypuszczenie, że są one zamieszkałe przez kolonistów.

W ostatnich dniach listopada pojechałem na kilka dni do Warszawy, gdzie dowiedziałem się, że z różnych powodów lepiej nie przedzierać się pod zabór rosyjski, lecz maszerować za granicę wprost spod zaboru niemieckiego. Wszystkie więc uprzednie przygotowania okazały się nie-

potrzebne : trzeba było z głowy wyrzucać, co sobie w ciągu tygodni zebrałem i zestawilem.

Musiałem sobie też na świeżo szukać towarzyszy. Zespół młodych ludzi, którzy zamierzali iść ze mną i nawet nalegali, by odmarsz przyspieszyć, rozleciał się pod wpływem pogłosek o rzekomo wydanym przez Rząd Polski zakazie opuszczania kraju lub o faktycznym niepodobieństwie przedarcia się poprzez kordon graniczny. Postanowiłem, że w drodze ku granicy zatrzymam się znowu w stolicy i zestawię tam sobie zespół nowy. Miałem już zresztą zapewniony udział w wyprawie ze strony młodej, wysportowanej pary, ppor. W. i jego żony, medyczki. Kłopot jednak był w tym, że nie mogli się oni udać w podróż pod prawdziwymi nazwiskami, gdyż ich przyłapanie wywołałoby groźne skutki dla ich pozostałej w kraju rodziny. Ponieważ zależało mi bardzo na ich towarzystwie, przeto sprawa „zmiany“ ich nazwiska leżała mi na sercu i snulem rozmaite plany, jak ją urzeczywistnić.

* * *

Dwupiętrowy, stylowy budynek z czasów Księstwa Warszawskiego. Z balkonu zwisa czerwona płachta ze swastyką. Nad bramą duża tablica z czarnym napisem : Polizei.

Przespacerowałem koło tego budynku kilka razy, tam i z powrotem, raz jeszcze przepowiadając sobie obmyśloną przedtem rolę. Upewniłem się ponownie, że w istocie nie mam przy sobie żadnych papierów osobistych ; w razie rewizji znajdą u mnie tylko chusteczkę do nosa i pugilares. . . .

Wszedłem do środka i odrazu skierowałem się na pierwsze piętro. Na schodach minąłem kilku żydów „zarekwirowanych“, może z mieszkań, może z ulicy, do czyszczenia gmachu ; oczy ich wyrażały obłąkany strach, drgające ręce markowały gorliwość, gdy tylko jakiś Niemiec przechodził w ich pobliżu.

Ustawiłem się w ogonku przed jakimiś drzwiami. Tkwiło w nim przede mną dwóch młodzieńców w cyklistówkach, którzy szeptem omawiali argumenty, jakich użyją by odzyskać zabraną im taksówkę ; jakaś starsza, stroskana pani ; wreszcie kilkunastoletnia dziewczyna, z przypiętą do sukni żółtą gwiazdą : odznaką, której noszenie nakazano niedawno żydom ; na widok dziewczyny zatrzymał się kręcący się po kurytarzu szeregowy „Arbeitsdienst“, z opaską „Hilfspolizei“ na ramieniu, i naigrawał się z niej nienajgorszą, śląską polszczyzną.

Przyszła na mnie kolej wejścia do pokoju. Siedział w nim za biurkiem, pod portretem Führera, wysmukły podoficer policji, w zielonkawym mundurze z brunatnym kołnierzem i naszywkami aspiranta oficera ; obok niego siedział cywilny tłumacz z miną „gorliwca.“ Postanowiłem tłumacza o ile możliwości wyeliminować z rozmowy i, zanim zdążył mię zapytać, zwróciłem się po niemiecku wprost do nieruchomego i obojętnego policjanta, tytułując go „Leutnantem.“

Nazywam się Retyński, jestem nauczycielem, z Muszyny. Przybyłem tu z żoną spod okupacji rosyjskiej, dokąd zostałem wyewakuowany w pierwszych dniach wojny. Chciałbym wrócić do siebie, do Muszyny. Rosjanie zabrali mi mój bagaż (wzgardliwa twarz policjanta zdawała się mówić : — co mię to wszystko obchodzi ?). W bagażu tym znajdowały się wszystkie moje dokumenty, wśród nich jeden, na którym mi szczególnie zależało (policjant wzruszył ramionami). Był to dowód nadania mi w roku 1917 jako podoficerowi armii austriackiej, niemieckiego żelaznego krzyża drugiej klasy.

Policjant nareszcie zainteresował się :

— Wo haben sie das E.K. 2 erhalten ?

Na froncie włoskim . . . Jakie dowództwo niemieckie nadało — nie wiem ; ogłoszone było w rozkazie 24 austriackiej dywizji piechoty — odznaczenie i dyplom wręczył mi mój kapitan. Herr Leutnant przecie zrozumie,

że mi na takim dokumencie zależy; na pewno da mi on dzisiaj gewisse Vorrechte. Otóż do kogo mam się zwrócić o wystawienie duplikatu i czy podanie o to mogę skierować za pośrednictwem tutejszej policji?

Niemiec wyjął z ust papierosa, strzepnął z niego popiół i położył go przed sobą. Po czym głosem, który brzmiał jak obwieszczenie urzędowe, jednak nie bez zaprawienia go pewną szczyptą uprzejmości, wyjaśnił że powinienem napisać pod adresem: Kyffhäuserbund, Berlin. Instytucja ta prowadzi ewidencję żelaznych krzyży z poprzedniej wojny i, po sprawdzeniu, prześle mi potrzebne zaświadczenie. Mogę napisać wprost, policja się takimi sprawami nie zajmuje.

Podziękowałem i zabrałem się do wyjścia. W połowie drogi jednak zatrzymałem się:

— Czy Herr Leutnant nie myśli, że jazda bez żadnych dokumentów do mego miejsca zamieszkania może być niebezpieczna? Czy policja nie mogłaby mi dać jakiegoś zaświadczenia, w miejsce dokumentów zatrzymanych przez Rosjan?

Policjant odpowiedział, że nie jest to właściwie potrzebne. Wyczuwając jednak w jego głosie pewne wahanie, ponowiłem mą prośbę: jednak zależałoby mi na tym, by dostać jakiś papier. . . . Co innego, gdybym jechał sam. Ale z żoną i z drobnymi dziećmi. . . . (skąd mi się te dzieci przyplątały? nie było ich w mej roli uprzednio. . . .)

Wiedziałem, że teraz albo usłyszę zniecierpliwione „Raus mit ihnen!“ albo — wygram. Wygrałem. Szalę przeważyl oczywiście żelazny krzyż, którego jako żywo nigdy nie miałem. Policjant kazał cywilowi pisać zaświadczenie: Herr . . . (Bruno Retyński — odpowiedziałem), z żoną, udaje się do . . . Muszyny (Wo ist das? — Niemiec spytał; Wojewodschaft Krakau — wyjaśniłem). Należy go bez przeszkód przepuścić. . . .

Przed oddaniem dokumentu do podpisu, cywil, który już kilka razy próbował wmieszać się do rozmowy, spojrzał na mnie z podejrzliwą niechęcią i zapytał po polsku, czy mam książeczkę wojskową; odpowiedziałem że nie, bo w Wojsku Polskim nie służyłem.

Na to cywil z tryumfem:

— Książeczkę wojskową dostawało się także wtedy, gdy się w wojsku nie służyło.

Struchlałem — strzeliłem oczywiście głuptwo. Najważniejsze teraz, by tamtego znowu nie dopuścić do głosu: wyjaśniłem więc policjantowi po niemiecku, że ten pan pyta o moje dokumenty wojskowe, a przecie już przedtem powiedziałem, że wszystko zabrano mi w Włodzimierzu.

Policjant zachnął się niecierpliwie, podpisał zaświadczenie, przyłożył pieczęć i wydał mi je. Es kostet eine Mark. Zapłaciłem, podziękowałem i wyszedłem, nie bez tego, by nie rzucić cywilowi od drzwi tryumfującego spojżenia.

Zatem posiadałem już dokument dla towarzyszy podróży.

Ale za kilka dni, w Warszawie, tym bardziej byłem wściekły, gdy mi powiedzieli, że jednak nie pojedają ze mną: ona — bo jej matka szaleje na samą myśl o jej wyjeździe; on — bo nie pojedzie bez żony. . . .

* * *

Ostatnie w tym mieście przeżycie, ostatni w tych dwu miesiącach wstrząs, po tylu innych. Po rabunkach sklepów i mieszkań, po wyrzucaniu ludzi z domów, rozpędzeniu szkół, porywaniu dzieci z ulicy, aresztowaniu akademików, nauczycieli, księży. . . .

Idę, w chłodne południe grudniowe, ulicą przy której od czasu inwazji mieści się zarząd miejski. Na chodnikach normalny ruch: ludzie idą za sprawunkami lub przechadzają się. Słychać rozmowy: gdzie można dostać sól, kiedy mija termin wyrobienia sobie książeczek tożsamości, co z węglem, jak przedostać się do Krakowa. Jezdnią suną wielkie, brezen-

tami przykryte samochody ciężarowe wojska, lub człapią nieliczne, jednokonne dorożki.

Wtem rozmowy na chodnikach urwały się, ludzie zaczęli przystawać. Zdawał się słyszeć dziwny szmer. Jakiś z wielu półtonów złożony pomruk. Nie płacz, choć wiało od tego tragicznym napięciem. Jakiś ogromnie smutny tusz, po którym czekało się dramatycznego rozładowania.

Na ulicy ruch zamarł. Pomruk stawał się coraz wyraźniejszy. Jak gdyby ktoś coraz silniej, coraz bliżej przebiegał palcami po instrumencie wielostrunowym.

Środkiem ulicy nadciągała długa, chyba ponad tysięczna, kolumna. Żydzi. Szli czwórkami. Każdy miał głowę odkrytą i obie ręce wzniesione do wysokości łopatek; jedna zaciśnięta w pięść, druga trzymała kapelusz. Na piersiach widniały żółte łaty.

Kolumnę eskortowali czarni SS-owcy. Młodzieńcy, rzadko kiedy ponad 20-letni, o minach wesołych i zarazem okrutnych, bawili się swymi ofiarami, wymachując pejciami. Z zacięciem niemal sportowym wyłapywali każdą nierówność w czwórkach, każdą opieszalność marszu, każde opadnięcie zdrętwiałych rąk. Inni, za kolumną, zabawiali się odpędzaniem kobiet, sunących zbitą masą, zawodzących głośno i usiłujących tu i ówdzie przedostać się do swych ojców, mężów czy synów.

Jak wśród oprawców twarze młode, tak wśród ofiar przeważały twarze stare, zmarszczone, pożółkłe. Twarze proste, rzemieślników i przekupniów, ale często i inteligentne. Czasem były one przeorane śladami świeżych uderzeń. Uwagę moją zwrócił mały, przygarbiony starzec, ze straszliwą raną, od ucha poprzez nos i brodę. Ku starcowi zerkał maszerując opodal, uśmiechnięty hitlerowiec pilnując, by nie ważył zatrzymać się albo poruszyć ręką dla starcia krwi, która z siwego zarostu kapała na jezdnię; lub by nie ośmielił się przestać śpiewać.

Tak, śpiewać. Bo ten miarowy pomruk, przeplatany szlochem kobiet, był jednak pieśnią, nakazaną przez oprawców. . . . Melodią, może nawet wesołą, która w tym wykonaniu zatraciła swą pierwotną nutę, przestała być nawet własną karykaturą: przeobraziła się w coś całkowicie nowego, w pojęk tragicznie męczonej ludzkości, w hymn beznadziei i rozpacz, poprzez który jednak, przetrzała nie tylko nienawiść, ale, i podziemny łomot pomsty, która czeka na swój czas.

* * *

Czwartek, 7 grudnia. Dzień mego odjazdu, na razie do Warszawy. Stamtąd — ku granicy. . . .

Idziemy z żoną na stację. Udzielam jej ostatnich wskazówek: jak załatwić to i tamto; jak gospodarować pieniędzmi jak się dowie, że już, szczęśliwie wyostałem się za granicę. Żona słucha, czasem o coś zapytuje tak jednak, jakby jeszcze nie wierzyła, że to już naprawdę.

Zbliżamy się do kolei. Na budynku, na górze, widać duży prostokąt z desek, przywiązany sznurami do atyki: dranie zakryli nim orła polskiego. Chciałbym tu być obecny, gdy się te sznury będzie przecinać, gdy oszalone spadnie, gdy orzeł ukaże się znowu tłumowi płaczącemu ze szczęścia. . . . Choć nie, nie należy tak sobie tych spraw upraszczać: gdy wrócę, napewno tego orła już tam nie będzie; trzeba będzie go raz jeszcze budować. To nic, zbuduje się, i to, i wiele, wiele rzeczy innych. Od nowa, i lepiej.

Poprzez przedsiónek i poczekalnie stacyjne wije się od okienka kasy biletowej długi ogonek ludzi. Wiadomo—jedno okienko, a ludzi moc. Ale i tu Niemcy chcą wytworzyć wrażenie, że ład w tym kraju wprowadzają dopiero oni: niemiecka straż kolejowa reguluje ustawianie się i posuwanie się ogonka. Tylko że czyni to i niepotrzebnie i śmiesznie. Nie organizuje, lecz rozdyma organizację. Nie przyspiesza, lecz właśnie opóźnia. Postępkowi „dowodzą“ częściami ogonka; w miarę, jak ludzi ubywa i jak

ogonek maleje z przodu, wypychują naprzód ludzi stojących w części tylnej. To wszystko — a ile przy tym pouczają, pokrzykiwań, komenderowań. . . . Baby wiejskie są tym wystraszone, większość jednak czekających zna już porządki okupacyjne i przygląda się temu z ledwie hamowaną ironią.

Mam bilet. Wiem, że mam sporo czasu do odjazdu, idę więc z żoną w stronę peronu powolnym krokiem. Z ostrożności pytam po drodze kolejarza i dowiaduję się, że jednak pociąg mój już stoi.

Dotychczas, ilekroć wybierałem się w dalszą podróż, żona stała przy pociągu aż do odjazdu. Tym razem proponuję jej, by mnie nie odprowadzała do wagonu, byśmy się pożegnali już tutaj. Żona skinęła głową.

Cóż sobie można powiedzieć w takiej chwili? I jak przełamać skurcz, łapiący wtedy za gardło? Uściskaliśmy się — i poszedłem. Po drodze obejrzałem się: żona wciąż stała w miejscu i patrzyła. Nie potrafię spojrzenia tego opisać. Wspomnienie jego już mnie potem nie opuściło: miało ono towarzyszyć mej wędrówce poprzez zaśnieżone Karpaty, pójść za mną do bastionów linii Maginota, popłynąć z La Rochelle do krainy nowych nadziei. Jest i zostanie najbliższym druhem mej tułaczki żołnierskiej.

* * *

Naprzeciwko mnie siedział w przedziale młody człowiek w bluzie robotniczej, z głową obandażowaną. Obok niego dwie kobiety w chustkach i dziewczyna. Po mojej stronie chłop w granatowej maciejówce, w kożuchu, baba z koszykiem na kolanach i, wcisnięty w kąt, mężczyzna w czapce sportowej i swetrze, wyglądający na montera lub mechanika.

Kobiety z dziewczyną naradzały się, jak dowiozą w Warszawie ze stacji do domu dwa spore kuferki. Poza tym żadna rozmowa nie kleiła się w przedziale. Przyglądałem się z okna wioskom i miasteczkom, raz jeszcze patrząc na obraz zniszczeń, dobrze mi już na tym szlaku znanych. W pewnym miejscu, tuż obok toru, widać było kilka spalonych samolotów ze znakami polskimi. W Dęblinie rzuciły się w oczy duże zapasy węgla, usypanego w sporą górę niedaleko stacji. U nas w mieście długo liczono na te zapasy; tłumaczono nam przecie, że węgiel z Dębłina już jest w drodze, gdy chodziliśmy od składu do składu, szczęśliwi gdy nam się udawało zdobyć odrobinę drzewa bukowego lub kilka brykietów.

Gdy pociąg stanął na stacji w Dęblinie, w przedziale naszym wybuchła awantura. Przyszedł — już w tej podróży po raz drugi — konduktor i zażądał od jednej z kobiet pokazania biletu. Kobieta okazała wyraźne zdenerwowanie, szukała biletu długo w torbie i po kieszeniach, aż wreszcie wydobyła go: opiewał on na przejazd tylko do Garbowa. Konduktor zrobił piekło. Z poprzedniej kontroli pamiętał, że był bilet do Garbowa, a że w Garbowie nikt z wagonu nie wysiadł, więc oto zrobił kontrolę powtórną i kobietę „nakrył.“ Baba tłumaczyła, że doprawdy zamierzała wysiąść w Garbowie, ale spotkała w pociągu przyjaciółkę, więc postanowiła jechać z nią do Warszawy. Było widoczne, że baba łże, że po prostu liczyła na to, że niezauważona dojedzie tak do Warszawy. Konduktor zażądał zapłacenia kary; a że kobieta pieniędzy nie miała kazał jej pociąg opuścić i iść z nim do urzędu.

Kobieta ociągała się, grzebała się, aż wreszcie, zostawiwszy bagaż przyjaciółce, zawiązała się w chustkę i wyszła z przedziału. Na peronie, tuż przed drzwiami wagonu obrociła się, spojrzała na konduktora ze złością i warknęła:

— To dla *nich* pan taki gorliwy . . . występuje się pan im, co?

Konduktor zzieleniał. Widać było, że szuka odpowiedzi, ale bez skutku. Baba tymczasem podreptała w stronę wyjścia. Konduktor z nią nie poszedł, spojrzął na nas, i szepnął:

— Boga w sercu trzeba nie mieć, by tak mówić. Przecie, coby nie było, ja na kolei służę. . . .

Po czym zatroskany, już nie troszcząc się o babę, poszedł w kierunku parowozu.

Zajście to rozwiązało języki w naszym przedziale. Poza towarzyszką baby, nikt nie opowiadał się tylko za nią, lub tylko za konduktorem. Ludzie czuwali się w położenie stron obu: ot, kobieta biedna, więc próbuje; a też jej racja, że nie swoi dostają pieniądze za ten bilet. A konduktor? Przecie jest od tego, by pilnował porządku; trudno, by robił inaczej.

Aż się raptem z kąta odezwał milczący dotąd mężczyzna w czapce:

— Byle tylko jak najmniej tych naszych dawnych porządków. . . .

Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, jednym ze zdziwieniem, drugich z niepokojem. Ktoś zapytał:

— Jakto, dawnych?

Mężczyzna w czapce zaczął mówić szybko, nieprzerwanie, rzucając zdanie po zdaniu z jakąś gorzką namiętnością. Doświadczył on na sobie tych porządków dawnych. Porządków — rzucił z przekąsem — państwowych. Był szoferem na taksówce, więc wie. Kara za karą, szykana za szykaną, ot ich porządki. Choć jeszcze było jasno, płac człowieku karę za niezaświecone latarnie. Tak jeden posterunkowy, gлина przeklęta (znali się, bo sąsiedowali i coś kiedyś mieli ze sobą), raz go złapał, jak jechał za pożyczonym numerem próbnym — szkodziło to co komu? To mało, że go do aresztu nie zamknęli, a i prawo jazdy zabrać chcieli. Niby za co? . . .

Robociarz z głową w bandażu mruknął z ironią:

— Same ogromnie ważne sprawy. . . .

— Dla jednego nieważne, dla innego może i ważne. A raz pękło mi pióro w tylnym resorze. Akurat niedziela, gdzie tu resor naprawiać, a jak raz trafił się pasażer. Trochę rzucało, ale że resor tylny, a nie przedni, to i niegroźne. A ten zaraz w wrzask. . . . I znowu policja. . . . Byle dokuczyć. Dzisiaj? Dzisiaj też dokuczają, ba (głos przyciszył), wiadomo. . . . Ale też i to wiadomo, że to nie swoi, a obcy. A jak krzywdzą, to i biednego, i bogatego jednako. . . .

Nastala chwila milczenia. Wtem robociarz:

— Panie, pan wciąż jeszcze w październiku. . . .

Spojrzelismy na niego, zdumieni.

— Tak, w październiku. Bo jak Niemcy nastali, to jeszcze w miesiąc potem mówili wszyscy, jak pan teraz. Wszyscy, u nas na Woli, a pewnie i gdzie indziej. Wypluwali my swoje, dawne krzywdy, nieprawdziwe, a często i bardzo prawdziwe. Bo nas, to co zaszło, bolało. . . . Bolało bardziej, niż mnie to (wskazał na bandaż). Ale potem przyszedł listopad. A teraz już jest grudzień. I my zrozumieli, co ważne, a co nie. Co dla siebie, na potem, a co dla tamtych. I już dzisiaj to chyba wszyscy myślimy o jednym. Tylko dla pana to grudzień pewnie nastanie w lutym, a może i w marcu. . . . Bą są na świecie takie ludzie opóźnione. . . .

— Sameś pan opóźniony — odmruknął szofer. — Rozbili mu głowę, to frajer proroka odstawia. Tfu. . . .

— Rozbili tam, gdzie pana napewno nie było. Pod Płockiem. W pułku. . . . Szofer zamilkł.

* * *

Piatek, 8 grudnia.

W Warszawie postanowiłem siedzieć przez dwa dni, by załatwić sprawunki i ustalić ostatecznie marszrutę wyprawy i osoby, które w niej wezmą udział. W. i jego żona zdecydowali się pozostać; zwymyślałem ich za to serdecznie, ale trudno, każdy jest sternikiem własnych losów. Pozostał mi jako towarzysz podróży N., młody prawnik, podchorąży broni pancernej; w roku poprzednim spędził on jakiś czas u nas za granicą i żona moja bardzo go lubiła. Wniósł on ze sobą do naszej wyprawy cenny „posąg“ — dokumenty, którymi jeden z urzędów niemieckich zezwalał nam obu i jeszcze komuś, który jednak z nami nie pojechał, na pobyt w strefie granicznej w

celach. . . aprowizacyjnych; dokumenty przedstawiały się niezłe, były zaopatrzone w pono autentyczne pieczęcie i w niemal autentyczne podpisy. . . . Wytoczyliśmy sobie z N. szlak naszej podróży. Prawda, nie mieliśmy przewodnika, który by nas przeprowadził poprzez góry do granicy, ale znaleźliśmy nazwę wsi podgórskiej, gdzie podobno nie było trudu o przewodnika znaleźć.

Z N. wybrałem się do Café Club. Kawiarnia ta, podobnie zresztą jak wiele innych, była przepełniona, Obsługiwali w niej, przyjemnie i zgrabnie, aktorzy i aktorki scen warszawskich. Ludzie załatwiali tu przy czarnej kawie dosłownie wszystko: tu szukano zajęć zarobkowych, tu załatwiano transakcje handlowe, tu omawiano sytuację. Kawiarnia ta miała opinię względnie „czystej“: mundurów w niej prawie nie widziano ani języka niemieckiego nie słyszano; niemniej na pewno roilo się tam od szpiclów, to też mieliśmy się na baczności i uważaliśmy na każde wypowiedziane słowo. Nie przeszkodziło to nam poznać się w tej kawiarni z akademikiem, oficerem rezerwy, który niedawno przedostał się z Węgier do Polski, by tu, przed ponownym wyjazdem, załatwić sprawy rodzinne. Od niego dowiedzieliśmy się wielu szczegółów dla nas ważnych. Informacje te nie były zbyt pocieszające. W Karpatach spadły już dość duże śniegi — jeszcze kilka dni, a przejście stanie się niemożliwe. Niemcy prowadzą silną agitację wśród ruskiej ludności wsi podkarpackich, organizując ruskie oddziały milicyjne, szczególnie powołane do polowania na takich, co usiłują przekraść się na stronę węgierską. Nasz rozmówca został przez taką milicję schwytyany i więziony wraz z kilku innymi Polakami, którzy zdążyli na Węgry. Bito ich w tym więzieniu niemiłosiernie. Znajomy nasz zdołał się stamtąd wydostać; jego towarzysze niedoli zostali przez milicję wydani Niemcom i wszelki ślad po nich zagaął.

* * *

Sobota, 9 grudnia.

Przedpołudnie spędziłem na Kercelaku, dokąd udałem się w towarzystwie pani W., by nabyć buty i plecak. Nigdy przedtem tam nie byłem, przyglądałem się więc wszystkiemu z dużym zainteresowaniem. Życie tam kipiało, chyba nie gorzej niż w czasach przedwojennych; może nawet lepiej, gdyż wzmagająca się nędza powodowała, że ludzie wyprzedawali się, a przy tym uczyła wielu zaopatrywać się w rzeczy używane. Po niezbyt długim szukaniu znalazłem nie bardzo znoszone buty żołnierskie, jak raz na moje nogi. Przy zakupywaniu plecaka speszyłem się niemało, gdy straganiarz zaproponował mi kupmo także czapki narciarskiej, tłumacząc przekonywująco: „. . . wszystkie panowie idące na te same wycieczki gustują w takich narciarkach.“ A gdy zdecydowałem się na to kupno, łypnął znacząco okiem i zapowiedział, że gotów jest „odkupić z powrotem ten komplecik, a także buczki, o ile nie będą aby za bardzo sfatygowane, gdy sianowny pan wróci ze spacerku, na wiosnę. . . .”

Popołudniu umówiłem się, przed Bankiem Gospodarstwa Krajowego, z kimś kto miał mi dać pewne informacje dla przekazania naszym władzom we Francji. Długo nie przychodził, więc się obawiałem, że może został aresztowany i po pewnym czasie przeniosłem się na drugą stronę alei, na wypadek gdyby i mnie mieli gestapowcy szukać. Na szczęście przyszedł, choć z porządnym spóźnieniem.

Ostatnia czynność: kupiłem za 8 złotych kilo chałwy i posłałem ją żonie przez nadarżającą się okazję: tam u nas taka rzecz była czymś nieosiągalnym, a tu w Warszawie można ją było dostać bez trudności. N. natomiast kupił na drogę sporą paczkę „kogutków“ od bólu głowy i dał mi z tego część; sam nie wiem, po co wziąłem, bo nigdy proszków nie zażywam. Wspominam tu o tym, bo w dwa lata później, w krainie przeżyć z całkowicie innego wymiaru, jedna Warszawianka miała, w hallu eleganc-

kiego londyńskiego flat-house'u, wybuchnąć rzewnym płaczem, zobaczysz u mnie przypadkiem autentycznego polskiego „kogutka“ w zielonożółtym opakowaniu.

Pociąg nasz odchodził o godz. 23.24. Ponieważ jednak ludności polskiej nie wolno było przebywać na ulicach po godzinie 20-tej, przeto na parę minut przed tym czasem znalazłem się z moim towarzyszem podróży przed dworcem głównym, na którym tegoż dnia żołnierze Arbeitsdienstu wymalowali dużymi, czarnymi literami: WARSHAU—HAUPTBAHNHOF

* * *

Niedziela, 10 grudnia.

Rano przyjazd do Krakowa. Pociąg, którym mieliśmy stąd jechać dalej, odchodził dopiero za dwie godziny. Postanowiłem czas ten wykorzystać na przechadzkę po mieście, a może także na odwiedzenie przyjaciół. N. co prawda namawiał, by z nim zostać na stacji: w tego rodzaju podróży lepiej licha nie kusić. Przyznałem mu rację, a jednak poszedłem.

Pierwszą rzeczą, jaką już przed stacją zobaczyłem, były taksówki. Autentyczne taksówki. A tam, w Warszawie i gdzie indziej, zniknęły one już z ulic bez śladu. . . . Jakiś kierowca, widząc że się rozglądam po wozach, krzyknął: „Panie kapitanie, proszę siadać, jedziemy. . .“ Struchlałem. N. przestrzegał słusznie: licha nie śpi. Skąd ten taksówkarz mnie zna i po jakiego diabła tytułuje mnie kapitanem? Poszedłem, był to mój znajomy z czasów wojskowych. Sfukałem go, do taksówki jednak wsiałem, przykazując jechać powoli przez śródmieście i zatrzymać się przed domem przyjaciół.

Ze wzruszeniem patrzyłem na to miasto, tak mi drogie. Pomyśleć, że byłem w nim zaledwie przed kwartałem. . . . A oto Kraków był piękny—jak zawsze. Mury jego kąpały się w rannym, zimowym słońcu. Od plant wiało świeżością. Ale nowa rzeczywistość nie dała na siebie długo czekać: tu i ówdzie, z budynków rządowych, zwisały chorągwie ze swastyką. Przez Basztową włókił się, pod eskortą, oddział żydów z łopatami w rękach. Na rogach ulic widniały tablice z nowymi napisami; ze zdumieniem odczytywałem nazwy takie, jak Aussenring, Hauptstrasse, Reichsstrasse. . . .

Zatrzymałem się przed domem przyjaciół, wszedłem i na piętrze przystanąłem przed ich mieszkaniem, z którym łączyło mnie tyle wspomnień osobistych. Już kładłem rękę na dzwonku, gdy od środka dobiegły mnie głosy: ktoś kogoś głośno wołał po niemiecku; słysząc było odpowiedź w tonie służbowym, po czym odgłos ciężkich kroków poprzez mieszkanie. Jednak zadzwoniłem. Otworzyła mi młoda gospodyni moich przyjaciół, położyła palec na usta i szepnęła, by nie wchodzić, bo w mieszkaniu kwaterują oficerowie policji. Powiedziałem jej cicho, by zaraz przysłała na stację.

Niedługo potem siedziałem z nią w restauracji kolejowej i wsłuchiwałem się w to, co mówiła. A więc, że przyjaciół moich niema w Krakowie, były jednak od nich wiadomości: oboje są we Francji, gdzie on służy w Wojsku Polskim. Mieszkanie ich uległo rekwizycji. Ona w nim pozostała, bo oficerowie chcieli mieć kogoś do posługi. Stara się uratować meble, ale chyba nie uda się, bo Niemcy zabierają, czego tylko zapragną. Tyle, że z pięknego księgozbioru mego przyjaciela wynosi po trochu co najcenniejsze książki i rozda je rozmaitym znajomym na przechowanie—przynajmniej coś z tego ocaleje. Wiadomości ogólne z miasta? Jak wszędzie: ciężko. Ludzie jeszcze nie otrząsnęli się z wrażenia, jakie wywołało porwanie z auli uniwersyteckiej profesorów i wywiezienie ich do obozu koncentracyjnego. Ale wszyscy wierzą niezachwianie, że Niemcy długo w Polsce nie postoją. Nasi wrócą z wiosną. . . .

* * *

W południe dojechaliśmy do Z., gdzie wypadło nam znowu przesiadać. Tym razem mieliśmy aż trzy godziny czasu, więc obaj poszliśmy na miasto. W niektórych ulicach widzieliśmy trochę zniszczeń od bomb. Pamiętałem, że gdzieś niedaleko rynku znajduje się dobra knajpa, więc odszukałem ją i zjedliśmy tam obiad. Jedzenie było nienajgorsze, ale lokal był wypełniony przez rozwrzeszczanych Niemców, grubych cywilów o nalanych, pruskich twarzach, prawdopodobnie urzędników administracyjnych.. Zjedliśmy więc śpiesznie i zwialiśmy. Mieliśmy jeszcze sporo czasu, więc szliśmy w stronę stacji, nie śpiesząc się.

Na placyku porośłym trawą stał wóz mieszkalny, przed nim rodzaj namiotu. Na namiocie napis:

FENOMENALNY, ŚWIATOWO SŁAWNY WRÓŻBITA. ODGA-
DUJE CHARAKTER, UDZIELA PORAD ŻYCIOWYCH, PSZE-
POWIADA POD GWARANCYĄ, PSZYSZŁOŚĆ. METODA,
ARAPSKA, TUDZIESZ Z FUSOW. TYLKO JEDEN ZŁOTY.

N. skreślił w stronę namiotu.

— Dokąd idziesz?

— Dokąd? Do wróżbity.

— Oszalałeś?

Nie odpowiedział i wsunął głowę za płachtę namiotową; ktoś go od środka zapraszał, aby wszedł. Wzruszyłem ramionami, usiadłem na jakiejś ławeczce i zagłębiłem się w „miłą“ lekturę „Krakauerki“, kupionej na stacji w Krakowie.

Nieobecność N. trwała przez czas dłuższy. Wreszcie pokazał się. Ponieważ przybrał ważny, a tajemniczy wyraz twarzy, przeto postanowiłem nie pytać go o nic—niech się trochę pomęczy. Widać było, że go język świerzbi, trzymał się jednak dzielnie. Już siedzieliśmy w wagonie, gdy dałem za wygraną i zapytałem:

— No, i co?

Udał, że nie rozumie:

— Jakto co?

— No, ten wróżbita . . .

A, wróżbita . . . No cóż, powiedział, że mnie czeka daleka i trudna podróż. Że podróż ta będzie bardzo niebezpieczna, będę bliski śmierci, ale ostatecznie wyjdę z tego cało . . .

— No, a ja?

Zapytałem niepotrzebnie, bo oto zapewniłem tryumf mego towarzysza:

— Nie pytałem. Nie mogłem przecie popełniać oszustwa, pytając za jednego złotego o przyszłość aż dwóch osób. Trzeba było porzucić dumę i iść do niego także . . . Acha, wróżbita powiedział jeszcze, że jest takich dwu, co będą dybać na mój majątek. Nie mam się tym szczególnie trapić, bo choć mogę zostać—jak się wyraził—goły, to jednak ostatecznie ja będę tym, co „odstawi fizjologię“ na ich grobach . . .

Pośmialiśmy się i zaraz o wróżbie zapomnieliśmy. Nie mogliśmy wtedy przypuszczać, że jednak, za kilka dni, będziemy musieli ją sobie przypomnieć.

* * *

Plan nasz przewidywał, póki możliwe, jazdę koleją, bez dojeżdżania do stacji końcowej przed granicą; wiedzieliśmy bowiem, że takie stacje są szczególnie troskliwie strzeżone i że na nich właśnie najłatwiej wpaść w łapy niemieckie. Zamierzaliśmy więc wysiąść z pociągu w Y., miejscowości stanowiącej centrum tego okręgu podgórskiego. Tam chcieliśmy znaleźć nocleg, a w razie potrzeby posiedzieć nawet przez kilka dni, by przed marszem pieszym do granicy móc się spokojnie rozejrzeć w możliwościach.

Wieczór nadszedł. Lamp w pociągu nie zapalono, więc separatkę naszą zalegał mrok. Była ona prawie pusta: prócz nas siedziało w niej, w przeciwległym kącie, dwóch polskich kolejarzy. Z początku rozmawiałem

z N., potem zamilkliśmy, tonąc w własnych myślach. Co będzie z nami, gdzie się znajdziemy jutro? za trzy dni? za tydzień? kiedy przedostaniemy się do Francji? Materiału do rozmyślań nie brakło . . .

Musiano nas przedtem w Krakowie błędnie poinformować, że do Y. zajedziemy na godzinę ósmą: minęła już dziewiąta a wyglądało na to, że do Y. jeszcze daleko. Poprosiliśmy jadących z nami kolejarzy o wyjaśnienie; dowiedzieliśmy się, że w Y. będziemy dopiero o jednajstę, jeśli nie później. Zmartwiło to nas: bo gdzie o tej porze, w obcej miejscowości, szukać noclegu? Zapytaliśmy kolejarzy, czy mogą nam coś poradzić. Popatrzyli na siebie, potem na nas, wreszcie jeden z nich, nie odpowiadając wprost na pytanie, powiedział, zaciągając pięknie z góralska:

— Czy aby wiecie, że w Y. Niemcy oglądają na stacji dokumenty przyjezdnych? A są podrażnieni po tym, jak ostatnio rozbił im się na tej linii pociąg wojskowy: wjechał w lokomotywę, której miejsce—zaśmiał się—nie było na tym torze . . . Jeżeli macie papiery i to takie murowane, to wszystko w porządku. Ale jeśli nie, to już tam o was nocleg znów się zaśmiał—zatoszczą się inni . . .

Pociąg nasz właśnie przystawał, więc kolejarz wyjrzał, by rozeznaczyć stację, po czym z towarzyszem wysiadł, rzuciwszy nam:

— Ostańcie ta z Bogiem.

Do separatki weszło trzech żołnierzy niemieckich. Wysocy i ciężcy, chyba ponad 50 letni, typowi „pospolitacy“ z jakiegoś oddziału wartowniczego. Z hałasem zrzucali z siebie rynsztunek, strzepywali śnieg z wąsów, przytupywali nogami.

Poszeptaliśmy z N. Rewelacja kolejarzy wymagała szybkiej decyzji. Z noclegu w Y. musimy oczywiście zrezygnować. Ale gdzie wysiąść? Naturalnie przed Y., bo stacje dalsze będą też kontrolowane i to pewnie ostrzej. Od Y. dzieliło nas tylko kilka przystanków, same małe wioski. Po niedługim namyśle postanowiliśmy wykorzystać obecność w przedziale Niemców, i wejść z nimi w komitywę, by w myśl recepty znanej z tradycji rewolucyjnych w Królestwie, wysiąść pod ich osłoną. Chyba wysiadą właśnie w Y., bo rozmawiając ze sobą wymienili kilka razy tę miejscowość.

Zapaliliśmy z N. papierosy (jako żywo, byłem do tej pory niepalący). Przy tej sposobności któryś z nas wyciągnął do Niemców zapraszająco pudełko z papierosami. Przyjęli. Zawiązała się pomiędzy nami rozmowa, z początku urywkowa i ostrożna. Jeden z żołnierzy zapytał nas, dokąd jedziemy—odpowiedzieliśmy, że do Y. Od innego dowiedzieliśmy się, że pochodzi z Saksonii, z Halle an der Saale. Byłem w tym mieście przez jeden dzień, a miałem wtedy lat czternaście. W wspomnieniach pozostał mi bardzo zatarty obraz starych placów i ulic; wrażenie wywarł na mnie wtedy ładny, średniowieczny posąg, bodaj że przed ratuszem; no, a z nazwy miasta wiedziałem, że płynie tam rzeka. Wszystko wystarczało, by powiedzieć, że miasto to znam, i by w ten sposób zadzierżgnąć pierwszą nic „sympatii“. Poszło tym łatwiej, że inny żołnierz pochodził z Drezna, które w istocie znałem nienajgorzej. Gdy już temat „krajoznawczy“ nam się wyczerpał, N. wydobyl płaską manierkę z wódką—pociągnęliśmy z niej wszyscy. Rozmowa już toczyła się na całego. Tak, tak, mówili żołnierze, tam w Saksonii, to jest życie; a nie tu patrolować po zapadłych dziurach. Człowiekowi ciężko, nudno, zimno.

Pociągnęliśmy znowu. Zapytałem, czy wracają z przepustki niedzielnej? Zaśmiali się: skądże odebrali w batalionie pocztę—wskazali na spory worek, rzucony w kąt przedziału. Listy dla kolegów, no, i święta już blisko, to i Liebesgaby z kraju zaczynają nadchodzić. Aż trzech ich jedzie z takim workiem, bo kwaterują daleko od kolei, a droga wcale nie jest taka bezpieczna: zawsze służbę pełnią w kilku, bo Bevölkerung jest wroga i zdarza się, że człowiek z patrolu nocnego nie powraca . . . Opowiadający zasępił się . . . Ale to się wnet skończy. Koniec wojny? O, chyba na wiosnę. Tylko

szałeńcy mogą nie wierzyć w szybkie zwycięstwo Niemiec. Hitler ma już — żołnierz przeszedł w ton pofny—sto tysięcy samolotów bojowych . . . Gdy miną mrozy, Francja i Anglia zostaną rozbite w puch. Najwyższy czas, nieprawda?

Pociąg zaczął zwalniać. Ku naszemu zdziwieniu, żołnierze zbierali się do wyjścia. Już wysiadają? Jawohl. Od tego przystanku mają kilka kilometrów do swych kwater. Wy powiedzieliście, że jedziecie do Y? No, to już niedaleko. Glückliche Reise.

Niemcy opuścili przedział. Spojrzeliśmy z N. na siebie, przygnębieni: tyle papierosów i wódki na nic—człowiek po cholerę pchał to w szwabów —popalili i popili, by zaraz potem wysiąść . . .

* * *

Niema rady, wysiądziemy i my, na pierwszej lepszej stacji, i zobaczymy tam, co dalej. Nic lepszego nie wymyślimy.

Z głębi separatki oderwał się cień: jakiś mężczyzna, dotąd przez nas nie zauważony, cywil, podszedł do nas i poprosił o ogień. W blasku zapalniczki zobaczyliśmy twarz młodzieńca, może dwudziestoletniego, w czapce myśliwskiej z klapami. Podziękował, i usiadł naprzeciwko nas. Zapytaliśmy, jak się nazywa następny przystanek; powiedział, że X.; zaraz potem będzie miasto Y.

Obecność przybysza krępowała nas, więc milczeliśmy. Wtem, wpatrując się w nas ciekawie, zagadał. Prosi, by mu wybaczyć niedyskrecję, ale po co my jedziemy w te strony? Usłyszawszy to, skamienieliśmy w ostrożnej nieufności: jedziemy w sprawach handlowych. Zrozumiał, nie nalegał. Po chwili jednak dorzucił, że jeżelibyśmy jechali w celach innych—na ostatnim słowie położył nacisk—to trzeba być bardzo ostrożny, bo niebezpieczeństw tu moc.

Podziękowaliśmy za ostrzeżenie i nie podejmowaliśmy tematu. Ale nas obu gnębiło: a nuż to nie jest prowokator? Z oczu mu dobrze patrzy, ale co to można wiedzieć? A znowu, wypuścić taką sposobność dostania informacji i rady? Na razie więc zapytaliśmy, skąd i dokąd on jedzie. Chętnie wyjaśnił, że mieszka z rodziną w Y. i że wraca z wizyty u krewnych. Od nitki do kłębka, dowiedzieliśmy się, że jest absolwentem pierwszego roku prawa, że brał udział w kampanii jako podchorąży artylerii; wkońcu wylazło, że ma on z N. wspólnych, serdecznych przyjaciół. Gdy tak upewniliśmy się co do jego osoby, wróciliśmy do tematu pierwotnego i porozmawialiśmy szczerze.

— Aż mi się chciało śmiać—mówił—z tych handlowych celów waszej podróży . . . Takich, jak wy, z plecakami, w czapkach narciarskich i w butach . . . akurat do spinaczki po górach, widuje się tu często. Ale widzą ich też Niemcy, którzy na takich właśnie polują. Kolejarze mieli rację, nie możecie wysiąść w Y. Musicie wysiąść na następnym stąd przystanku i gdzieś tam przenocować; plan wasz, by przeczekać kilka dni, jest dobry. Za kilka dni, to może i ja wybiorę się z wami . . .

Pociąg dojeżdżał do przystanku, gdzie mieliśmy wysiąść. Tak, ale gdzie znaleźć nocleg? Rozwiązanie znalazło się niespodzianie szybko: nasz nowy znajomy—będę go tu odtąd nazywać Wackiem—zaprosił nas do siebie. Mieszka on na przedmieściu Y., prawie już na wsi. Wysiądźcie z nami tutaj i stąd razem przemaszerujemy tych parę kilometrów.

Tak się przesądziły losy i powodzenie naszej wyprawy . . .

* * *

11—13 grudnia.

W domu naszego nowego przyjaciela zostaliśmy prawie trzy dni. Z pobytu tego zachowałem wspomnienia miłe i pogodne. Atmosfera raczej dworu wiejskiego, aniżeli domku w małym miasteczku. Przed domem

ładny ogród. Wewnątrz stare, stylowe jesiony. Trochę obrazów, sporo książek. Nastrój domowi nadawała jednak przede wszystkim jego pani, matka Wacka.

Bieg zdarzeń postanowił, że, od niezapomnianego miesiąca września, przez życie moje przesuwają się co jakiś czas obrazy, tragicznej wzniosłości, godne pędzla Grottgerowskiego: bitwa w puszczy jodłowej; wymoszczona słomą izba wiejska, na której pokotem leżą ranni i umierający; kolumna żołnierzy polskich, gnanych w ciemną noc deszczową, ugorami, przez kawalerzystów rosyjskich; polana leśna, dająca chwilowe schronienie żołnierzom-tułaczom, uchodzącym przed nagonką najeźdźców. Do tych, i tylu innych, miał oto dojść obraz nowy: dworu, w którym wysoka pani, o ładnych rysach i o rozumiejących, smutnych oczach, przyjmuje, jak swoich najbliższych, ludzi nigdy przedtem niewidzianych, przedzierających się do wojska; ludzi, którzy odchodząc, zabiorą jej syna, aby brał udział w ich dalekich wędrówkach . . .

* * *

W jednej z pobliskich wiosek mieszkał stary chłop, który jeszcze w czasach austriackich trudnił się przeprowadzaniem na stronę węgierską ludzi, a może i przemycem towarów. Od czasu, jak nastali Niemcy, chłop ten— nazywać go będę Wojtkiem—dostawił do granicy sporo kandydatów do Wojska Polskiego. Był on bardzo przywiązany do rodziny Wacka i można było spodziewać się, że zgodzi się nas poprowadzić. Posłaliśmy po niego, nie było go jednak we wsi; zostawiono mu wiadomość, by zjawił się u nas, gdy tylko powróci.

Postanowiliśmy przez cały czas pobytu w Y. nie wychodzić z domu, by nie ściągać na siebie oczu obcych. Spędzaliśmy czas na rozmowie, pisaniu listów i wertowaniu po książkach. Wacek, z którym szybko zżyliśmy się, opowiadał nam sporo rzeczy interesujących o sprawach miejscowych, zwłaszcza o stosunkach polsko-ruskich. Jak przedtem, w czasie tułaczki wrześniowej, tak i teraz miałem sposobność przekonać się na miejscu, że złego współżycia obu narodów nie można przypisywać jednostronnej winie żadnego z nich: zawiniły tu, na przestrzeni wielu pokoleń, strony obie. Trudno też sobie wyobrazić rozwiązanie przyszłości inaczej, jak przez obustronne, lojalne porozumienie i zgodę. Zgoda ta będzie wymagać ofiar od obu stron, ofiary te jednak będą może mniejsze, aniżeli się to zdaje, a w każdym razie opłacać się one sownie każdej ze stron.

Niestety, agitacja niemiecka, wykorzystując nasze błędy przeszłości, doprowadziła do dużego zaognienia niechęci pomiędzy ludnością ruską a polską, gęsto tych stronach ze sobą przemieszanych. Utworzone bojówki ruskie dostały od Niemców broń i pomoc organizacyjną. W skład ich weszli znani awanturnicy, często ludzie wypuszczeni z kryminalów, w których siedzieli za przestępstwa pospolite. Prawda, że szersze masy ludności ruskiej udziału w tej robocie nie brały; niemniej, trudno było w danych warunkach oczekiwać, by nastrój wrogości wygaszał lub choćby zmniejszał się. To też wszystko, co o niebezpieczeństwie maszerowania na Węgry poprzez wsi ruskie opowiadano w Warszawie, niestety odpowiadało prawdzie. Miejscowa ludność polska dobrze jednak pamiętała każdy gwałt, każde współdziałanie Rusinów z Niemcami. Nadejdzie dzień . . . Otóż Wacek był jednym z tych, którzy znając te strony od dzieciństwa i władając biegle obu językami, uważali za swe zadanie dążyć już teraz do tego, by ten dzień który nadejdzie, dzień klęski i ucieczki Niemców, był w stosunkach polsko-ruskich nie dniem zemsty, lecz właśnie dniem pojednania. Zadanie to było jednym z ważnych powodów jego wahaniasię, czy iść z nami, czy raczej zostać i kontynuować pracę w tym kierunku. Z zadowoleniem opowiadał, że w jednym z pobliskich miasteczek starorusini wydali nielegalną ulotkę, przemawiającą w duchu pojednania z

ludnością polską i skierowania wspólnych, braterskich wysiłków do walki z najeżdzącą niemieckim.

* * *

Nasz pobyt w Y. nie był pozbawiony także epizodów zabawnych. I tak w drugim dniu ktoś rzucił myśl, by zagrać w karty. Siedliśmy we trójkę do gry w pokera, w którego grałem w swym życiu tylko kilka razy, za każdym razem w czasie ćwiczeń oficerów rezerwy — i zawsze nieszczęśliwie. Tym razem jednak karta szła mi świetnie. Niezłe grał także Wacek. Przegrywał więc stale N., i to tym więcej, im bardziej puszczał się na karłolomne kombinacje i bluffy, no i im bardziej chciał się odegrać.

Był już późny wieczór i czas było kończyć. Przede mną i przed Wackiem leżały spore kupki pieniędzy. Zmaltretowany N. zjrzał do swego portfela i stwierdził:

— No, mogę powiedzieć, że jestem goły . . .

Dźwięk tych słów wywołał u mnie jakieś jeszcze bliżej nieustalone skojarzenie: już kiedyś, chyba niedawno, słyszałem to samo określenie. Ale o kim? Chyba właśnie o N.? . . . Nagle parsknąłem śmiechem:

— Wróżba z przed dwu dni oto się spełniła . . . Jest nas takich dwóch, co dybali na majątek N., i w rezultacie on został goły . . .

N. nieco pocieszył się, widząc ten niezbity dowód, że nie jego zła gra doprowadziła go do tego stanu, lecz że był on mu zapisany w księdze przeznaczeń. Pozostawała mu przy tym jedna, dość poważna pociecha, którą nie omieszkał się podzielić z nami:

— Za to ja będę „odstawiać fizjologię“ na waszych grobach. . . .

Trudno było zaprzeczać — wróżba rzeczywiście tak zapowiadała, nie określając na szczęście czasu, w którym ponury fakt miał nastąpić. Wobec tego zgarnąłem moją wygraną i oświadczyłem:

— Jeden argument więcej, by ci już nie udzielać kredytu. Idziemy spać. . . .

* * *

Wojtek stawiał się. Od razu spodobało mi się to, jakby z kamienia wykute, chłopisko, o ostro zarysowanej, zbójckiej twarzy. Pykając fajeczkę, przyjrzał się uważnie mnie i N., pogadał z nami i wydał wyrok:

— Z wami dwoma pójde. Panicz zostanie.

A widząc nasze zdziwione miny, wyjaśnił:

— A jakbym ja mógł spojrzeć w oczy starszemu panu, gdy wróci z Francji, gdyby mi panicz na takim spacerku przypadł?

„Panicz“ na taki despekt aż pokraśniał. Nie wdał się jednak w dyskusję ze starym, wziął udział w omawianiu szczegółów wyprawy, a potem — potem musiała tam mieć miejsce jakaś rozmowa na boku pomiędzy Wojtkiem a nim, może w obecności jego matki, bo już jego uczestnictwo w wyprawie nie podlegało więcej kwestionowaniu.

Wojtek kazał sobie pokazać rzeczy, które zamierzaliśmy zabrać ze sobą. Skrzywił się na plecaki, jeden z nich kazał zostawić, a do drugiego polecił wpakować rzeczy nas wszystkich — plecak ten poniesie on sam. Następnie obejrzał uważnie nasze papiery niemieckie; szczęśliwie opiewały one na trzy osoby, można więc było przyczepić do nich Wacka, choć pod innym nazwiskiem. Opinia Wojtka o tych dokumentach była zdecydowana:

— Dla Gestapo, to śmieci. Ale dla Rusinów — dobre. Papierki te oszczędzą nam jednej nocy maszerowania: aż do wsi X. pojedziemy sobie furmanką, w jasny dzień. Nie spotkamy tam żadnego patrolu, ani z wojska, ani z policji (powiedział to takim tonem, jakby on właśnie wyznaczał Niemcom rejony patrolowania). W X. zostaniemy przez noc. Gdzie? Moja głowa. Potem, od wczesnego rana, pospacerujemy górami; pokażę wam, z wysoka, miejsce gdzie na dole wypatrują was gestapowcy. . . .

Wieczorem niedługi odpoczynek w U. i pomaszerujecie dalej, przez całą noc, aż do samego świtu. Bo już wtedy żywa dusza nie śmie was ani zobaczyć, ani posłyszeć. Musicie się trzymać twardo, bo droga niełatwa, na przełaj przez śniegi, a miejscami to nie będzie wolno ani gadać, ani palić, ino cichutko, jak ten zając, od kępy do kępy skakać. . . . Jeśli wydołacie, to ze świtem będziecie na Węgrzech. Jeśli nie, to przez dzień prześpicie w T.; prawda, że wieś niebezpieczna (zasępił się), ale trudno. . . . Potem znowu marsz nocą, ze mną, albo z moim znajomkiem, ale to pewniak. Doprowadzi was do samej granicy. Ja nie taki, jak te inne przewodniki, co zdaleka pokażą górkę, mówią, że to granica, i puszczają luzem, na błądzenie. . . . Dotkniecie ręką kamienia granicznego, i jeszcze się was kawalek po węgierskiej stronie poprowadzi, byście aby nie zmylili. Koszty z furmanką, z noclegami, słowem ze wszystkim, będą 150 złotych za każdego z was dwu; a co do kosztów za panicza, to ja już się o nie dogadam ze starszą panią. No, dobrze, skoro się zgadzacie (stary przyduślił w fajce ogień i schował ją do kieszeni), to zaczynamy jutro. . . . Przyjadę po was furmanką, zaraz po obiedzie. . . .

Natym stanęło.

* * *

BOLESŁAW POMIAN

GEORGE I PANI ŻYRAFA WE WRZEŚNIU 1939.

O świcie R-y odleciały na nowe lotnisko, gdzieś pod Siedlce. George i chorąży P. zostali oddani do wyłącznej dyspozycji Bazy Nr. 1, jako załoga łącznikowej „Czapli.“ „Widzisz, kochanie!“—tłumaczył George pani Żyrafie, swojej maskocie—, „wygrywamy na czysto, dostaliśmy Czapłę, to samolot o niebo lepszy od R-13-ki, i ponieważ zostajemy na Okęciu, prawdopodobnie wieczorem pójdziemy do domu i zobaczymy naszą Panią.“

Rozczarowanie nastąpiło dopiero po zapoznaniu się z maszyną. Czapła była nieuzbrojona i na poczekaniu uzbrojoną być nie mogła. Wytoczyli Czapłę z hangaru i pokołowali na skraj lotniska tak, by drzewa owocowe graniczącego z lotniskiem sadu dawały choć pozór maskowania. Czapła została pod opieką mechanika i obsługi przeciwlotniczego K.M. stojącego w pobliżu, załoga zaś udała się do kuchni na „czarne picie.“ Pierwszy nalot zaskoczył ich gdy mijali klomby, dumę kwatermistrza 1-go pułku lotniczego. Z hangaru eskadry treningowej wytrysnęła fontanna płomieni, rumowisk, kurzu. Przywarli do ziemi. Pod twarzami mieli pachnące kwiaty. O parę cali od oczu George'a dwa ciemne fioletowe bratki wznosiły swe aksamitne twarzyczki. W wyrazie ich było zdziwienie: dlaczego od tygodnia już nikt nas nie podlewa—dlaczego na nasz klomb spią się grzyby i ten wapienny pył? Czy pani Żyrafy spotkały się z oczyma bratków—coś tam sobie zwierzały w niezrozumiałej dla George'a mowie kwiatów i maskot.

Od strony Bielan wystrzeliły w ostrym podciągany łuku sylwetki myśliwskich P.Z.L-ek. Idący od strony Pruszkowa rój „latających ołówków“ załamał się. Bomby przeznaczone dla Okęcia posypały się na cegielnię, daleko, daleko przed celem. Dornieri zawracały. Nalot był skończony.

„Żeby ta te pieniądze, co tu wywalono na te betony i kwiaty, poszły na samoloty — żebyśma tak mieli ze tysiąc myśliwców, nie zaś ale te dwieście, żeby ta po eskadrach były choćby Karasie, nie R-y — to możeby w ta chwila w Tempelhoffie tak się szkopy pokładały na ziemię przed nami, jak my sie tu tera pokładamy przed nimi — nieprawdaż?“

George nie odpowiedział. W myślach, już od początku nalotu, tkwiła boleśnie pamięć jednego zebrania w Aeroklubie Rzeczypospolitej Polskiej. Dyskutowano sprawę dodatkowych kredytów na umożliwienie pilotom klubowym, którzy ukończyli szkolenie się na RWD-ziakach, dalszego treningu typu wojskowego. Sprawa rozbiła się o kwotę czterystu tysięcy złotych. Młody prezes Aeroklubu Warszawskiego walczył przeciw nieruchomej, biernej, niechętniej wszelkim zmianom starszyźnie, tworzącej większość Rady. Decyzja należała do generała, prezesa potężnej organizacji. Zadzwoniły na piersiach rzędy wspianiałych orderów. Mówił o braku kredytów, o potrzebie ukończenia astronomicznego obserwatorium na Czarnej Horze, o konieczności wybudowania hangaru na lotnisku w Częstochowie, o wydatkach administracyjnych organizacji. Zakończył: bagnetem zdobyliśmy Niepodległość — bagnetem ją utrzymamy.

Przez ostatnie pięć dni George wciąż widział tego żołnierza, któremu bagnetem nakazano utrzymać Niepodległość. Po raz pierwszy w życiu wstydził się swego lotniczego munduru. Widział, jak tego żołnierza krok za krokiem wyrzuca z jego stanowisk właśnie lotnik wroga, że to lotnik wroga uniemożliwia napływanie transportów, ewakuację rannych. Zgoniony do kresu ludzkich sił piechur daremnie wypatrywał własnych samolotów. Nad milionową armią najlepszego w świecie żołnierza nie było nawet pięciuset samolotów.

Stare, prastare dzieje.

Od wieków naprzeciw zakutym w żelazo knechtom stawały słowiańskie drużyny zbrojne w luki, osłonięte skórami. Ale tam walczyli ludzie przeciwko ludziom — tutaj stanął człowiek przeciwko maszynie.

Bagnety przeciwko czołgom. RWD i R-y przeciwko Dornierom i Messerschmidt'om.

Jeszcze nie ukończyli śniadania, gdy znów zabrzmiały syreny. Do Dowództwa było tylko parę kroków. Wiedzieli, że majora pilota K. nie ma co szukać po schronach. Nie opuszczał swego gabinetu, mieszczącego się w wysokiej, widnej na wiele kilometrów wieży Okęckich koszar. Jak za pokojowych czasów, siedział otoczony gromadą łączników i gońców z bojowych eskadr, z których każdy żądał czegoś, co musiało być dostarczone nieodzownie, natychmiast. W ciągu dwudziestu minut major porozysłał gońców, poroztelefonowywał zapotrzebowania, pouzgał miejsca i czasy. Otarł wreszcie spocone czoło, wyciągnął z kieszeni fajkę, George podawał już angielski tytoń. „Pan to się mało zmienił — wciąż te same gdańskie konszachty z marynarzami?“ Rozmawiali o dawnych dobrych czasach w Morskim Dyonie Lotniczym. Napływali nową falą łącznicy. Z ich brudnych postaci — z bezsennych, czerwonych oczu biła gorączka i pośpiech pierwszej linii. Należało kończyć pogawędkę. „Czego chcecie?“ — „Żaloga Czapli oddanej do dyspozycji pana majora, melduje posłusznie.“ Powrócił George na służbową płaszczyznę. Duża szara koperta powędrowała z żelaznej szafy do kieszeni George'a. „Oddasz to dowódcy 5 Bazy w Lidzie. W Sokółce już są szkopy. Czapla uzbrojona w Vickersy?“ „Nieuzbrojona wogóle i bez obrotnika, panie majorze.“ „Leć nisko, jak najniżej, wracaj natychmiast! Możesz mi zostawić ten tytoń? Oddam ci wieczorem.“ „Tak jest, panie majorze“ . . . Dopiero w dalekiej Marsylii miał major K. okazję oddania tytoniu głodnemu i obdartemu George'owi, ale to już inna historia.

Start. Lecieli nisko — tuż na drzewami. Wokoło paliły się miasteczka i wsie. Dymy były wysokie w pogodne, wrześnie niebo. Po niebie spacerowały bezkarnie klucze i roje niemieckich bombowców. Pod Łomżą pani Żyrafa ujrzała po raz pierwszy stalowy wał niemieckich czołgów, idący na cienką linię polskiej piechoty. Pod Jedwabnem jakieś dwa działa, nie mogące się widocznie na czas wycofać i nie chcące się poddać, strzelały na odległość 500 metrów do sunącej lawiny czołgów. Most na Biebrzy

był już obsadzony przez szkopów. Czapłę otoczył rój świetlistych muszek. To były pierwsze pociski świetlne, jakie pani Żyrafa i George ujrzeli nie od strony stanowiska strzelca, lecz od strony celu, którym byli. Pierwszą myślą George'a było: co u czorta — pszczoły? — Robaczki świętojańskie? W chwilę później dopiero, gdy niezrównany pilot, chorąży P., rzucił lecącą na wysokości 50 metrów maszynę w gwałtowny ślizg, by wyrównać ją o 10 metrów nad wodą i lecąc tuż nad łożami, wyprowadzić czapłę z zasięgu niemieckich karabinów maszynowych, George wyjaśnił pani Żyrafie: „Otrzymałaś, Kochanie, ognioży chrzest.“

W Lidzie lądowali w 40 minut po nalocie. Płonął lotniczy park, paliły się hangary 55 eskadry, na lotnisku leżały dymiące jeszcze szkielety samolotów naszych i wroga. Duma kwatermistrza 5 pułku lotniczego, piękne bloki mieszkalne rodzin oficerskich i podoficerskich, sterczały, czarnymi kikutami. Witając George'a, kwatermistrz miał łzy w oczach: „Dwanaście lat mojej pracy znikło w ciągu dwunastu minut.“ George oddał papiery. Kazano mu czekać na odpowiedź. Ktoś pocieszał, że Francuzi już w 6-ciu miejscach przerwali linię Zygryfda. Chorąży kłął. Zapalające pociski podziurawiły mu skórzaną kurtkę, co mniejsza, bo kurtka była służbowa; ale szkopy nie uszanowały i jego własnych, prywatnych, „wyjściowych“ spodni. Lewa nogawka w dwóch miejscach była nadpalona i przecięta. „Sześćdziesiąt pięć złotych — jak psu w zadek.“

Do Warszawy dolecieli bez przeszkód. Tylko na lotnisku Okęcie było więcej wyrw, hangary miały więcej dziur, a dach wytwórni płatowców przybrał fantastyczne, nieprzewidziane przez architektów, pochYLENIE.

Major K. siedział w swym gabinecie. O dwa pokoje dalej dawny gabinet płatnika otworzył swe ściany, podłogę i sufit, dowódca I Bazy i cały kancelaryjny sztab dawno opuścili Okęcie. Ale w wysokiej wieży, w gabinecie Zastępcy Dowódcy I Bazy, po dawnemu przyjmował łączników, po dawnemu czuwał nad zaopatrzeniem i transportem spokojny, dokładny, nieugięty major K. Było w tym coś więcej niż „fason“ starego, myśliwskiego pilota. Spokój majora oddziaływał jak zastrzyk kokainy na nerwy gońców i łączników.

„A jesteś — polecisz natychmiast do Słonima — oddasz ten rozkaz Dowódcy Szkoły Pilotażu, pułkownikowi K.“

„Rozkaz, panie majorze!“

„Wracaj natychmiast!“

„Rozkaz, panie majorze!“

Chorąży już wygrzebał jakichś speców i dozorował uzupełnianie paliwa. Rozkaz nowego lotu przyjął, jak rzecz naturalną.

Start. Lecieli nisko nad szerokimi łąkami Podlasia. Mińsk, Węgrów, Kałuszyn, Sokółów znaczyły się słupami wysokich dymów. Pani Żyrafa wyciągała smukłą szyję i modrymi oczyma patrzyła na spokojną, obcą i daleką wszelkim ludzkim kataklizmom, śniącą swój tysiącletni sen, Puszcę Białowieską.

Podchodzących do lądowania na lotnisku w Słonimie powiał ogień karabinów maszynowych. Chorąży poderwał maszynę, dodał gazu. Czyżby już szkopy zdążyli zajechać aż tutaj? Drogą od miasta maszerowała kolumna piechoty. Przelecieli nad nią koszącym lotem. Wyraźnie: polskie mundury. Znow nad lotnisko. Do lądowania. Znow ogień karabinów maszynowych. Chorąży rzucił Czapłę w ślizg — tuż nad ziemią wyrównał — posadził lekko, równo, jak tylko stary pilot potrafi. Ale Czapła nie potoczyła się po gładkiej murawie. Lewa goleń (przestrzelona na wskroś) załamała się. Czapła przeszła na łeb. Śmigło dotknęło ziemi — prasło w setkach odłamków. Czapła leżała bezwładna. Od strony stanowisk karabinów maszynowych biegła gromadka piechurów z bagnetami na karabinach. Wysoki blondyn z naszywkami podchorążego pędził na czele, krzycząc: „Hände hoch!“ George w krótkim błysku

myśli ujrzał gabinet majora K., tłum łączników z bojowych eskadr, samego majora, chodzącego po pokoju o wywalonych oknach i czekającego na swój samolot łącznikowy, który z winy tego oto wrzeszczącego pętaka leży niezdatny do lotu. Lawiną przekleństw powitał nadbiegających. Gniew przesłonił mu wszystko. Zastrzelić sukinsyna. Sięgnął do kieszeni kurtki po Mauser — ręka natrafiła na miękką, gładką szyję pani Żyrafy. Oprzytomniał.

Szedł w kierunku rozstawionych w lesie namiotów. Podchorąży szedł o krok za nim i starał się wytłumaczyć pomyłkę. Miał sylwetki samolotów. Czapl w sylwetkach nie było. Czapla jest podobna od przodu do Heinkel 126, właśnie wczoraj szkopy ostrzelali koszary z lotu koszącego, więc . . .

George oddał papiery. Nadjechał D-ca Garnizonu. Był speszony pomyłką podwładnego. Pokazał tablicę sylwetek. Czapl rzeczywiście nie było. Były natomiast rysunki przedpotopowych Britsoli i Ansaldo. „Pan wie — wszystko było tajemnicą wojskową, ja sam pułkownik, a nie widziałem jeszcze nigdy Łosia ani Karasia. Znamy tylko z ćwiczeń Potezy i R-13.“ George był tak zrozpaczony, że nawet nie zapytał, dlaczego podchorąży nie przerwał ognia, gdy widział, że samolot podchodzi do lądowania. Chorąży chodził chmurny, jak gradowa chmura. W grobowym milczeniu lądowali się do R W D. Start. Ale już po kilku minutach lotu silnik, przyzwyczajony do 5 minutowych rund wokoło lotniska, zakrzuszył się raz, drugi i . . . przerwał.

Na szczęście mieli pod sobą szerokie, lekko podmokłe łągi nadzelniańskie. R W D potoczyła się kilkanaście metrów po uginającym się kobiercu, spod kół trysnęła woda, maszyna powoli, statecznie przeszła na ląd. Śmigło poszło! W milczeniu wylądowali się z kabin. Była godzina 5 po południu. Chorąży, jako pilot, został przy maszynie, George poszedł zorganizować środki transportowe. Wydrapał się na groblę; długa, prosta, wysoko podsypana, prowadziła nad łągami do drewnianego mostu. Za mostem niewielkie miasteczko. George szedł do miasteczka odszukać posterunek policji i telefon. Przed mostem powitała go tablica: „Most 2 klasy na rzece Zelwie, długość . . .“ Zelwa. Zelwa. Zelwa. To słowo było dziwnie znajome. Idąc wzdłuż mostu drugiej klasy na rzece Zelwie, starał się umiejscowić w zmęczonym mózgu ten znany mu dźwięk: „Zelwa“. Nagle wspomniał młodego artystę Tadeusza Żeleńskiego z Polskiego Teatru w Warszawie . . . Jest! „Sułkowski.“ Na deskach Teatru Polskiego stare wiarusy wspominają obronę Zelwy. Wypląnęły z pamięci dalekie, dalekie słowa: „Szpadą zaparł nam drogę odwrotu. Nakapalim krwią szczerze po mostach — obronilim Zelwę.“ Tak — tego mostu bronił kapitan Sułkowski przed wojskami carycy Katarzyny. Gdzieś tu stał jego pół-batalion strzelców Działyńskich. Ten sam widok rozległych, niskich, nieobronnych łągów pozdrawiał ich nieustraszone oczy. Wylowiona z niepamięci „kwestia“ brzmiała dobrą wróżbą: „Obronilim Zelwę!“ (Raz jeszcze w dalekim Kairze pani Żyrafa i George natrafić mieli na ślad po pułkowniku Republiki Francuskiej, Józefie Sułkowskim — ale we wrześnieu ani ona, ani George w najbardziej gorączkowych snach nie śnili o lotach nad Kairem).

Policjanci byli uczynni. Wystawili wartę przy maszynie, posłali konia po chorążego, nawiązali łączność ze Słonimem. Dowódca Szkoły Pilotażu radził: „Za godzinę pójdzie ze Słonima samochód z generałem I. do Warszawy, poproszę, by was zabrał, będziecie o świcie na Okęciu.“ „Tak jest, panie pułkowniku: czekamy“.

Pustymi, prostymi gościńcami mknęła duża sztabowa Chevrolet'a. Wyjechali z Zelwy po 11 wieczorem. Generał i jego adjutant spali na tylnych fotelach, chorąży na przedniej ławeczce, George wkręcił się obok szofera. Był zmęczony, a jednocześnie napięcie nerwów nie pozwalało mu zasnąć. Obserwował drogę. Przed Janowem samochód zaczął

lekką zbaczać na prawą stronę drogi na parę centymetrów przed bandą George nie wytrzymał, pociągnął kierownicę ku sobie, samochód wrócił na środek. Po paru kilometrach taż sama sprawa. Szofer był już czwartą dzień i czwartą noc przy kierownicy. George pokazał swe międzynarodowe prawo jazdy. Zmienili miejsca. Szofer zasnął. Przez puste, proste gościńce Podlasia prowadził George generalską limuzynę. Do Janowa szło wszystko dobrze. Za Janowem zaczęła go ogarniać senność. Z doświadczenia wiedział, że nie może teraz budzić szofera, człowieka, który nie spał cztery doby nie można puścić do kierownicy, dawszy mu trzy godziny snu: zaśnie przy kole. Walcząc z sennością, prowadził więc Chevrolet'a po długich, prostych odcinkach podlaskich dróg. Za Łosicami ujrzał tuż przed sobą tabor chłopskich wozów. Zapiszczały potężne hamulce. Limuzyna stanęła: szosa pusta. Ruszył dalej; po kilku chwilach wóz zaprzężony w trzy białe konie wyjechał z polnej drogi, tarasując szosę. Hamulce: wozu nie ma. George postanowił nie zwalniać i przełamać zwidzenia. Za zakrętem ujrzał znów stado białych koni, zmniejszył szybkość, ale nie hamował, na czterdziestce wjechał w to stado, czuł jak ręce i czoło okrywają mu się zimnym potem, czekał na trzask łamanych błotników . . . Równy szum kół — limuzyna przechodzi przez widmowe stado. Raz pokonawszy strach przed widmami, prowadził już spokojnie przez całe szeregi zjaw. Wiedział, że wystarczy wjechać w przeszkodę, a ona się rozplynie. Ale w Kałuszynie przeszkody nie zastępowały drogi, stały po obu stronach, zostawiając środek wolny do przejazdu. Potworne jakieś zgłiszczka, rumowiska, trupy ludzi i koni leżały po obu stronach szosy. George wiedział, że wystarczy najechać, a trupy znikną, ale nie mógł się zmusić, by najeżdżać zwłoki ludzkie, czy końskie. Z ulgą powitał znów puste pola, zostawiając Kałuszyn za sobą. Dojeżdżających do do Mińska zastał świt. Za Mińskiem stały samochody I Bazy. George zwolnił. „Gdzie jest major K.?” „Major K. jest o kilometr stąd, w Glinniku, pierwsza droga za tym mostem w lewo. My też tam jedziemy, panie poruczniku.“ Obudził szofera, kazał mu zrobić parę przysiadów, skreślił na kartce kilka słów podziękowania dla śpiącego wciąż generała, wyciągnął na drogę pilota — i po chwili limuzyna znikła w kłębach kurzu.

Eskadra treningowa I Bazy. Tak się to ładnie nazywało. Zasadniczo Eskadra miała tworzyć rezerwę personelu dla eskadr bojowych, dostarczać uzupełnień. Ale eskadry nie potrzebowały uzupełnień w personelu. Sprzęt wykruszał się szybciej niż ludzie. Więc w eskadrze treningowej czekali bezczynnie piloci i obserwatorzy, czekali na zapowiedziany francuski i angielski sprzęt. Tymczasem eskadra miała 85 samolotów, starych, nieuzbrojonych gratów. Młodzi piloci, przeważnie z aeroklubów, entuzjaści lotnictwa, tacy co to bez żadnych „dodatków lotniczych“ potrafili każdą wolną chwilę spędzać na lotnisku, bo a nóż zdarzy się okazja polatania? — teraz chodzili chmurni, jak noc, i wciąż napraszali się o pozwolenie wykonania nocnych bombardowań na nieuzbrojonych R W D i P. W. S. ach. Przyjechał pułkownik „Dęciak“, George zameldował się jako oficer służbowy eskadry. „Rozkład zajęć?“ „Czy była wizyta?“ „Eskadra nie ma karabinów, panie pułkowniku.“ „Niech pan zarządzi ćwiczenia w salutowaniu.“ „Rozkaz, panie pułkowniku.“ George wyszedł do ogrodu. Po pogodnym niebie wałęsały się bezkarnie klucze i roje niemieckich bombowców. Od strony niedalekich Siedlec biły w niebo wysokie łuny i dymy pożarów. Od strony toru kolejowego niosły się detonacje bomb. Pogrożonego w wiadomościach myślach, znalazł go Dowódca Eskadry kapitan Józef. „Pan i podporucznik Stasio pojedziecie po benzynę, nie wracajcie bez benzyny, jedźcie do Siedlec, do Garwolina, do Dębłina, gdzie chcecie, ale benzynę muszę mieć. Oczekuję na rozkaz zmiany lotniska, a naszą benzynę oddaliśmy eskadrze „Karasi.“ Właściwie starania o paliwo należały do zastępcy Dowódcy, ale ten od samego początku wojny nic innego

poza wożeniem w samochodzie swojej żony i dziecka nie robił. „Rozkaz, panie kapitanie.“

Wzięli dwa ciężarowe samochody. Postanowili zacząć od pobliskich Siedlec. Dnia 2 września o godzinie 13 ppł. To starczy za wiele opisów i tłumaczy jasno, dlaczego w Siedlcach pobrać benzyny nie mogli. Ale to było.

Zapchana wozami, samochodami, ludźmi szosa z Siedlec do Garwolina. Pod prąd uciekającej fali musieli jechać bardzo wolno, często stając, gdyż utworzyły się zatory. Po bokach często leżały ofiary Luftwaffe, postrzelani ludzie, porozrywane bombami samochody i chłopskie furmanki. W spalonych Latkowicach jakaś wieśniaczka podbiegła do samochodu: „obróńcie nas, panie, pomścicie!“ . . .

Garwolin dnia 2 września o godzinie 6 po południu. To starczy za wiele opisów i tłumaczy fakt, że w Garwolinie benzyny do pobrania nie było. Pozostał Dęblin. Znow przebijanie się przez rzekę uchodźców. Raz, gdy mijali rozbite bombami sanitarki poważny, starszy doktor w mundurze majora, siłą zatrzymał samochód, niemal rzucając się pod koła. „Musisz mi, poruczniku, oddać samochody, mam rannych, muszą być operowani, inaczej umrą.“ George szukał pomocy w oczach podporucznika Stasia. Stasio załatwił sprawę krótko — „Ty dowodzisz, ty decyduj.“ Pani Żyrafa w tej ciężkiej chwili zdradziła również George'a, ukrywając się w przepaściach kieszeni. Regulamin mówił bardzo ładnie i bardzo wyraźnie o pobieraniu decyzji, ale nie przewidział niestety takiej właśnie okazji. George podszedł do rannych, wyladowanych z rozbitych sanitarek na bandę gościńca. Pierwszy z brzegu leżał plutonowy 65 pułku piechoty, obok kapral I Dyonu Artylerii Konnej. Obaj patrzyli na George'a. „Słyszeliście rozmowę?“ — „Tak!“ — „Jestem wysłany po benzynę, jadę do Dębłina. Jeżeli spełnię prośbę waszego doktora, zostawię eskadrę bez benzyny — „Jedź pan po benzynę, panie poruczniku!“ Doktor milczał. Pani Żyrafie spocily się oczy. George zsalutował leżących żołnierzy.

Późną nocą wjeżdżali do pałacej się Ireny. Dęblin ucierpiał stosunkowo mało. Stasio odszukał magazyniera i zaczęło się ładowanie. George leżał pod wygwieżdżonym niebem. Koszmar wojny oglądany z samochodu był stokroć straszliwszy niż z powietrza. Z powietrza wszystkie okropne szczegóły stają się dalekie, jak film. Dopiero to samo, oglądane na ziemi, wywołuje grozę. George słuchał monotonnego cykania pomp, słyszał głos Stasia i zapadał w gorączkowy sen. We śnie wciąż otaczali go spotkani w ciągu ostatnich dni i nocy ludzie i wciąż powracały przeżyte obrazy.

Major K. wysyłał go do Pucka — wysoki blondyn z naszywkami podchorążego kazał oddać sobie Mauser'a i panią Żyrafę, stara wieśniaczka z Latowicz i ta obłąkana Żydówka z nieżywym dzieckiem w ramionach na rynku w Irenie prosiły go o obronę, a kapral z I DAKu dawał listy do Warszawy. Pułkownik „Dęciak“ nakazywał nauczyć salutowania i paradnego kroku „rekruta Żyrafę.“ Wysoki, ciemnolity Cygan najeżdżał koniem, żądał wysłania RWDziaków na bombardowanie Berlina. Pani Żyrafa dopominała się o sałatkę z pomarańczy, mówiąc: „Jeśli Dęciak może żądać ćwiczeń w salutowaniu, to ja mogę prosić o sałatkę z pomarańczy.“

Przed Wodyniami przy starej gorzelni rozchodziły się drogi, w lewo do wsi i do dworu, w prawo do lasu i położonego z lasem lotniska. Noc była jasna, na niebie gwiazdy, na horyzoncie łuny pożarów, od bliskich Kotuń niósł się głuchy huk armat. Na drogę wyszedł chłop, poganiając przed sobą krowę, tak by zatarasować drogę; na dźwięk klaksonu skoczył odganiać, przyglądając się przy tym pilnie mundurom i znakom na samochodach. Stwierdziwszy że ma do czynienia ze swoimi, zcichą zagwizdał.

Na drogę wyskoczyły dwa cienie. „Czy to pan porucznik Stasio ?” Stasio znał swych podoficerów po głosie : „Co powiesz ciekawego, Witek ?” „Panie poruczniku, we Wodyniach już od wieczora są szkopy. Rzut kołowy odszedł przed wieczorem na Łuck. Rzut powietrzny czeka pod lasem na benzynę, jeszcze tu nas szkopy nie zwąchały. Nas porucznik Stefan tu wysłał, aby zaś panowie nie wjechali do wsi lub do dworu. Bogu dzięki żeście nareszcie przyjechali, panie poruczniku. Bo kapitan Michał powiedział, że jak do świtu nie będzie panów, to samoloty spali, a nas wyprowadzi lasami na Stoczek.”

Jadąc w stronę lasu, i przysłuchując się opowiadaniu kaprała, George zainteresował się losami Dowódcy Eskadry, gdyż w opowiadaniu kaprała wciąż tylko słyszał : „Kapitan Michał to, kapitan Michał tamto.” Dowódcą Eskadry był kapitan pilot Józef; w tak czulej sytuacji miejsce Dowódcy jest przy Eskadrze. Czyżby zginął na jakimś rozpoznawczym locie ? „A gdzie jest kapitan Józef i jego zastępca ?”

„O, pan kapitan Józef i pan porucznik Pr. jeszcze przed wieczorem pojechali samochodami do Łucka : przy eskadrze jest kapitan Michał i porucznik Stefan.”

Ale właśnie Stefan nadchodził od strony bliskiego już lasu. „Po śmierć was dobrze posyłać, tylko 37 godzin was nie było : benzyna jest ?” — Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, z miejsca zorganizował zaopatrzenie samolotów. Jego wysoka, szczupła sylwetka, jego stanowcze ruchy i spokojny głos pozostaną na długo w pamięci uczestników Wołyńskiej ewakuacji nocnej. W odległej o parę kilometrów wsi nocowały niemieckie czolgi : tu pod lasem, z odciętą jedyną drogą prowadzącą na wschód, oczekiwało na benzynę 85 samolotów i 150 ludzi — pilotów, obsrwaterów, mechaników : wszyscy bez broni lub uzbrojeni w rewolwery. Jeden patrol mógł zlikwidować całe to, zajęte pompowaniem benzyny, towarzystwo. Ale paniki nie było. Spokój porucznika Stefana, jego dowcipy, polajanki, jego niczym nie zmaczona pewność siebie udzieliły się całej eskadrze. Kiedyś na Zawodach Krajowych, jako Komisarz Sportowy, doglądał obsługi samolotów przez załogi. Spokojnie i grzecznie chodził wśród zdenerwowanych zawodników i kontrolował ich pracę, nie szczędząc punktów karnych. Teraz stał się jeszcze spokojniejszy, jeszcze grzeczniejszy, jeszcze bardziej surowy : „Tu nie ma punktów karnych, ale jeżeli pan będzie lał benzynę bez filtrowania, to spowoduje pan defekt motoru, rozwalenie samolotu, a może i śmierć załogi.”

Na godzinę przed świtem uzupełnianie maszyn w paliwo zostało ukończone. Niestety nie dla wszystkich maszyn wystarczyło pilotów. George słyszał, jak plutonowy Władek prosił kapitana Michała o pozwolenie startowania na jednym ze skazanych na spalenie RWD-8. „Mamy go spalić, to niech ja spróbuję, nieraz piloci pozwalali mi poknyplować, dam sobie radę, panie kapitanie.” „Dobrze, bierz, niech ci porucznik Stefan objaśni, jak masz startować (kapitan Michał był baloniarzem i do eskadry trafił przypadkowo, biorąc na swe barki pracę tego, który wołał odjechać samochodem).

Ciemność nocy przelamywała się w szarość świtu. Porucznik Stefan zarządził odprawę pilotów. Sam miał startować ostatni, podpalając przed tem pozostawione samoloty.

Las ożył, rozśpiewał się, rozdzwonił, rozhuczał potężną pieśnią 78 motorów. Samoloty startowały kolejno. Od chwili zapuszczenia pierwszego motoru do chwili startu porucznika Stefana upłynęło 40 minut.

Podchorąży Ignacy pilotował RWD-13, w której wygodnych fotelach pasażerami byli : pani Żyrafa, sierżant-mechanik Karol i George. Samolot niósł się nad uśpionym krajem, wczorajsze pożary już podogasały, nowych jeszcze bohaterscy piloci Luftwaffe nie zdążyli zapalić. Wstawał złoty od słońca wrześniey dzień.

Na lotnisku w Łucku powitał ich ogolony już i wyświeżony, pachnący porucznik Pr., zastępca Dowódcy Eskadry. Poinformował George'a o trudach podróży samochodem, o kłopotach, jakie mieli zanim znaleźli w hotelu możliwe pokoje, o tym, że musi już wracać do miasta po żonę, która udała się do fryzjera. Pogawędkę zakończył poleceniem zostania na lotnisku i kierowania nadlatujących maszyn do Młynowa.

Dzień 14 września miał beczynnienie, nieciekawie. Lotnisko było położone tuż koło koszar i stacji kolejowej. Pierwszy nalot był o godzinie 10. Ignacy, "srebrny" podchorąży—jeszcze z 1920 roku—wyznawał zasadę, że bomba pada w to samo miejsce równo co 6 lat, mieli więc dość czasu, leżąc w świeżym leju, obserwować srebrne, błękitne Dornier'y i czarne obłoczki wybuchów artylerii przeciwlotniczej. Inne eskadry też pozostawiły na lotnisku swych łączników i wkrótce lej został zapełniony przedstawicielami wszystkich prawie eskadr. Całe lotnictwo było zgrupowane w pobliżu Łucka, i każda świeżo lądująca maszyna była natychmiast kierowana na właściwe lotnisko polowe. Naloty powtarzały się regularnie co dwie godziny, maszyny własne lądowały co kilkanaście minut — czasu na pogawędkę było aż nadto dość. Z liczby 76 samolotów, które wystartowały z Wodyń, przez Łuck przeszło dopiero 52. Należało cierpliwie czekać.

Z dziesiątek ust, na dziesięć różnych wariacji padała ta sama, straszliwie jasna prawda: lotnictwo wroga miało w pierwszych dniach wojny straszliwą przewagę, a od 6 dnia wojny — panuje i robi bezkarnie co chce.

W eskadrach straty olbrzymie. Na pierwsze zadanie startowały jeszcze całe eskadry — potem już tylko klucze. Potem na rozkaz Dowództwa Armii, by zbombardować za wszelką cenę posuwającą się kolumnę niemieckich czołgów — dowódca eskadry wysyłał nieraz tylko jednego Karasia — jednego, bo ten jeden stanowił całą eskadrę.

Ci, którzy zetknęli się bezpośrednio ze szkopami, wyrażali się o nich bez specjalnego respektu. Jeżeli szkopy wywalczyli panowanie w powietrzu, to tylko piętnastokrotną przewagą liczebną i wyższością sprzętu. Wszyszy mówili: dajcie nam nowoczesny sprzęt, a w ciągu jednego dnia zmienimy sytuację na froncie. Niech piechur nasz zacznie walczyć ze szkopem na równych warunkach — niech go przestaną wyrzucać z zajętego stanowiska niemieckie nurkowce — niech ich czołgi dostaną jeszcze parę takich nauczek, jak pod Jaworowem czy Nowym Targiem — zobaczycie, jak biegunowo odmieni się cała sytuacja. Dajcie nam tylko sprzęt.

Ale sprzętu nie było.

Przed wieczorem przyjechał na motocyklu ppor. Stasio. Zestrzelony w pobliżu Łucka, lądował szczęśliwie na jakimś pólku, spalił grata i wykombinowawszy motocykl przyjechał do Łucka. Jak zawsze, był pełen dobrych nowin. W Konstancy wylądowano już 800 francuskich samolotów. Połowa, to sławne francuskie Potez'y 630. Pułkownik Z. i major C. już kompletują załogi, które jeszcze dziś w nocy odejdą samochodami po samoloty. Podobno już 150 pilotów myśliwskich wyjechało po angielskie Hurricane'y do Bukaresztu. Podobno linia Zygfrйда przełamana w 8 miejscach i armia francuska weszła włąb Rzeszy na 70 kilometrów.

Posypały się opowiadania o wspaniałych właściwościach Potez'ów i Hurricane'ów.

W zabudowaniach folwarku nie było już miejsca pod dachem, gdzieby nie rozłożyli się żołnierze. Obszedłszy nadaremnie wszystkie możliwe zakamarki w poszukiwaniu „przestrzeni życiowej," George postanowił spędzić noc na stogu siana.

Wdrapawszy się w wonny, uginający się stóg, potknął się o czyjeś nogi i padając uczuł pod kolanami czyjaś głowę. Zgodny chór rozespianych głosów wysyłał go do wszystkich diabłów, piekła, i wielu innych miejsc położonych poza obrębem stogu. Rozpoznawszy głos Sęfana, George

proponował, że może jednak . . . może jakoś w dwójkę . . . „Ba, kiedy nas tu jest już pięciu“ — oponował właściciel. „FA-FU, to będzie nas sześciu,“ stwierdził spokojnie George, wślizgując się w miłe ciepło siana.

Była cudna, wrześnieowa noc. Niebo rozświetlone miliardem gwiazd. Ze stogu niósł się zapach polnych kwiatów i świeżego siana. „Zupełnie jak w Rybieniu — pamiętasz?“ — pani Żyrafa wysunęła się z kieszeni kurtki i utkwisz w George'a duże modre oczy dopominała się o swój przywilej wieczornej rozmowy. Aksamitny pyszczek ocierał się o policzki George'a, a piękne oczy patrzyły pytająco: „Powiedz, proszę.“ Cóż ci powiem, Kochanie? Widziałas to samo co i ja.“ Ale pani Żyrafa nie chciała rezygnować z przywileju i zdawała się mówić: „Tak, ale byłeś na kolacji w Resursie Obywatelskiej, ja byłam cały czas w kurtce, w szatni, nie słyszałam tego, co tam mówili chłopcy — Za to gdy wracaliśmy, słyszałam co mówił Tadek o „leśnych dziadkach“ — powiedz mi, proszę, jak jest? Ty wiesz że Lucienne nauczyła mnie patrzeć na was jak na bohaterów. Pamiętam, kiedyś wzięła mnie do Yacht-Clubu, by mi pokazać sławnego pułkownika P. i majora B. Gdy Lucienne kazała mi iść z tobą — byłam taka dumna — myślałam, że polecimy rzucać bomby na Berlin — że będziemy walczyli, zwyciężali — a my właściwie uchodzimy i uchodzimy, wciąż dalej od mojej pani, wciąż dalej od naszej Warszawy . . . Powiedz mi prawdę — ty wiesz — ja zrozumieć —“ Aksamitny pyszczek pani Żyrafy ocierał się o policzki George'a, piękne modre oczy patrzyły z bardzo bliska. „Kochanie, nie zrozumiesz, tego nawet ja nie rozumiem i obawiam się, że tego co się rozgrywa w tej chwili nie rozumie jeszcze nikt w Polsce. Zrozumienie tych wrześnieowych dni może przyjdzie później — może nie przyjdzie wcale. A co się tyczy rozmów, które słyszałaś dziś, pamiętaj — nie wolno Ci uogólniać. Staraj się zrozumieć mnie. Jest nas około pięciu tysięcy personelu latającego. Zaledwie jedna piąta znalazła się w eskadrach bojowych. Szkoda że nie widziałas pierwszych wrześnieowych dni, gdy jeszcze w eskadrach były samoloty. Kiedyś, kochanie, te rzeczy przejdą do polskiego lotnictwa. Kiedyś będziesz bardzo dumna, że twą szyję głaskały dłonie Piotrusia, Witka, Pawełka i Stefana. O tych chłopcach, co śpią po izdebkach i zakamarkach folwarczku, upomni się kiedyś Legenda. A że na tyle tysięcy znalazło się paru tchórzy, kilku łotrów, zapomnij o tym, to nawet nie ułamek procentu, to nikły, nikły odprysk najwspanialszej armii. O tych zapomnij, kochanie. Pamiętaj o rannych na Dęblińskiej drodze — o tych dwóch działach pod Jedwabińskim lasem — o tej piechocie pod Łomżą — to niech zostanie w twej pamięci.“

„Dobrze, rozumiem, to armia, a my — co z nami? (Pani Żyrafa nauczyła się już mówić: „my — lotnicy.“).

„My, kochanie, musimy czekać na sprzęt. Wkrótce zapewne otrzymamy go i wtedy pokażemy naszym „kontr-partnerom,“ że co innego jest strzelać do bezbronnych RWDziaków, a co innego walczyć. A i nad Berlinem jeszcze zdążymy polatać. Obiecuję ci, że jeszcze zobaczysz bombardowanie Berlina. Ale to wszystko zależy od otrzymania sprzętu; przecież ty też, kochanie, nie możesz walczyć z wilkiem Darem, bo on ma potężne kły, a ty tylko tę aksamitną mordeczkę i te modre oczy.“

Następny dzień przyniósł rozkaz przesunięcia się do Stanisławowa. Potem przyszedł rozkaz zorganizowania lotniska w Trójcy. Stanisławów miał być zwolniony i używany wyłącznie przez samoloty eskadr bojowych.

Od rana pracowano nad poszerzeniem i wyrównaniem pola wzlotów. Pomimo że była to niedziela, z pobliskich wsi przybyli tłumnie ukraińscy chłopcy i z zapalem stanęli do pracy. Pole zaroilo się barwnymi strojami. Chłopcy byli wyspecjalizowani w robotach ziemnych. Ustawiczna walka z narowistym Prutem, z jego częstymi wylewami, z klęskami wiosennych powodzi uczyniła z nich doskonałych kopaczy, fachowców od sypania tam i od równania powierzchni.

Po niebie od samego rana krążyły roje jakichś nieznanymi samolotów. Specjaliści od sylwetek wiedli zażarte dyskusje, czy są to samoloty francuskie czy angielskie. Krążyły na dużej wysokości, po czym znikwały, oddalając się na wschód. Pewnym było tylko to że nie są to samoloty Luftwaffe.

Okolo godziny 5 gdy praca była już ukończona i tylko ciężki walec (własność wydziału powiatowego Kosów Huculski) ugniatał świeżo ułożoną darn, nauczycielka Szkoły Ludowej zaprosiła oficerów na podwieczorek.

Podano go w sali szkolnej. Ze ścian patrzyły twarze dostojników Państwa. Poniżej zwieszały się dwie duże mapy: Polski i Europy. Na katedrze stał niewielki globus i piękne radio — odbiornik Philipps'a. Kilka młodych, bardzo zaferowanych swą niecodzienną rolą, Huculek pomagało nauczycielce w rozdzielaniu kubków z herbatą, chleba, masła i powideł. Ich piękne zapaski, wzorzyste chusty, wyszywane barwną nicią rękawy koszul wnosily nastrój ludowej zabawy, czy nawet Spalskich dożynek.

Tematem rozmów była wojna. Pani nauczycielka słuchała pilnie komunikatów, nadawanych przez pobliskie Sowiety, i codziennie wytyczała linię frontu biało-czerwonymi chorągiewkami. Dopiero tu, w tej zapadłej, odciętej od świata wiosce huculskiej, wielu oficerów po raz pierwszy ujrzało jasno, jakie olbrzymie postępy poczyniła niemiecka ofenzywa, jak były dalekie od prawdy oficjalne Łuckie komunikaty.

„Właściwie to szkopy zajęły już prawie pół Polski“ — zdziwił się szczerze Witek. „I cóż dziwnego, nasza mobilizacja miała być gotowa dopiero w 21-szym dniu wojny. Przełamali dywizje osłonowe i poszli w głąb nieprzygotowanego na takie natarcie kraju.“

„I co będzie — panowie — co będzie? Zatrwożyła się pani nauczycielka.

Tak się utarło w naszej paczce, że do rozmów „ze spoeczeństwem“ delegowany był Stasio: „Powtórzy się rok 1920, proszę pani — wtedy Moskale zajęli pół Polski — zwyciężyliśmy ich, choć byliśmy sami przeciw 140 milionowemu kolosowi. Teraz szkopy zalały pół Polski — zwyciężymy i szkopów. Tylko Armia musi się zmobilizować, tylko musimy dostać nowoczesną broń. W tej wojnie jesteśmy sami. Pierwsze transporty czołgów już są w Konstancy, a te samoloty co pani dziś widziała, to są francuskie potęży.“ Było zwyczajem, że gdy mowę trzymał Stasio, nikt mu nie przerywał, ale tym razem Zbyszek nie wytrzymał: „Blenheimy, nie Potezy, Stasiu.“ „Samaś Blenheim, najwyraźniejszy w świecie Breguet 490.“ Zaperzył się Tadek, podsuwając Zbyszkowi pod oczy numer „Skrzydlatej“ z sylwetkami sojusznicznych samolotów.

Podporucznik Stefan nie brał w dyskusji udziału. Siedział w oknie, obrócony w stronę zalanego słońcem ogrodu. Oczy Stefana błdziły po niebie. W twarży malowała się rozpacz.

W te wrześnieowe dnie, ppor. Stefan był duszą Eskadry. Każdy wiedział, że nie opuści nikogo, niepotrzebnie nie narazi, a jeśli jakieś zadanie będzie naprawdę niebezpieczne, to do wykonania wyznaczy sam siebie.

Starał się o powrót do myśliwców, ale to dla braku maszyn chwilowo było niemożliwe. Tak więc „chwilowo“ siedział w Eskadrze już prawie dwa tygodnie.

George zbyt dobrze znał Stefana i zbyt dobrze wiedział, co znaczy taka niedobra zaduma. Należało natychmiast przerwać ten zły krąg.

Odnalazł Stasia, podeszli razem do okna. „Chodź Fakirze, przejdziemy się trochę, może ci się od chodzenia trochę te nogi pościerają, przecież za Boga — nie zmieścisz się w żadnym Hurrican'ie, z twymi kilometrowymi girami.“ Stefan przerzucił swe rzeczywiście długie nogi na zewnątrz, wprost z okna zeskoczył do ogrodu. Poszli jego śladem. Stasio opowiadał jakieś lubelskie anegdotki. Ale Stefan reagował słabo. „Czy ty naprawdę

wierzysz w to, coś natrajlował tej babie ?“ spytał wreszcie. „W zwycięstwo nad szkopami—wierzę ! To jasne jak dzień, niech tylko Potezo- Blenheimy dostaniemy !“ „A ty ?“ — zwrócił się Stefan do George'a. „Widziałeś tę szosę pod Dubnem ?- wybuchnął nie czekając odpowiedzi — pamiętasz ? To przecież nie odwrót, to koszmar. Widziałeś te samochody ? Sztaby, Dowództwa, Szefostwa — wszystko otoczone żonami, kanarkami, psami. To żadna tajemnica. Ludzie, którzy w czasie pokoju uważali się za półbogów, teraz nie mają tej przyzwoitości, by za swe straszliwe błędy zapłacić krwią ?“

„Postarzeni się bohaterowie spod Radzymina i Lidy. Poprzez górę brzucha ręka już miecza nie sięga. Ale nie oni, Stefan, zadecydują o klęsce lub zwycięstwie.“ „Więc kto ?“

„Żołnierze, którzy chcą i będą walczyć. Mylisz się, to nie wiek jest linią podziału. Taki pułkownik „Al-Capone“ jest starszy od nas, trzy wojny ma za sobą, major C., pułkownik B., i wielu, wielu innych . . . daj Boże tak jak oni spełnić obowiązek. A znów taki kapitan Józef czy Tadeusz, są od nas młodszy wiekiem.“ — „Więc co — odwaga ?“

„Nie wiem, może to jakiś najosobistszy ideał, czy idea, nie wiem . . . Ale pozwól mi skończyć i odpowiedzieć. Co do tej szosy. Słuchaj, czy widziałeś uciekającego żołnierza ? Nie. Widziałeś tylko odpryski armii, swolocz, która żerowała i tuczyła się pod przykrywką munduru żołnierskiego. Wiem, że potrafisz wyliczyć tysiąc nazwisk tych, którzy nad obowiązek żołnierski przełożyli obowiązek dobrego ojca rodziny. Ale żaden z nas nie potrafi wyliczyć milionów nazwisk tych, co swój obowiązek spełnili, choć w pokojowych czasach nie nosili zaszczytnych mundurów. I właśnie te miliony zadecydowały już o naszym zwycięstwie !“

„Co ? Zadecydowały już ? Dla ciebie sprawa walki i zwycięstwa jest już przesądzona ?“ — „Tak, ta sprawa jest już przesądzona ! Weszliśmy do tej wojny z dwoma wielkimi minusami : niższość sprzętu i zgniła „góra.“ Ale już te pierwsze dni uświadomiły mi nasze plusy : męstwo żołnierza i bezgraniczną zdolność do poświęceń wśród całego społeczeństwa. Takiego żołnierza i takiej ludności nie znajdziesz, choćbyś wszystkie ziemie obszedł, gdzie jaka ziemia jest. Sprzęt dadzą nam sojusznicy, zgniła „góra“ właśnie się skwapliwie wynosi, na polach walk wyrosną nowi dowódcy, tak, jak wyrosli marszałkowie Wielkiego Cesarza.“

„Więc obaj wierzycie w Zwycięstwo ?“

„Ty, Stefan, wierzysz tak samo, dałeś się tylko unieść wstydomi i rozpaczcy na widok tych tam w limuzynach. Ale oni nie są Polską.“

„Porucznik Stefan ! Porucznik Stefan !“ rozległy się głosy od strony szkoły. Pobiegli pędem. Na środku szkolnej sali stał kapitan Michał. Twarz miał szarą, oczy czerwone.

„Niech pan zarządzi pogotowie. Kapitan Józef wrócił ze Sztabu, odprawa oficerska we dworze o godzinie 19.“

Spiesznie podziękowali nauczycielce i szli szybko milczącą gromadą przez ciche uliczki w stronę typowego, białego dworku, gdzie było — Dowództwo Eskadry. Weszli do salonu, ustawili się w półkole. Miejsce George'a wypadło na wprost dużego, znanego mu z dziecińczych lat obrazu : śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą. Znać obraz ten był bardzo popularny we wszystkich dworkach od morza Czarnego aż po Bałtyk, bo Stasio zaszeptał : „U nas też jest taki sam obraz.“ Co usłyszawszy porucznik Bruno dodał : „Zaś mój stary ma taki sam ale landszaft nad kantorką.“

Węjście kapitana Józefa uciszyło szept. Półkole oficerów sprężyło się w postawie „baczość.“ Kapitan był wzruszony. Zapomniał rzucić zwykle : „spocznij“ i półkole zastygło w bryłę.

Zaczął odczytywać rozkaz generała Stachewicza.

Rozkaz zawiadamiający o napaści Sowieców na nasze tyły i nakazujący

przekroczenie rumuńskiej granicy. W martwej ciszy słychać było wyraźnie każde słowo kapitana Józefa :

„Rzut powietrzny . . . Porucznika Stefana . . . Start . . . Rzut kołowy . . . Droga na Kutry . . . O godzinie . . . Dziękuję panom.“

Odprawa skończona.

Ale wojna nie była skończona.

Wprawdzie porucznik Stefan zginął śmiercią lotnika w swym ukochanym Warszawskim Dywizjonie Myśliwskim, a porucznik Stasio w niewoli. Wprawdzie przeszło połowa młodych pilotów Eskadry Treningowej poszła śladem Stefana lub Stasia. Wprawdzie pani Żyrafa zginęła na samolocie bojowym Powietrznych Sił Jego Królewskiej Mości Króla Anglii —

Ale walka rozpoczęta nalotem niemieckich bombowców na Warszawę trwa i trwać będzie aż do pełnego zwycięstwa.

EUGENIUSZ CĘKAŁSKI

OSTATNIA JESIEŃ

BUDAPESZT

Łądujemy wreszcie w Hotelu Fiume, który w lepszych czasach nienajlepszą cieszył się opinią. Teraz jeszcze raz po raz zakochane pary dyskretnie przemykają się w cieniu korytarzy. Z podziwem przyjmujemy obiady i kolacje w oszklonej restauracji na dole — za oknem Dunaj i luksusowe hotele po drugiej stronie rzeki. Gra cygańska muzyka i idiota skrzypek w poszukiwaniu napiwków, których od nas przecież nie dostanie, raz po raz podchodzi i wygrywa nam do ucha krakowiaki. Lepiej trafił, bo obok siedzi inna polska grupa — starsi panowie z żonami, dziećmi i guwernantkami, przemysłowcy z Poznania — 3 zakurzone limuzyny stoją za oknem a szoferzy noszą tam i nazad walizy i koce — tu widocznie jest jeszcze forsa. Łykamy z trudnością zapapryczone potrawy a nasz generał, żeby swą wyższość wykazać, od czasu do czasu stawia szklanekę wina, bez którego nie sposób właściwie nieprzyzwyczajonemu przełknąć papryki.

Teraz zaczyna się seria dni z programem powtarzanym uporczywie przez setki tysięcy nam podobnych w dziesiątkach miast stołecznych całego świata. Polska deptanina. Każde miasto miało taką trasę — Konsulat, biura pomocy uchodźcom, popularna kawiarnia. Zaczyna się to spontanicznie, od razu, niech tylko fala rodaków przyplynie po tej czy innej inwazji. Idzie się od rana, stoi się w poczekalni konsulatu z setką innych, oczekując niewiadomo na co, na paszport czy na wiadomość, czy na zagubionych przyjaciół i krewnych. Po odsłuczeniu przepisowych paru godzin, po odczytaniu po raz dziesiąty komunikatów wojennych na ścianie wywieszanych przez zagonionego urzędnika, po plotkach, biadaniu, po patrzeniu na cudzą i swoją nędzę idzie się dalej mijając na ulicy dziesiątki — jak my zdenerwowanych przybyszów. Na ogół ludzie tutejsi to dawna śmietanka ojczyzny — samochodowi, tacy co jak my prysnęli tutaj przez granicę i w tępej zadumie czekają co dalej. Stoją auta ze znakiem PL i nawet taksówkę warszawską można spotkać. Idzie się potem do polsko-węgierskiego towarzystwa, tam znów stojące przed drzwiami zmory rodaków a w środku węgierskie hrabiny dzielnie rozdają szaliki, buty i swetry oraz biorą co szczęśliwszych na swoje pałace na bezterminową gościnę. Potem Poselstwo — tu właściwie tylko wtajemniczeni wnikają, bo groźny strupel przed nosem bramę zamyka. Pan poseł, pan radca, pan sekretarz nikogo nie przyjmują,

obyczaję dyplomatyczne wymagają dostojeństwa i Polska może się skończyć, ale póki się do ciała dyplomatycznego należy, trzeba swoją powagę utrzymać. Potem kawiarnia, gdzie za pożyczone od bogaczy (tych co mieli dolary) parę fillerów pije się kawę i czyta niemieckie gazety, bo ktoby po węgiersku zrozumiał. I znowu hotel, w którym co wrażliwsi leżą pokotem na łożku cały dzień patrząc w gipsowany sufit, licząc muchy i własne nieszczęcia.

Żeby z sobą zrobić jakiś wewnętrzny porządek jedyna rzecz iść na miasto samemu — nie darmo przecież jest to najpiękniejsza stolica w środku Europy. Samemu, bo wprawdzie się Krzakowski doprasza, ale iść z nim, to słuchać bez przerwy jak to Warszawa się bije a my tu, on tu — mężczyzna i żona z małym dzieckiem tam w ogniu i piekle. Ciągłe widzę — mówi — małego trupka — dziesięć razy to powtarza i podtyka mi pod nos fotografię ślicznego i wesołego dzieciaka. Pogoda cudna, na wyspie Małgorzaty kwitną jesienne kolory, Dunaj szary i złoty, pod mostami płyną długie pociągi barek załadowanych naftą, na statkach bandery ze swastyką, płynie nafta z Rumunii potrzebna, aby naszych bliskich dobić. Na ulicach rodacy wszędzie, tu się znalazł nawet ktoś w mundurze — bardzo nas to oburza, przecież niemieckich szpiegów pełno, ale paniusie węgierskie zaraz częstują żołnierza polskiego śliwkami i prowadzą do konsulatu, aby tam w tylnym pokoiku, gdzie butów, spodni i kurtek stopy, dobrał sobie cywilne ubranie i wyszedł na miasto jak pokraka — niedopasowane — niezgrabne ubrania cywilne to nowy mundur polski w Budapeszcie. Na innej ulicy stoją Polacy tępo przed wystawą Niemieckich Kolei.

Pełno tam fotosów z wojny w Polsce, w kinach już o tym pokazują filmy, u nas naturalnie nikomu fotografować ani filmować nie dano. Dziwimy się odtąd i przez długie jeszcze lata dziwić się będziemy, że lajdactwo i agresja posługują się nowoczesną nauką i techniką a mu wlecziemy się po świecie z jasnym sercem i ideami pradziadka — myśląc nadal i działając według recept wojny rosyjsko-japońskiej.

Wtedy idę do parku i dziwię się patrząc na siarczane gejzery, gorące i pachnące ostro. Siadam na ławce, obok mnie dwu starszych panów obgryza kukurydzę. Naturalnie rodacy. Rozmowa o tym jak to teraz bić się trzeba i jak wszyscy musimy zginąć za karę, żeśmy tak ohydnie uciekli.

Aby tę męczącą nudę rozpaczy i obcego piękna jakoś uśmierzyć, robię rzeczy zupełnie niespodziewane. Idę do Galerii obrazów, odkrywam nieznanę mi przedtem oryginały El Greca i Goyi — dreszcz wielkiego wzruszenia przechodzi przez serce — w sztuce i przyrodzie wciąż jeszcze znajduję rzeczy większe od przeżyć własnych i od spazmów teraźniejszego dnia — potem, gdy Warszawa wciąż jeszcze bije się, piszę list o tych obrazach do Polski, do Zosi, list do krwawiącego kraju, do człowieka, który może zginął. W tym liście — opisuję El Greca i Goyę — wspólnie wiele razy przeżywalismy te wrażenia w Luwrze i National Gallery. Wstydzę się, że to piszę — ale tak musi być, bo tak czuję.

Tymczasem w Konsulacie i Komitetach odchodzi gorączkowa bieganina za sprawą wyjazdu. Franek przoduje. Jedna sprawa — auto. Prezentuje się je Węgrom, pisze się zaświadczenia, że prywatne, żeby nie zabrali, jedzie się do koszar gdzie setki warszawskich samochodów podlegają inspekcji specjalnej węgierskiej komisji. Stoją dziwnie ubrani rodacy, koło swej zmotoryzowanej emigracyjnej kolumny a jeden z naszych oficerów pomaga Węgrom w klasyfikacji pojazdów. Wozy państwowe się rekwiruje ale rzadko się to zdarza, po co Węgrom maszynę zostawiać, więc właściwie okazuje się, że wszystkie wozy są prywatne. Nasz także — tym więcej, że naprawdę tak było. Potem wieziemy auto do jakichś hrabiów Karolyi czy Rakoczy na łaskawe garażowanie i umudowany sługus pomaga nam je ulokować.

Samochodowe kłopoty reprezentuje również Nowiński (ten co był na

granicy bez żony i z chorą nogą). Żonę i motocykl odnalazł i ma kłopot teraz bo mu chcą maszynę odebrać. Trzeba mu podpisywać zaświadczenia, że motocykl należy do jego szwagra i poświadczają podpisy w Konsulacie. Potem w nagrodę za to wiezie mnie Nowiński wściekłym gazem na wzgórze Świętego Gellerta. Trzęsę się niemiłosiernie na tylnym siodełku, maszyna prycha i kicha, wreszcie stajemy na szczycie, patrzymy na miasto pstre i niebieski Dunaj a pan Nowiński żali się długo na zły los niedoszłych literatów i drugorzędnych aktorów, których Hitler gania po środkowej Europie na zdezelowanych i cudzych motocyklach.

Tymczasem w Konsulacie rozpoczyna się wielka konspiracja. W pokojach w głębi, zdala od tłumu wystraszonych i zdezorientowanych rodaków, siedzą starsi panowie i układają tajemnicze listy. Pasporty, wize, zapomogi, weryfikacja dokumentów. Kto z broni pancernej lub lotnictwa — najlepsze szanse. Pchają się wszyscy — ten ma praktykę w fabryce prochu we Francji, tamten jest specjalistą od tanków. Idą rozmowy półszepetem, nazwiska urastają w kolumny, tych się skreśla, tych dodaje i będzie wielka wyprawa do Francji. Pierwsi pojedą niedługo. Dużo gadania o tym czy przez Grecję — żeby Italię ominąć — czy Włochy puszcza, jak dotąd byli jedynym krajem który Polaków zawsze puszczał. My też z nimi kochałiśmy się — nie darmo Wieniawa siedzi w Rzymie — ale było nie było dziś są przyjaciółmi Hitlera, głupia sytuacja. Major Szelaż już urzęduje w tej komisji konsulatowej, generałowi, Frankowi i mnie wielkie nadzieje na Francję robi. Na razie znaczy to sterczeć co dzień parę godzin w pokoiku pełnym szepcowań i tajemnic.

W Konsulacie znajomi pojawiają się raz po raz. Nagle natykam się na Zbyszka — też kolega z Krasnegostawu — Krasnystaw daleko a on tutaj — taki sam uciekinier jak ja. Jest z kolegą i z dwiema aktorkami, które na gwałt robią sobie paszporty deklarując się jako czyjeś żony. Nikt tu nie rozezna i nie sprawdzi. Zbyszek jest chłop twardy i ponury. Chodzi tak samo sztywno i ciężko po Budapeszcie jak przedtem stapał po korytarzach gimnazjum w Krasnymstawie czy po warszawskich kawiarniach. Jest inżynierem ale właściwie został czym był od dziecka — chłopem z Lubelszczyzny. Spotykałem go nieraz w Warszawie i nigdy nie miałem okazji dowiedzieć się co naprawdę myśli. Chodząc po fantastycznych schodach i krużgankach, patrząc na rzekę i pomniki — zaczął mówić, że Hitler przyjdzie tu a more nawet wygra tę wojnę. Że jest elementem nowoczesnym w tej epoce bałaganu i zbrodni. Jest wspanialszy niż Napoleon. Idzie jako swołocz znakomita, naukowo zorganizowana, technicznie świetna, przeciw niezorganizowanemu, zdemoralizowanemu nadużyciem swobody narodom i państwu skłóconemu, rządzone przez kliki oficerów i przez protekcję pięknych pańienek.

Polska! Wielkie słowo — jedni umierają za nią z uśmiechem męczeństwa a inni wieją z walizkami po kilkunastoletnim okresie beztróskiego paradowania i machania chorągiewką. Piłsudski! Dostojny upiór przeszłości, która karmazyny szlacheckie mieszała z kozacką awanturnością. Emanacja polskiego wieku złotego — olbrzym fantastyczny, który przekroczył parę wieków historii i w wieku dwudziestym wyrósł jak postać sceniczna w tragedii chochołów. Szumem husarskich skrzydeł, blaskiem chorągwi i wielkich słów zasłonił rzeczywistość, jaką były głodne wsie i żelazne maszyny szykujące się do walki na zachód i wschód od kraju ułanów.

I kiedy upiór odszedł w krainę cieniów w pochodzie kiru, szkarlatu i dzwonów — w cieniu jego nazwiska wyrosły grzyby i rydze, las pasożytów monopolizujących Polskę.

Słucham tego głosu reprezentującego tzw. chłopski rozum i ogarnia mnie przerażenie.

Ale jest też inny punkt widzenia. Gdy przeciskam się przez zatłoczone schody prowadzące do Konsulatu — pozdrawia mnie nagle głos znajomy —

cóż za niespodzianka—to Bronka—znajoma z Uniwersytetu, dziesięć lat temu wspólnie urządzaliśmy wieczory poetyckie a potem jakiś czas tłukliśmy się razem w wędrownym teatrze szkolnym—przymierając głodem recytując co wieczór przed widowniami pełnymi dzieci i robotników. Wiem, że wyszła za mąż—za kogoś kto był bardzo blisko takich spraw jak zaginięcie Zagórskiego i Brześć—za kogoś, kto awansował szybko dokoła Rydza i Ozonu—odpowiedziałem na pozdrowienie—ty tutaj, ach tak; był kolo niej jakiś Pan, przekonany byłem, że to właśnie ów dygnitarz, więc nie mówiłem więcej, dygnitarzy nie lubię, poszedłem.

Ale parę godzin później w Komitecie Polsko-Węgierskim widzę ją znowu—tym razem samą—nie bardzo wygląda na dygnitarzową w tej wymizerowanej sukience i z tym zmęczeniem w pięknych oczach (była przecież ongiś laureatką konkursu piękności brukowej prasy). Zaczynamy rozmawiać. Okazuje się, że Bronka w bardzo trudnej sytuacji, mąż z Rydzem w Rumunii, ona przywiozła ze sobą starą—prawie 80 letnią matkę i ani nie ma pieniędzy, ani się gdzie podziąć. Obiecują jej dużo, węgierskie hrabiny tytułują ją „Frau Oberst,“ ale ona chciałaby tego uniknąć. Czybym jej nie pomógł? Robię co się da przez Krzakowskiego, który już w Komitecie stał się ważny i Bronka z matką dostają pokój w naszym hotelu.

Przy obiedzie wielka rozmowa o tym jak to z matką starszą trudno było bez auta pod bombami się tłuc—jak jedni oficerowie pięknie pomogli a jak inni zachowali się brzydko, porzucając bezbronne kobiety na łaskę losu. O tym jak bardzo muszą Rydz i mąż Bronki cierpieć nad tym co się stało. Że Rydz taki wielki człowiek i kryształowy, że wszystko Prezydent i Kwiatkowski zawinili, bo oni Rydza żądania ignorowali, nie dopuszczali Armii do głosu, jak to raz Rydz w rozpaczy już chciał Prezydenta w pociągu, w drodze na jakieś polowanie, zaarrestować, ale był za dobry, za szlachetny i teraz tak. Na zbrojenia nic pieniędzy nie dawali, wszystko na COP i Gdynię a nawet samoloty i armaty sprzedawało się innym zamiast dla siebie trzymać. Wreszcie jak to ona święcie i głęboko wierzy, że Rydz się zrehabilituje, że są na to dokumenty, że jej mąż Rydza nie opuści i na nowo mu wiarę narodu przywróci.

Grzecznie przytakują nasi panowie, nie chcą się spierać, ale gdy Bronka odeszła, Szelańg referuje zaraz z własnego doświadczenia historyjki o tym jak Rydz na korporanckich zebraniach się zachowywał, że był próżny i zepsuty jak dziecko, o tym wreszcie jaką to rolę mąż Bronki w pewnych tajemniczych wypadkach w Belwederze odegrał. A także ostatnia plotka—przyjechali tacy co byli w Zaleszczykach jak Rydz granicę przechodził. Czekal na peronie na specjalny pociąg—Rumuni podobno powiedzieli—Pan Marszałek tutaj? Nie na froncie? I zwlekali z dostarczeniem wagonów. Rydz jakoby miał podejść do lotników na peronie prosząc o ogień do papierosa, zagadał coś do nich, a oni jak mur, podali ognia, nie odpowiadzieli, odwrócili się plecami.

Kiedy idziemy z Bronką na miasto wybrzeżem Dunaju i raz jeszcze obliczamy naszą sytuację i nasze szanse—Bronka powiada—kiedy tak tu się z Matką dostałam przez tę pożogę i rzeź—wstąpiła we mnie taka pewność siebie i siła, wierzę w zwycięstwo Polski i wierzę w wielkość Rydza—i wierzę, że mnie stać się nic nie może, tak dalece, że gotowabym iść po falach i nie rozstąpiłyby się. Czuję siłę jej wiary i czuję podobną wiarę w sobie—z tą różnicą, że Rydza w moich myślach odsuwam jako tragiczne nieporozumienie a Polski tryumf kojarzę z tryumfem większej jeszcze i słuszniejszej sprawy, która na tle naszej krzywdy musi zajaśnieć.

Wieczorem w naszym pokoju wiec polityczny, bo przyszła wiadomość, że Rząd i Prezydent ustąpili, i że Premierem w Paryżu zostaje Sikorski. Jesteśmy bardzo podnieceni. Dziesięć lat czekaliśmy na powrót demokracji. Wraca na wygnaniu. Czemu nie rok wcześniej chociaż? Sikorski

prawy człowiek i wielki żołnierz—major przypomina, że Piłsudski też go cenił tylko go się bał i nienawdził—wszystko to dobrze—ale ludzie koło Sikorskiego—padają nazwiska różne, bardzo w Polsce przez sanację z błotem mieszań. Major tak się zdenerwował na temat jednego nazwiska, aż parę kolejek sliwownicy nam postawił (skąd ma pieniądze?)—bo jakieś niedoszłe procesy czy zarzuty mu się przypomniały. Ale na to znów Franek, że to wszystko bujda—błoto na wszystkich rzucali a niczego nie dowiedli i sami kradli. Więc pijemy i cieszymy się, że jest nowy rząd.

Bronka przeciwnie, oczy jej się łzami snują, zaraz się rozplacze, wrogowie Rydza u władzy, ale Rydz jeszcze wróci, to wielki człowiek, oszukano go tylko haniebnie. Ucieka po chwili z naszego pokoju, łyż jej z oczu leca, widocznie pobiegła do Matki uzalić się nad tragicznym końcem epoki pułkowników.

Major kolejki stawia, pijemy, fagas hotelowy raz po raz kieliszki napełnia, alkohol pierwszy raz po tygodniach wędrówki pity—uderza do głowy i oszalamia. Śpię mocno.

BAŁKAŃSKA WĘDRÓWKA.

Przebrzmiały już echa upadku Warszawy—odkąd byliśmy tutaj; jasne było, że upaść musi—Krzakowski przyjął tę wiadomość z ulgą—dość trupów, po co niszczyć miasto wzdychał. Upiorne głosy miasta rodzinnego zamienianego w cuchnące trupami ruiny, w scenę oblędu, męczyły po nocach. Teraz wiadomo było, że wojna obróci się na Zachód. Gazety wprawdzie groziły, że może być zawarty pokój—nie wierzyliśmy w to. Majaczyła nam Francja i podróż własnym autem przez Bałkany. Ale marzyć o paszportach i wizach to mało—trzeba je mieć. W Konsulacie zabrakło książeczek paszportowych—z dnia na dzień setki uprzywilejowanych na nie czekały. Wątpliwe było, żebym ja mógł na wizy liczyć. Francuzi odmówili już raz, choć było polecenie z Konsulatu. Anglicy grzecznie rozmawiali, dali swoje prasowe komunikaty, wzdychali że źle, kazali pisać do Home Office, bo stara wiza nie ważna—zajmie to parę miesięcy. Co robić? Lada dzień Franek i generał gotowi smyknąć do Francji—a ja nie? Major ustatkował się na posadzie w konsulacie, Krzakowskiego wzięli na gościnę bogaci Węgrzy, przyleciał po swoje kocy i resztkę Pomorskich Rarytasów, wrócił się po jakieś kołnierzyki czy skarpetki a mnie namawiał, żebym się tu starał do filmu—jego hrabina jest żoną filmowego magnata—albo jak nie—on mnie zawsze do jakiegoś dworu czy pałacu na wieś za nauczyciela angielskiego wsadzi. Bronka radzi, żebym został, niema co się o Francję starać, za duża konkurencja, ona niedługo będzie mieć posadę w biurze, weźmie mieszkanko, matka, ona, jej brat (właśnie z obozu uciekł) i ja—jakoś przebidujemy i nawiążemy kontakt z Polską—Franek inaczej—nic się nie martw, bez ciebie nie pojedą, wizę jakoś wycyganimy.

Rady dobre, ale skąd wziąć pieniądze na zapłacenie pralni i na tramwaje? Papierosy też się kończą a jak długo Węgrzy będą gościć, nie wiadomo. Rzeczywiście trzeba w filmie spróbować—a nuż coś się da. Za asystenta reżysera a może jakiś krótki film o Budapeszcie—temat sto razy fotografowany, ale kusi. Jest tu wytwórnia za miastem, ambasada pomoże—idę więc w strachu, w nędznym kubraku stanisławowskim i złą niemiecką tłumaczę o co chodzi. Oczywiście szanse są, ale związki zawodowe itp.—pan rozumie. Sympatie dla Polski wielkie—ale nadzieje dla mnie żadne prawie. Głupio i niezręcznie kończę rozmowę i idę. Łapie mnie jakiś młody chłopiec już w wyjściu—zagaduje po francusku czy wiem co się stało z domem Nr. 40 na Marszałkowskiej. Miał tam siostrę. Oczywiście nic nie wiem, ale przy okazji dowiaduję się, że kończą tu w studio

film latem nakręcany w Warszawie—a nuż dałoby się statystować? Młodzieniec obiecuje pomoc i znika.

Równolegle zaczyna się epopea mojej francuskiej wizy. Franek tajemniczo oświadcza, że „to się zrobi. . .“ Okazuje się że pomoc ma rotmistrz Kurkowski, poczciwy ziemianin i kawalerzysta. Jak? Sprawa wymiany towarowej. Wiza—miejsce w aucie. Bo tak—Krzakowski nie jedzie, zażył się jakoś w Komitecie, zostanie tu bliżej żony i dziecka. Major jest ważny w Konsulacie—więc tylko generał, Franek i ja. Jedno luksusowe miejsce w aucie jest wolne. Rotmistrz znowu ma chody u posła i obiecuje, że wiza będzie.

Nie wierzę w to jednak. Spotykam tylu znajomych poruszających wszelkie chody, aby tę wizę dostać—bezszykownie. To też cieszę się bardzo, gdy po paru dniach przychodzi telefoniczna wiadomość, aby się zgłosić w studio. Okazuje się, że mam dziś „grać.“ Rola jest bardzo głupia—mam udawać szpiega—czy kogoś—kto bohaterom na jakiejś benzynowej stacji dziurawi bak w samochodzie. Przy tej okazji pozwolono mi wołać po polsku i kłać, co uczyniłem z wielką satysfakcją. Scenkę odegrałem za miastem wśród czerwonych wąwozów na skrzyżowaniu dróg. Największy sukces—dostałem 20 pengő żywą gotówką—pierwsze pieniądze zarobione na wygnaniu. Potem w sąsiedniej karczmie gospodarz Słowak rozmawiał ze mną po polsku i deklarował braterstwo słowiańskie, a znowu dla kontrastu przy domowym obiedzie z winem (wytwórnia płaci) asystent reżysera zaczął wywodzić mi swoje polityczne credo—że jego zdaniem powinienem wrócić do Polski i robić filmy, wojna się niedługo skończy a wszystko dlatego, że Hitler—od początku chrześcijańskiej ery najwybitniejszy człowiek, dogadał się z drugim wielkim—Stalinem i razem postanowili Żydów, którzy są powodem nieszczęścia świata, zniszczyć. A bez Żydów wszystko będzie dobrze. Inni Węgrzy zagadali ideologa tłumacząc mi ze wstydem, że to wariat. Ale już wino nie smakowało i smutno było myśleć, że wariaci apoteuzujący Hitlera i zbrodnię tyle mają na świecie do gadania i tyle znaczą a właściwie w tej chwili są górą i mają za sobą siłę.

Ale smutne te myśli głuszy radość z jaką mnie moi koledzy w hotelu witają—że zarabiam, że mam fach w ręku i t.d. Bardzo mi radzą jechać do Ameryki, że to ojczyzna filmu i co najbardziej imponuje to to, że mnie ze zdjęć odesłano autem reżysera.

Następnego dnia idziemy odwiedzić naszego dostawcę wiz w jego budapeszteńskim pałacu, gdyż rezyduje w gościnie u jakiegoś kapitalisty barona i jak się okazuje, żyje w luksusie. Ogromny hall, rzeźby, lustra i posadzki, modernistyczne obrazy, lokaje. Podziwiamy łóżko w którym śpi, i stojącą obok tacę z resztkami zimnych mięs, butelką wina—przyniesiono mu to do pokoju kiedy późno w nocy wrócił—. W pięknym szlafroku pana domu sunie nasz rotmistrz do marmurowej łazienki. Zaczynam wierzyć, że wiza będzie i w ogóle odtąd niezaradność rodaków wydaje mi się legendą. Ach, jakże lekko idziemy przez życie i łzy i krew i rozstania—przez zgłiszczą domów rodzinnych. Już nas nasza romantyczna sława na skrzydłach po Europie nosi—drzwi pałaców otwiera, serca cudziemców dla nas teraz biją współczuciem. Inkasujemy z powrotem za naszą niedolę i upadek—domowe obiady hotele, a tylko patrzeć, i zagraniczną walutę.

No i stało się. Wiza tego dnia była w konsulacie gotowa. Czarny Francuz najpierw się w głowę poskrobał—potem coś sobie przypomniał—odsukał jakąś kartkę specjalną—ach był oczywiście w tej sprawie osobny telefon—wiza dla pana jest—rotmistrz tryumfuje—klamka zapadła—odjeżdżam.

Wieczorem wielkie, z tytułu naszego odjazdu, przyjęcie. Jacyś budapeszteńscy Żydowie, znajomi generała w wielkiej dla nas sympatii urzą-

dzają w restauracji kolację z pięknym menu zatytułowanym „dinner d'adieu.“ Bardzo jesteśmy zakłopotani jakością naszych strojów tym więcej, że biorą udział w uroczystości starsze damy w jedwabiach, dekoltach i brylantach a my z naszą obdartą i niedopasowaną cywilną garderobą dzielnie musimy nadrabiać minami. Franek bardzo się cieszy, że jakaś wyfloczona kupczycha rozmawia ze mną po angielsku i miny stroi—drażni się ze mną, że mnie stara chce uwieść. Po kolacji, w kawiarni nocnej gra muzyka cygańska złożona z samych dzieci—gospodarz wola do nas łamaną polszczyzną „niech żyje Polska“ i wszyscy pijemy zdrowie aliantów zapominając, że jesteśmy przecież w kraju, który u Niemców pod pantoflem siedzi.

Główna teraz troska jak jechać. Przez Włochy naturalnie, przyszedł już nowiny od pierwszych co przejechali—szczęśliwie. W paszporcie rotmistrza napisane „fancier“ i nie bardzo wiemy co to znaczy, on powiada, że kapitalista, (majątek ma w Polsce) i z radością miedziakami w pustej kieszeni brzęka. Generał bardzo solennie nakazuje wszystko co wojskowe—rewolwery, koce, pasy—zostawić, bo jakby Włosi znaleźli, to co? W wielkiej tajemnicy Franek mi oznajmia, że się swego rewolweru nie pozbędzie i chowa go gdzieś w tajemniczym kącie swego auta—jakby stary zobaczył, toby była heca. Tak samo lornetka też to teraz majątek. Niech sobie generał zostawia, Franek swoją bierze do Francji. Jedziemy—ale skąd pieniądze na drogę? benzyna? Ten problem załatwia Franek generalnie i dzięki zawitym metodom pertraktacji z Konsulatem, z Polsko Węgierskim Towarzystwem i t. p. benzyny dostajemy podwójną ilość i wszystko za darmo, także stare poczciwe bańki znowu trzeba napieniać i już się smutno robi na myśl, że znowu je trzeba będzie na kolanach trzymać. Benzyny do Włoch starczy—tam kupimy powiada Franek. Znowu wielkie mycie, oliwienie i czyszczenie auta. Teraz automobilklub ma już specjalnego urzędnika, który mówi po polsku i takich jak my w „tryptyki“ samochodowe i konieczne legitymacje zaopatruje. No a pieniądze osobiste? Nasi Żydowie co to przyjęcie urządzali przynoszą nam na drogę 3 ogromne salami i 3 wielkie butle „barack-palinki“—ja i rotmistrz, siadamy z tyłu, już my się tym zaopiekujemy. Generał znowu bardzo ważny, za wodza ekspedycji, oświadcza, że na hotel i na śniadania pożyczycy, ale nie dużo. Ma, cholera, dolary a my tylko pełne kieszenie świeżutkich dwudziesiotzółówek.

Przychodzi więc pożegnanie, ranek piękny i Bronka nawet trochę płacze, sama z Matką zostaje, liczy, że będzie mieć posadę. Ruszamy w imię Boże, ale cały patos odjazdu psuje fakt, że ja według mapy prowadzę, drogę myślę i skutek ten, żeśmy z jednej strony miasta wyjechali a pół godziny później z drugiej wrócili. Franek bardzo klnie, więc kładę uszy po sobie i lepiej mapę studiuję (była to zawsze moja funkcja drogę wyznaczać).

Wreszcie na właściwym szlaku dobrze mkniemy i rozmowa o węgierskiej benzynie, o jakości dróg w różnych krajach. Węgry się przed nami rozwijają wstążką barwną i wesołą. Nad błękitnym Balatonem sterczą brunatne górkę, po których białe obłoczki łązą leniwie. Zagryzamy brzoskwińówkę salami a Franek ręce od kierownicy wyciąga, żeby jemu dać. Bańki gniotą kolana, ale nie tak już źle jak w Polsce, bo nas teraz tylko cztery osoby.

Szosa, benzyna, wódka, salami, Balaton, miejscowości o nazwach nie do przełknięcia—wszystko to oszałamia i tylko gdzieś w tle świadomości majaczy pytanie—co dalej—jak dojedziemy, co będzie, ile czasu wojna potrwa, kiedy Francja z Anglią, uderzą i jaka będzie ta Polska na emigracji?

Zmierzamy ku Jugosławii. Blisko granicy drogi są kiepskie na Franka utrapienie i trzeba wolno jechać. Płyńie rzeka Sawa, którą przejeżdżamy po serdecznym pożegnaniu na węgierskiej stronie i oto znowu kraj inny. Pusto. Stoi drewniana chałupa z oficjalnym godłem, tam już aut polskich

pięć czy sześć czeka wysiadamy, o co chodzi? Trzeba z Serbem o przejazd granicy pertraktować.

Z podnieconych rozmów z jakimiś panami z Lublina, którzy całą karawaną aut pełnych żon, dzieci i tobołków tu zajechali wynika, że w Jugosławii stosunki bałkańskie, i że nie sposób bez pomocy gotówki z granicznym urzędnikiem się dogadać. Rzeczywiście wchodzimy do „biura” —cóż za bałagan w tym bratnim kraju. Urzędnik, czarny diabeł w rozchełstanej koszuli, siedzi przy stole pod królewskim portretem a w drugim kącie nieposłane łóżko straszy nas pogniecionym prześcieradłem i rozmamlaną kołdrą. Lampa naftowa się pali, bo już zmrok zapada. Rozmowa fantastyczna bo trzy słowa po polsku, trzy po rosyjsku, reszta po francusku, ale Serb nie rozumie. Jedno nam tylko w kółko przekłada, że nasze papiery samochodowe na nic, że on ma instrukcje polskie auta do włoskiej granicy konwojować, ale niema go kto zastąpić, więc jechać właściwie nie można a jeżeli koniecznie chcemy to musimy mu bilec powrotny zapłacić. Wielkie targi odchodzą i trzeba niemal na migi rozmawiać. Pytamy ile ten bilet będzie kosztował, jest nas pięć aut to się złożymy. Okazuje się, że jak pięć aut to trzeba płacić za pięć biletów, choć tylko jeden konwojent. Bardzo oburzeni chcemy do polskiego konsulatu telefonować, ale gdzie tam, telefonu niema. Zostawiam wreszcie targujących się z Serbem panów i wracam do auta. Rzeka szumi a z oddala słychać pieśń smutną i rozlewną—jak na Ukrainie. Żołnierze śpiewają. Idą chłopci z pola. Stanęli koło nas i o dziwo—o ile z urzędnikiem nie można się było dogadać—tu rozmowa idzie jak z masła. Oni po swojemu —ja po polsku. Wiedzą wszystko o Polsce i o Niemcu, wiedzą też, że i im grozi—prostym chłopskim rozumem życzą nam szczęścia i żebyśmy tę wojnę wygrali, bo to także za ich wolność, za ich pola, za ich prawo do życia. Nagle w tej rozmowie ujawnia się bliskość tych ludzi. Tacy sami jak nasi—daleko, po drugiej stronie węgierskiej wyspy.

Wreszcie łapówkowe pertraktacje doszły do jakiegoś kompromisu z którego wynika, że Serb jedzie z nami pierwszym autem lubelskiego fabrykanta. Będziemy nocować w Warażdinie (przypomina się bez sensu) —„Ach jeźdź do Warażdin tam ci się urodzi syn.“

W Warażdinie wytrwale piszę znowu pocztówkę do Polski, żeby bliskich (ale czy żyją?) powiadomić co ze mną, Franek bardzo się oburza, „po co się narażasz,“ sam z Budapesztu nie chciał pisać, ale kupił dla Jędrka samochodziki-zabawki, zaadresował własnym charakterem na Lublin i wysłał. Dziecku zrobi frajdę i da jednocześnie znać, co się z nim dzieje.

Z rana odjazd na Lublanę i ku włoskiej granicy. Jest dobra racja szybko jechać—nasi panowie postanowili przed Serbem uciec, żeby mu się już więcej nie trzeba opłacać. Niby to w Lublanie na rynku mamy inne auta spotkać, ale naprawdę to gnamy nieprzytomni i inną drogą. Góry piękne, kraj dziki, drogi złe. W chałupie chłopskiej pijemy mleko i jemy chleb—tyle nam generał na dzień dzisiejszy wyznacza. Jest oczywiście ciągle salami i wódka—już się w głowie kręci i ośla kiełbasa się odbija. Lublana nowoczesne miasto—naszych kolegów z Serbem nie widać—generał chodzi od Żydka do Żydka gdzie się da dolary lepiej zmienić—targuje się, biega, jest znowu tajemniczy jakby państwowe sprawy, ściśle poufne, załatwiał. I ciągle nas pogania. Nie wiem po co się spieszyć—chcę coś zobaczyć po drodze—ale szkoda gadać—już się mówi, że Włochy w dwa dni zrobimy—proszę bardzo, żeby o Wenecję zahaczyć, nigdy tam nie byłem, nic nie wiadomo jak jedziemy—na razie kierunek Triest i gazu.

Aż wśród wzgórz o zmroku pojawia się włoska granica, niema naszych rodaków więc teraz tylko nazwiska próbować czy nas Jugosłowianie bez konwojenta wypuszczą. Ależ oczywiście—grzeczni tu wszyscy i usłużni—jakis Czech z sąsiedniego miasta bierze mnie na wódkę. Generał bardzo

się oburza, że Czech na pewno szpieg, sam nie chce iść, zabrania rozmawiać o polityce.

Mijamy granicę. Zaraz widać jak się Mussolini postarał—drogi luksusowe, światła wszędzie, drogowskazy, ogromne napisy histerycznie .. wrzeszczą na każdym zakręcie DUCE DUCE DUCE tak jak u nas Cukier Krzepi a w Anglii Bovril czy we Francji Dubon-Dubonnet. Potem jeszcze CREDERE, OBEDIRE, VINCERE—wrzask faszystowski na każdym murze i na każdej skale. Fantastyczną serpentyną zajeżdżamy na wyższe skąd rój światła w dole widać i czarny szumiący Adriatyk. Triest! Wiatr gorący—choć to przecież październik—po twarzach nas smaga—patrzmy w otchłań wiszących nad wodą gwiazd kolorowych. Nowy świat, nowi ludzie, wojenna turystyka ma swój urok.

Dławi mnie piękno nie widzianego nigdy Południa—stoję na skale nad morzem obcym i pięknym—za mną Bałkany—dolina Węgier i Polska jeszcze dymiąca zgłiszczami. Wisi w powietrzu dostojęństwo przyrody—obojętnej—wyższej nad naszą mękę—zawsze młodej i dostojnej, szydzącej z nas—szalonych jej synów niezdolnych do ciszy, niezdolnych do pokoju, gnanych szałem i obłędem polityków, żądzą władzy, potrzebą awantury. Dziś się nasza chora psychika tak w hitlerowskim obłędzie i zbrodni realizuje, że być może—czyż marzyć o tym wolno—otrzeźwiejemy kiedyś, otworzą nam się oczy i wstanie oczyszczona krwią i męką Europa na lepsze życie, na jaśniejsze jutro bez wojen i bez faszyzmów.

D.C.N.

MARJAN PIOTROWSKI

W OBOZIE JEŃCÓW

DRUGA PRÓBA UCIECZKI.

Druga próba ucieczki podobnie jak i pierwsza nie udała się. O pierwszej nie mogę jeszcze opowiedzieć, przy drugiej zmarnowaliś ny całą noc.

Plan nasz był prosty. Spuścić się po linie przez mur. W jednym z budynków koszarowych odkryliśmy na pierwszym piętrze w murze okno, z którego można było próbować uciekać. Szczęśliwie się złożyło, że budynek ten był właśnie pusty, opróżnili go Alzatzycy, zwolnieni do domów.

Za dnia wybraliśmy się na zwiedzenie miejsca. Warunki są dobre. Okno stosunkowe niewysokie. Dom dotyka drogi, po której chodzą warty. Za drogą zaczyna się zaraz jakaś łąka, potem uprawne pole, dalej jakieś opłotki gospodarskie. Chodzi więc tylko o to, by niezauważonym spuścić się po linie na szosę, przemknąć się przez kilka metrów asfaltowej powierzchni i od razu dać susa na łąkę, w uprawne pole, w bruzdy. Na drodze stoją przytym opuszczone działa francuskiej ciężkiej artylerii. Można się też skryć pośród nich.

Badamy sprawę posterunków. Całe popołudnie spędzam w oknie, udając rozleniwionego amatora słońca. Topografia miejsca ucieczki przedstawia się jak następuje. Obóz tworzy pewnego rodzaju kwadrat. Dom, z którego okna mamy uciekać, stanowi część składową jednej z bocznych ścian obozu, która w przybliżeniu wynosi około 80 metrów. Stoi on w pośrodku tej ściany, tak że widać dokładnie z okna całą ścianę obozu i oba rogi. Posterunki rozlokowane są w ten sposób, że na każdym rogu stoją żołnierze z karabinami, poza tym wzdłuż ściany spacerują warty. W sumie, mniej więcej na 80 metrów ściany, jest trzech żołnierzy.

Decydujemy się na dzisiejszą noc. Najważniejsza rzecz, czy będzie pogoda czy deszcz. Pragniemy deszczu, bo deszcz zagłuszy nasze skoki. Lina jest trochę przykrótka i trzeba w ostatnim momencie skoczyć na asfalt szosy.

O godz. 22-giej jeńcy muszą być na swych salach, światła pogaszone, cisza i spokój. Wieczorem zabieramy nasze rzeczy i przemykamy się do opuszczonego budynku. Szczęśliwie nikt nas nie zauważa.

Początek jednak nie jest dobry. Chmury zniknęły zupełnie i wielki, wspaniały księżyc wtacza się na niebo. Jest tak widno, że można czytać przy świetle księżyca. Jest już 22-ga. Następuje zmiana warty. Z głową opartą na parapecie okna, obserwujemy zmianę wartowników. Warty na noc zostały podwojone. Stoją po dwóch. Na przesterzeni 80 metrów mamy 6-u wartowników. Co dziesięć metrów posterunek. Stoją po drugiej stronie szosy i patrzą na mury obozu i na ścianę domu. Skakać niepodobieństwo, spuszczać się po linie również, gdyż zauważą od razu ciemną postać na tle białej ściany.

Spuszczenie po linie wymaga jednak kilku sekund. Musimy poczekać, może się ściemni. Może coś się stanie co zamąci harmonię i ciszę tej jasnej, wspaniałej nocy sierpniowej. Około północy rozlegają się kroki podoficera, który sprawdza warty. Słychać wyraźnie jak rozmawia z posterunkami. W ciszy nocnej słychać każdy szelest. Czekamy znowu. Może jednak warunki zmienią się na lepsze. Od wyglądania przez okno boli mnie już kark. Siedzę bowiem skurczony pod oknem, tak że tylko wygląda mi głowa.

Pytam kolegów o opinię. Jest nas w pokoju czterech. Trzech kandydatów do ucieczki i czwarty asystent „od liny“. Przy każdej ucieczce musi być asystent. Odgrywa doniosłą rolę. Zacierza ślady a przy tym jako obiektywny obserwator, niezaangażowany, wypowiada swe opinie, które są zazwyczaj cenne. W naszym wypadku „asystent“ miałby za zadanie zabranie liny.

Asystent jest przeciwny ryzykowaniu. Uważa, że w tych warunkach ucieczka jest niemożliwa. Jest za jasno, za cicho, a przy tym linia posterunków jest stanowczo za gęsta. Niema nawet 5-u procent szans udania się naszego przedsięwzięcia.

Jeszcze nie rezygnujemy. Może nad ranem księżyc się schowa. Siedzimy przy oknie, przygotowani do skoku i czekamy. Godziny mijają. Przychodzi ranek, sytuacja się nie zmienia. Podwójne warty ściągają dopiero przy porannej pobudce, to jest o godz. 6-iej. O 6-iej jest już naturalnie dzień.

Rezygnujemy. Trzeba odczekać do jakiejś następnej okazji. Może przyjdą jesienne deszcze, może pogoda się zmieni.

WYJAZD DO NIEMIEC.

25 sierpnia rano nieoczekiwanie zabrzmiał jakiś ponury sygnał niemiecki. Nie byliśmy przyzwyczajeni jeszcze do niemieckiej trąbki wojskowej, które widocznie przez tradycję dawnych Germanów przypominała ponure buczenie rogu. Widocznie jakaś nowa zbiórka. Po chwili po całym obozie piorunem obiega wiadomość — wyjazd do Niemiec. Zabierać pakunki i ustawiać się w grupach na podwórzu.

Przeczuliśmy zresztą, że to nastąpi w najbliższym czasie. Od tygodnia przeszło obóz otoczono wzmocnionym kordonem posterunków, a na stację przyszły puste wagony.

Ustawiamy się na podwórzu grupami według budynków. Po nazwisku wywołują kolejno każdego z jeńców. Za bramą czeka kompania piechoty z bagnetami na karabinach.

Operacja załadowania się kilkuset ludzi trwa dosyć długo. Po sprawdzeniu stanu liczbowego przychodzi pobieżna rewizja bagaży. Stoimy

na podwórzu koszarowym już przeszło dwie godziny. Po szeregach przebiegają raz po raz nowe plotki. Jedziemy do Norymbergii. Zapowiadał to sam porucznik niemiecki, komendant obozu. Będziemy ulokowani w obozie partyjnym S.A. przy stadionie norymberskim. Pesymiści mówią, że wywiozą nas do Prus Wschodnich.

Nasza polska grupa zajmuje w dalszym ciągu aktywne stanowisko wobec życia. Kilku kolegów jest zdania, że może to i lepiej. Będziemy bliżej Polski. Może uda się zbiec na teren Polski.

Ostatecznie po długim oczekiwaniu otwiera się brama i kolumna nasza rusza na dworzec. W obozie pozostaje już nie wielu jeńców, kilka grup, wybranych według niewiadomo jakiego rozdzielnika politycznego, którym przysługuje przywilej pozostania we Francji. A może nie są godni wstąpienia na ziemię niemiecką? Zostają Bretończycy, Murzyni, Arabi i Żydzi oraz weterynarze. O weterynarzach wiadomo, że będą zwolnieni.

Na dworcze czekają zwykle wagony towarowe, służące do przewożenia bydła. Pakują nas do wagonów, po 40 do jednego. Drzwi zamykają na kłódki. Na drogę dostajemy po bochenku wojskowego chleba niemieckiego i 150 gr. szmalcu. Domyślamy się z tej porcji, że będziemy jechać jakieś dwa dni. Protestujemy przeciwko zamykaniu drzwi, tłumacząc, że będzie nam duszno. Żołnierze otrzymali widocznie wyraźne instrukcje, gdyż są głusi na wszelkie argumenty.

Wagon nasz mieści w sobie 20 Francuzów, 20 Polaków. Rozlokowujemy się na ziemi, każdy rezerwuje sobie jakiś kącik i wyglądamy przez małe okienka umieszczone pod dachem wagonu. Mamy tylko 4 okienka, będziemy się więc kolejno zmieniać w obserwowaniu krajobrazu. Przede wszystkim trzeba się zorientować dokąd jedziemy. Nastrój jest raczej ponury.

Obiecywaliśmy sobie defiladę w Berlinie — oświadcza jeden kolega — potem marzyliśmy o zwycięskim przemarszu przez Niemcy do Polski. Kto wie, może tymczasem sądzonym nam jest zostawić kości w Niemczech jako niewolnikom.

Istotnie, nasza podróż do Niemiec nasuwa nam wiele refleksyj. Może rzeczywistość, jakkolwiek ciężka, nie byłaby dla nas tak przykra, gdyby nie kryło się za nią tyle zmarnowanych złudzeń i tyle samooszukiwania się. Gdybyśmy wiedzieli, że Niemcy są istotnie potęgą militarną, że dynamika niemiecka rozwali swą siłą całą Europę, rzeczywistość byłaby znośniejsza. Nie byliśmy pierwsi, którzy dostali się do niewoli niemieckiej, nie będziemy ostatni. Jest nam jednak głupio, bo czujemy się jakby trochę oszukani. Wszystkie refleksje i złe myśli przychodzą nam do głowy. Z gołymi rękami puszczono nas na tanki niemieckie. W czasie całej kampanii francuskiej nie widzieliśmy ani jednego samolotu sojuszniczego. Lotnicy niemieccy latali nad nami jak na ćwiczeniach. Finał tego wszystkiego — jedziemy do Niemiec.

Francuzi są również nastrojeni filozoficznie. Wyglądam przez okienko z jakimś podporucznikiem francuskim. Starszy już człowiek z siwiejącą brodą. Przypuszczam, że musiał być podoficerem zawodowym i w końcu u schyłku swojej kariery awansowany został na podporucznika. Zaczynamy rozmawiać. Jest pełen wyrzutów, więcej — pełen nienawiści.

„Widzi pan — oświadcza mi — cały czas wolny u nas poświęcało się nietyle już na jedzenie, ile na żarcie. Tonęliśmy po uszy w dobrobycie, tarzaliśmy się w tym dobrobycie. Wyruszyliśmy na wojnę zaopatrzeni we wszelkiego rodzaju konserwy, czekolady, soki owocowe a potem dziwililiśmy się, że niedokarmieni Niemcy biją nas, ponieważ mają więcej samolotów i tanków. Francuzi żarli jak świnie“. Powtarza kilka razy z wściekłością: „Jak świnie, jak świnie. Śmieliśmy się, że Niemcy wołają armaty od masła. Teraz są tacy, którzy znowu chcą nam tłumaczyć, że lepsza jest niewola

od walki. No, ale to jeszcze nie skończone. Porachujemy się z jednymi i drugimi“.

Orientujemy się, że pociąg zmierza w kierunku północnym, a więc nie jedziemy na Strasburg, tylko z pewnością na Saarbrücken. Może linia na Strasburg zniszczona przez RAF? Jeden z kolegów przypomina, że most na Renie pod Strasburgiem został prawdopodobnie wysadzony w powietrze jeszcze na początku wojny.

Jedziemy tymczasem przez pusty kraj, przez teren walk, których ślady znać na każdym kroku. Orientujemy się po małej mapce, wyciętej z Larousse'a.

W wagonie powoli zaczyna się organizować życie. Opukujemy ściany, badamy podłogi. Kilku kolegów ogląda kieszonkowe nożyki, czy wytrzymają przy wydrażaniu dziury. W każdym razie trzeba doczekać nocy. Jesteśmy bardzo dobrze pilnowani. W środku konwoju jedzie platforma z wartą i karabinami maszynowymi. Taka sama platforma zamyka konwój.

Nadchodzi noc. Pogoda widocznie od początku kampanii polskiej ciągle sprzyja Niemcom. Noc jest tak jasna, że trudno mówić o ucieczce. Poza tym projekt zrobienia dziury w podłodze wagonu nie da się zrealizować z powodów czysto technicznych. Nożyczki okazują się za słabe.

Odstępuję swoje miejsce przy okienku i kładę się na ziemi. W ten sposób przez kilka godzin, śpiąc, uciekam od rzeczywistości. Nie wiem gdzie jestem, dokąd jadę.

Gdy następnego dnia z powrotem dostaję się do okienka, jesteśmy już na terenie Niemiec. Jedziemy na południowy wschód. Mijamy malutkie dworce niemieckie, tonące w zieloności. Publiczność niemiecka przygląda się nam spokojnie. Jak dotychczas żadnych wrogich manifestacji. Niemcy są jakby zdziwieni. Pełno młodzieży w hitlerowskich mundurach — w krótkich spodenkach, brązowych koszulach, z wojskowymi tornistrami na ramienach. Uginają się pod tym rynsztunkiem.

Jedziemy wzdłuż jakiejś rzeki. Koledzy twierdzą, że to musi być Men. Nie biorę udziału w ich dysertacjach terenowych, bo i poco. Czekam na wynik.

Wreszcie zatrzymaliśmy się na jakiejś stacji. Naturalnie konwój stanął jakieś pół kilometra przed miasteczkiem, żeby czasem nie doszło do jakiegoś kontaktu między jeńcami a ludnością cywilną. Był już ostatni czas na postój. Byliśmy wymęczeni brakiem wody, a przy tem warunki higieniczne w wagonie stawały się już nie do wytrzymania.

Rozdano nam wodę, znowuż po kawałku chleba, puszkę starych konserw francuskich na pięciu — i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jakby na złość dolina Menu roztaczała przed nami wszystkie swe uroki. Rzeka o rwącym prądzie wiała się wśród zieleni łagodnych wzgórz, na których gdzieś tam widniały winnice. Małe schludne miasteczka o białych ścianach i kolorowych, czerwonych lub zielonych, dachach, tchnęły spokojem i zamożnością. Żadnego śladu wojny. Od czasów napoleońskich ziemia ta nie widziała chyba stopy obcego żołnierza. Niebo nie świeciło łunami pożarów wojennych. Porównujemy oglądane miasteczka z miasteczkami Polski czy Francji. Niewątpliwie wyglądają schludniej i zamożniej. Nic w tym dziwnego. Od czasów Bismarcka Niemcy urządzają się bardzo przemyślnie. Prowadzą wojny na terytorium sąsiadów.

Na dworcach uderza nas widok gruppek młodych ludzi z małymi walizkami. Wyglądają na nowopoborowych. Wykazują wiele entuzjazmu i najbardziej interesują się naszym konwojem. Jesteśmy dla nich świadectwem powodzeń starszych kolegów. Dajemy im przedsmak przyszłych sukcesów.

Po 30 godzinach jazdy na horyzoncie dostrzegamy wieże jakiegoś miasta. Koledzy orzekają, że musi to być Norymberga.

Tak dojechaliśmy do celu naszej podróży.

Przez kilka pierwszych dni zanim zostaniemy zrewidowani, spisani i opisani, korzystamy ze względnej swobody, którą wykorzystujemy na zorientowanie się w nowej sytuacji. Pantoflową pocztą dowiadujemy się, że przejdziemy przez drobiazgową rewizję, że odbierają wieczne pióra, pieniądze i notatki. Dziwnym się wydawało, że Niemcy ze szczególną zajadłością wyszukiwali u jeńców Watermanny czy Parkery. Potem zrozumieliśmy. Po pewnym czasie skonfiskowane wieczne pióra można było nabyć w kantynie obozowej.

Nadszedł dzień rewizji. Grupkami wyruszamy do wielkiego baraku, gdzie czekają na nas porozstawiane stoliki. Na każdym stoliku trzeba rozłożyć swój bagaż, a nawet swe ubranie i czekać, aż oficer lub podoficer przejrzy każdą rzecz. Mam minimalny bagaż. Najwięcej trudności memu cenzorowi nasuwają dwie książki, jakie wiozłem z sobą przez całą kampanię: „La pâtisserie de la Reine Pedauque“ France'a i „Les Characters“ La Bruyera. Wy tłumaczyłem mu, że to nic groźnego. Na ogół Niemcy są dość naiwni. Mój kolega dał sobie ocenzurować książkę Rauschninga „Hitler m'a dit“. Oczywiście oderwał tytułową stronę, a treść przedstawił jako romans francuski.

Rewiduje mnie starszy porucznik niemiecki. Przeglądając papiery zorientował się, że jestem Polakiem. Tego się nie spodziewał. Grupa nasza tonęła w masie francuskiej, a poza tym przyjechaliliśmy z Francji. Niemcy myśleli, że transport obejmuje tylko Francuzów

„Pan skąd“ — pyta. „Z Warszawy“ — odpowiadam. Jak każdy Niemiec, tak i ten okazuje się wielce rozmowny.

„Co pan zamierza robić po wojnie“.

Wzruszam ramionami, nie wiem o co mu chodzi.

„General Gouvernement jest tak małe, że przecież wszyscy się tam nie pomieścicie“.

Po raz drugi wzruszam ramionami.

„A może pan jest Żydem“ — zapytuje. Wyczuwam w tym ironię. Nie mam w sobie nic semickiego, jestem blondynem o jasnych oczach.

„Byłem w Krakowie — ciągnie dalej — Tam przecież niema Polaków tylko sami Żydzi. No, a zresztą postaramy się, by wszystkich Żydów z Rzeszy wam odstąpić. Bardzo się z nimi kochacie“.

Na szczęście na tym urywa swą rozmowę.

W końcu sali podnosi się nagle wrzask. Jakiś niemiecki porucznik w ordynarny sposób wymyśla jednemu z mych kolegów.

„I tamżeście się znaleźli — we Francji!! Bandyci!! Rozbójnicy!!“

Okazuje się, że mój kolega miał mniejsze szczęście ode mnie. Natknął się na Niemca, który odkrywszy nagle wśród Francuzów Polaka, wyładował na nim całą swą wściekłość. Scena ta wróży nam ładny pobyt. Kolega mój, blady, stoi spokojnie i patrzy na miotającego się przed nim Niemca.

W kilka dni później składamy w biurze swe personalia. Orientujemy się już dobrze, że Niemcy specjalnie tępią inteligencję polską. Każdy więc stara sobie wymyślić zawód, daleki od intelektualizmu. Jest to normalna samoobrona.

Niemcy przyzwyczaili się już, że w grupie Francuzów jest gromadka polska i traktują nas jakoś spokojniej. Interesuje ich jednak zagadnienie w jaki sposób Polacy zdołali się z Polski przedostać do Francji. Mnie to nie dotyczy, gdyż przed wojną mieszkałem w Paryżu, ale większość moich kolegów przedostała się do armii polskiej przez Węgry, Rumunię, Włochy i innymi drogami, przechodząc najbardziej fantastyczne przygody.

Odpowiadając na te indagacje, koledzy podkreślali, że przejeżdżali przez Włochy i że w wielu wypadkach korzystali z pomocy ludności włoskiej.

Niemcy nie mogli wyjść z podziwu. Jakto przez Włochy? To niemożliwe. Przecież już wtedy Włochy szły ręką w rękę z Niemcami. Koledzy tłumaczyli im, że widocznie ludność włoska ma na tę sprawę swój odrębny punkt widzenia. Niemców tego rodzaju zeznania wyraźnie drażniły. Mielismy trochę zabawy, przyczyniając się w ten drobny sposób do pogłębiania nieufności między dwoma sojusznikami.

Pierwsza noc w Oflagu. Śpiemy na pryzkach, które zmontowane są w trzech kondygnacjach. Śpię na drugim piętrze. Nade mną śpi kolega jeszcze z czasów uniwersyteckich, ze wspólnych organizacji akademickich. Ma lat 40. Przed wojną był dyrektorem departamentu w jednym z ministerstw w Warszawie. Przeniósł się przez Rumunię do Francji i wstąpił na ochotnika do armii polskiej. Nie szukał schronienia w żadnym biurze, ani urzędzie. W wojsku nie starał się znaleźć przytułku w sztabie. W czasie kampanii w Alzacji został ranny w głowę.

Z drugiej strony śpi kolega z Podchorążówki w Coetquidan. Lat 41. Również przedostał się do armii polskiej we Francji z Polski. Również nie starał się „urządzić” w jakimś biurze. Ranny, dostał się do niewoli ze szpitalem. Przed wojną zajmował w Warszawie stanowisko dyrektora wielkiego towarzystwa eksportowego.

W drugim przedziale śpi kolega, którego również poznałem w coetquidańskiej podchorążówce. Lat 43. Był ranny w czasie kampanii 1920 roku i wyniósł z tej wojny sztywną rękę. Gdy wybuchła wojna we wrześniu, zgłosił się na ochotnika. Nie chcieli go przyjąć, był bowiem inwalidą. Uruchoił wszystkie swoje stosunki, by dostać się do wojska. W życiu cywilnym był właścicielem fabryki przetworów mięsnych.

Trochę dalej śpi czwarty z moich dobrych kolegów, były dyplomata, lat 39. W kampanii francuskiej został ciężko ranny. Budził on w nas największą troskę, gdyż zmizerowany był do ostatecznych granic. Chłop był jak pistolet, chciał się jak najprędzej wyrwać na wolność i znaleźć się tam gdzie się biją.

W takiej to kompanii rozpocząłem swój pobyt w Niemczech.

D.C.N.

ADAM PRAGIER

REJON ŚRODKOWO-EUROPEJSKI

Ustalenie trwałego pokoju po wojnie, która po raz drugi pustoszy świat w ciągu życia jednego pokolenia, wymaga nie tylko klauzul traktatowych, w zakresie politycznym i gospodarczym, zapobiegających na przyszłość ponowieniu się agresji niemieckiej. Skuteczność tych klauzul byłaby wielce niepewna, gdyby jednocześnie nie dokonano pracy w kierunku przebudowy struktury gospodarczej na kontynencie europejskim, w celu wzmocnienia odporności państw, położonych w rejonie Europy środkowej i południowo — wschodniej. Przebudowa ta musi wyzwolić siły gospodarcze i socjalne, tkwiące w tym rejonie i jednocześnie położyć koniec uprzywilejowanej pozycji, jaką zdołały wytworzyć sobie w nim Niemcy.

Rejon Europy środkowej i południowo — wschodniej obejmuje strefę położoną między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatyckim, granicą zachodnią Rosji Sowieckiej i granicą wschodnią Niemiec. Jego ludność przekracza 110 milionów. Nie uporządkowane stosunki między poszczególnymi państwami, w tym rejonie, obezwładniły go wobec wpływów niemieckich i uczyniły bazą potęgi niemieckiej w Europie i na świecie. W tym rejonie od 70 lat tkwi, z tej właśnie przyczyny, źródło niebezpieczeństwa wojennego. W nim zrodziły się dwie wojny światowe.

Niemcy, rozbite waśnią religijną i rywalizacjami dzielnicowymi, nie brały udziału przy podziale świata, na równi z innymi narodami. Spóźnione w rozwoju politycznym zdążyły od XVIII wieku ze wzmożoną usilnością do powetowania sobie poprzednich zaniedbań, przez ekspansję na kontynencie Europy. Odtąd trwa bez przerwy budowa imperium kolonialnego niemieckiego w środku Europy. Bismarck, kontynuator polityki Fryderyka II, był zdecydowanym przeciwnikiem polityki kolonialnej zamorskiej — zmierzał do panowania Niemiec nad Europą. Krótki epizod awanturnych imprez zamorskich, za panowania Wilhelma II, naruszył pozornie tylko linię kierunkową ekspansji niemieckiej. Hitler powrócił rychło do poprzednich założeń polityki imperializmu niemieckiego, który w odróżnieniu od wszystkich innych, zdążył do panowania Niemiec nad kontynentem, europejskim, autarkicznie ukształtowanym — a później nad całym światem.

W zamysłach niemieckich rejon środkowo — europejski odgrywa od dawna dużą rolę. Niemcy umiały sobie tutaj wytworzyć stanowisko szczególnie uprzywilejowane. Stały się tu głównym importerem własnych fabrykatów i zarazem monopolistycznym pośrednikiem w imporcie ważnych surowców zamorskich. Jednocześnie stały się głównym, a w pewnych wypadkach, jedynym eksporterem surowców z tego rejonu. Umożliwiło im to wywieranie wpływu na gospodarstwa niektórych krajów tej strefy, zwłaszcza w Europie południowo — wschodniej i utworzenia tam prawdziwych monokultur rolniczych, przeznaczonych wyłącznie na potrzeby niemieckie.

Wielkie państwa zamorskie, eksportujące surowce potrzebne dla przemysłu, w tej liczbie także W. Brytania, nie interesowały się rejonem środkowo — europejskim bezpośrednio i nie próbowały go nawet poznać, jako rynku zbytu. Rolniczy charakter tego rejonu czynił go mało pojemnym, jako rynek eksportowy dla tych krajów, stąd traktowano go raczej jako aneks eksportu do Niemiec. Niemcy znano lepiej, to też chętnie korzystano z ich pośrednictwa. Krajów położonych bardziej na wschód nie opłacało się wcale bliżej poznać. Taki pogląd, zrozumiały z punktu widzenia ciasnych interesów handlowych w różnych branżach, nie znajdował przez długi czas przeciwwagi w trzeźwej, politycznej ocenie roli Niemiec na kontynencie Europy. Nie zdawano sobie sprawy, że słabość gospodarcza rejonu środkowo — europejskiego i uzależnienie go od Niemiec, daje Niemcom potęgę nie tylko gospodarczą, ale i polityczną, o wiele większą, niżby to wynikało z ich własnych sił i zasobów. Umożliwienie temu rejonowi rozwinięcia tkwiących w nim sił, oznacza zatem nie tylko stworzenie nowej potęgi europejskiej, solidarnej w utrzymaniu pokoju w świecie. Zmusza ono jednocześnie Niemcy, pozbawione odtąd bazy surowcowej w Europie, z której korzystały na zasadzie przywileju, do oparcia swojej własnej produkcji o surowce zamorskie — na zasadzie solidarnej współpracy z resztą świata.

* * *

Kraje rejonu środkowo — europejskiego są niemal wyłącznie rolnicze. Wyjątek stanowi Czechosłowacja i Polska. Oba te kraje można uważać za przemysłowo — rolne, Czechosłowacja posiada jednak znaczną przewagę w nasileniu rozwoju przemysłowego i w intensywności gospodarki rolnej. Ludność rejonu środkowo — europejskiego znamionuje wysoki przyrost naturalny. Gęstość zaludnienia jest w nim znaczna. Ze zaś poziom rolnictwa jest niski i produkcja niezbyt intensywna, przeto gęstość zaludnienia na obszarze uprawnym jest dwa lub więcej razy wyższa niż w Europie zachodniej. W zasadzie, produkcja rolnicza tego obszaru, stosownie do stopy konsumpcji, mierzonej normami środkowo — europejskimi, jest deficytowa. Niemniej, wywozi on dość poważne ilości płodów rolnych, celem uzyskiwania dewiz, co zwiększa jeszcze deficyt w odży-

wianiu i obniża siłę nabywczą ludności rolniczej, stanowiącej większość zaludnienia.

Bogactwa kopalne rejonu są znaczne. Jego zagłębia węglowe są drugie co do wielkości na kontynencie europejskim. Rejon produkuje już dziś 91% europejskiej ropy, 50% bauxytu, 33% rudy miedzi i 27% rudy cynku. Węgiel, niektóre rudy metalowe i ropa są przedmiotem eksportu, który również wynika głównie z niskiego stanu zagospodarowania. Przy odpowiednim rozwoju przemysłu oraz większym nasileniu motoryzacji, obszar ten nie miałby możliwości ich eksportowania, a zapewne musiałby importować znaczne ilości ropy oraz rud.

Z uwagi na niski dochód społeczny, rejon środkowo — europejski bierze niewielki tylko udział w handlu zagranicznym: dosięga on zaledwie połowy handlu zagranicznego Niemiec, jakkolwiek ludność tego rejonu przewyższa niemal o 1/3 liczbę ludności Niemiec. Wywóz z krajów poszczególnych opiera się głównie na produktach żywnościowych; ponadto znacznieszą pozycję w wywozie rumuńskim stanowi ropa oraz polskim — węgiel i drzewo. W imporcie główne pozycje stanowią: bawełna, wełna, wyroby włókiennicze, metale oraz maszyny.

Rejon środkowo — europejski, skutkiem tego, że nie był interesującym rynkiem zbytu dla wielkich państw eksportujących, był także zaniedbany pod względem kredytowym. Kapitały amerykańskie oraz zachodnio — europejskie, brały żywy udział w inwestycjach przemysłowych w Niemczech, ułatwiając szczególnie, nadmierny i gospodarczo nie usprawiedliwiony, wzrost ciężkiego przemysłu niemieckiego. Natomiast obawiały się lokat w rejonie środkowo — europejskim, pozostawiając tam wolne miejsce dla inicjatywy niemieckiej. Pozwoliło to na dostosowanie tego rejonu do potrzeb gospodarstwa niemieckiego, a w dalszej kolei zdarzeń ułatwiło im penetrację polityczną.

Dezorganizacja polityczna, panująca w rejonie środkowo — europejskim, utrudniała wzajemne porozumienie się krajów w nim położonych, choćby w dziedzinie gospodarczej. Zawiodła próba bloku rolnego podjęta przez Polskę w latach 1930-1933. Mała Ententa nie próbowała nawet podjąć poważnej próby połączenia krajów, objętych tym porozumieniem, w samodzielny blok gospodarczy. Próby bliższego powiązania gospodarczego pomiędzy poszczególnymi państwami, należącymi do rejonu, były mało owocne, także z uwagi na podobieństwo ich struktury gospodarczej, co sprawiło, że poszczególne części tego rejonu nie uzupełniały się wzajemnie w zakresie wymiany towarów. Czechosłowacja, a w pewnym stopniu także Polska, próbowały znaleźć w innych państwach rejonu rynki zbytu dla swoich fabrykatów i miały w tym zakresie pewne powodzenie, spotykały się jednak z silną konkurencją niemiecką. Ponadto kraje należące do rejonu osłabiały się wzajemnie pod względem gospodarczym, przez konkurencję na rynkach zachodnich, w zakresie eksportu swoich produktów rolnych. Ten stan rzeczy odpowiadał interesom wielkich państw spoza rejonu, które wywierały na kraje w nim leżące, różnorakie i wzajem sprzeczne wpływy.

Ustalenie bezpieczeństwa w Europie, opartego nie tylko na układach, lecz na samym funkcjonowaniu powiązań gospodarczych między poszczególnymi państwami, wymaga wyjścia rejonu środkowo — europejskiego z roli służebnej, jaką spełnia dotąd względem gospodarstwa niemieckiego. Usamodzielnienie to powinno oznaczać równocześnie zmianę struktury gospodarczej tego rejonu, przez uprzemysłowienie i podniesienie standardu życia jego ludności, do poziomu istniejącego w Europie zachodniej. Przebudowa ta musi być dokonana ze znaczną szybkością, gdyż celem jej jest nie tylko dostosowanie się do tempa ogólnego rozwoju techniki i gospodarstwa, lecz jednocześnie odrobienie istniejących zdawna zaległości. Gdy to nastąpi, kraje rejonu środkowo — europejskiego będą mogły w znacznie większym zakresie nabywać towary importowane z innych krajów

oraz eksportować swoje własne wyroby przemysłowe i płody rolnicze. Przebudowa strukturalna w gospodarstwie rejonu środkowo—europejskiego musi prowadzić do tego, by kraje położone w nim, mogły prowadzić ożywioną wymianę gospodarczą wzajemną oraz ze wszystkimi innymi państwami świata, przy całkowitej swobodzie wybierania sobie najlepszych w każdej sytuacji partnerów.

* * *

Ze wszystkich powyższych względów wynika, że konieczne jest stworzenie odpowiednich założeń dla politycznego zorganizowania rejonu środkowo — europejskiego, w stopniu wystarczającym zarówno dla jego odporności na nieprzychylny wpływ zewnętrzny, jak dla współpracy gospodarczej. Rejon ten, należycie scałkowany, może i powinien stać się samodzielnym czynnikiem w polityce międzynarodowej oraz jednym z członów nowej struktury europejskiej. Oznaczałoby to przekreślenie dotychczasowych wpływów niemieckich; oznaczałoby także zaniechanie koncepcji podziału Europy na dwie strefy wpływów: zachodnią — brytyjską i wschodnią — rosyjską.

Hegemonia rosyjska w rejonie środkowo — europejskim, musiałaby odbić się niekorzystnie na jego rozwoju gospodarczym. Rosja, ze względu na swoje własne bezpieczeństwo, zmierzać będzie do popierania rozwoju gospodarczego na obszarach, położonych daleko na wschód od jej granicy. Natomiast leżałaby raczej w jej interesie degradacja gospodarcza, zwłaszcza w dziedzinie przemysłowej, strefy najbardziej narażonej na agresję z zachodu. Stąd wpływ rosyjskie w rejonie środkowo — europejskim, gdyby miał on stać się "sferą interesów" Rosji Sowieckiej, zmierzałyby z pewnością do powstrzymania procesu jego uprzemysłowienia. Wynik takiej polityki byłby całkiem paradoksalny: oznaczałby ponowne wzmocnienie pozycji Niemiec w tym rejonie. Natomiast jest rzeczą niesporną, że rejon środkowo — europejski będzie musiał uznać w każdym razie za podstawę swojej polityki zagranicznej, utrzymywanie z Rosją Sowiecką bliskich stosunków, opartych nie tylko na przyjaźni politycznej, zawarowanej układami, lecz także na trwałej współpracy gospodarczej. Przy odpowiedniej spoistości, rejon ten stanie się dla Rosji Sowieckiej dogodnym partnerem politycznym i gospodarczym oraz bastionem obronnym od zachodu.

Istotna niezawisłość rejonu od obu jego wielkich sąsiadów, z zachodu i ze wschodu, leży nie tylko w interesie narodów nim objętych, lecz także w interesie ogólnego ładu europejskiego. Warunkiem tej niezawisłości jest oczywiście zahamowanie wszelkich dążeń odśrodkowych w jego obrębie, co wymaga znalezienia właściwych form ustrojowych. Zadanie określenia tych form oraz wprowadzenie ich w życie, należeć musi do wszystkich czynników, zainteresowanych w kształtowaniu przyszłego świata i stanowić powinien jeden z najważniejszych tematów przy obradach pokojowych. Im bardziej utrwali się — jeszcze przed zakończeniem wojny — ta myśl, im bardziej posuną się w tym kierunku prace przygotowawcze, tym mniej trudności pojawi się w funkcjonowaniu tego tworu polityczno — gospodarczego w przyszłości.

Podniesienie gospodarcze rejonu środkowo — europejskiego winno zmierzać do znacznego zwiększenia jego uprzemysłowienia oraz do intensyfikacji jego produkcji rolnej. Przyjęta zdawna opinia o podziale świata na państwa rolnicze i przemysłowe jest już dziś przestarzała, wobec faktu, że wiele zamorskich krajów, do niedawna czysto rolniczych, rozwinięto wysoko swój przemysł oraz, że w tzw. krajach rolniczych Europy, produkcja rolna oddawna gospodarczo nie opłaca się. Wartość produkcji przemysłowej, przypadająca na jednostkę zatrudnioną w przemyśle, jest naogół o wiele wyższa, niż wartość produkcji rolniczej, przypadająca na jednostkę zatrudnioną w rolnictwie. Stąd w krajach uprzemysłowionych

dochód społeczny jest o wiele wyższy, niż w krajach rolniczych. Kraje uprzemysłowione utrzymują żywszą łączność gospodarczą z innymi krajami, niż rolnicze i to w szczególności w dziedzinie wymiany towarów przemysłowych. Uprzemysłowienie wzmagą bowiem i różnicuje potrzeby w tym stopniu, że mimo rosnącej własnej wytwórczości przemysłowej, okazuje się konieczny import zagraniczny coraz bardziej różnych towarów i z coraz więcej krajów. Stąd właśnie, w krajach uprzemysłowionych Europy zachodniej, handel zagraniczny jest kilkakrotnie większy, przeciętnie na głowę ludności, niż w krajach Europy wschodniej.

Rozbudowa rejonu środkowo — europejskiego w zakresie gospodarczym i powiązania tego rejonu z resztą świata wymianą towarów winny być dziełem planowania, zarówno pod kątem widzenia potrzeb bezpośrednich, jak widoków na dalszą przyszłość. Planowanie gospodarcze dla tego rejonu będzie zatem musiało — przynajmniej w niektórych dziedzinach — sięgać głębiej, niż w lepiej zainwestowanych państwach zachodnich. Niektóre przynajmniej prace będą musiały być wykonane w tempie przyspieszonym i przy pomocy zewnętrznej.

Stabilizacja polityczna w tym rejonie, która będzie wynikiem jego scałkowania ustrojowego i ścisłej współpracy gospodarczej, stworzy warunki, umożliwiające na jego obszarze inwestycje wielkich państw wierzycielskich, w rozmiarze o wiele większym, niż to mogło mieć miejsce dotychczas. Z drugiej strony, przyczynienie się tych państw wierzycielskich do pomyślności gospodarczej środkowej Europy, przyniesie im samym realne korzyści, gdyż rejon ten będzie na przyszłość o wiele bardziej pojemnym rynkiem zbytu dla eksportu z tych krajów, niż to mogło być poprzednio. Wielkie prace inwestycyjne w dziedzinie komunikacji, elektryfikacji, uposażenia technicznego zakładów przemysłowych, stworzą niewątpliwie już zaraz po wojnie, dla przemysłu amerykańskiego i brytyjskiego, znaczny rynek zbytu w tym rejonie. Przyczyni się to w pewnej mierze do zmniejszenia w krajach anglosaskich ostrości procesów demobilizacji przemysłu, rozbudowanego na potrzeby wojenne.

* * *

Inwestycje gospodarcze w rejonie środkowo — europejskim dotyczyć będą najpierw zapewne komunikacji (koleje, drogi lądowe i wodne, motoryzacja przewozu) oraz gospodarki energetycznej (elektryfikacja, wykorzystanie siły wodnej). Inwestycje tego rodzaju przyczynią się do dania w krótkim stosunkowo czasie zatrudnienia ludności wiejskiej, niedostatecznie zatrudnionej na roli i powiększą zapotrzebowanie na wytwory przemysłowe krajowe oraz obce. Obok tych podstawowych inwestycji musi być szybko podjęte zadanie rozbudowy najważniejszych gałęzi przemysłu, a to zarówno metalurgicznego i mechanicznego, jak i przemysłów lekkich. Ważne miejsce przypadnie również przemysłowi przetwórczemu, związanemu z płodami rolnymi. Poszczególne kraje, leżące na obszarze rejonu, winny przy tym rozwijać głównie takie gałęzie przemysłu, jakie odpowiadają najlepiej ich szczególnym warunkom, unikając jednak zbytnej jednostronności. Muszą przy tym zdążyć do wymiany towarów przemysłowych, zarówno w obrębie rejonu, jak z innymi państwami.

Inwestycje podstawowe oraz rozwijający się na ich tle przemysł będą musiały, zwłaszcza bezpośrednio po wojnie, obficie korzystać z pomocy zewnętrznej. Dotyczyć to będzie zarówno urzędzeń produkcyjnych, jak również i niektórych surowców. Także i później, gdy rozwój gospodarczy w rejonie środkowo — europejskim osiągnie już poziom wyższy, wymiana towarów z obcymi krajami pozostanie zjawiskiem trwałym, gdyż o dążeniu do autarkii środkowo — europejskiej nie może być oczywiście mowy.

Wynika stąd zagadnienie sfinansowania przebudowy gospodarczej w rejonie środkowo — europejskim, gdyż przewidywać należy, że w pierwszym okresie po wojnie jego bilans handlowy będzie się kształtował ujemnie

Biorąc pod uwagę, że zjawisko to wynikać będzie głównie z dostaw gospodarczo uzasadnionych, których następstwem będzie zwiększona siła produkcyjna oraz zwiększona zdolność nabywczą, należy przyjąć, że kraje rejonu środkowo — europejskiego będą mogły być uważane w państwach wierzycielskich za teren lokaty kapitałów, zasługujący na zainteresowanie.

Polityka kredytowa państw, które będą miały możliwość udzielania pomocy gospodarczej rejonowi środkowo — europejskiemu, będzie musiała być dostosowana do szczególnych wymagań tego wielkiego zadania. Gdyby miały nad nią ciążyć normalne zasady finansowania, stosowane w kredycie międzynarodowym, należałoby się obawiać, że rozmiar tej pomocy byłby zbyt szczupły, a przeto okazałby się mało celowy. Gdy natomiast pomoc gospodarcza, głównie w formie kredytów towarowych, będzie traktowana pod kątem widzenia rozwoju ekonomicznego i socjalnego wielkiej strefy europejskiej, liczącej powyżej 110 milionów ludności, obfitującej w surowce i zdolnej do przeobrażenia się w niedalekiej stosunkowo przyszłości w aktywnego uczestnika wielkich obrotów międzynarodowych, znajdują się z pewnością właściwe formy, przy których pomoc ta będzie mogła być skuteczna.

W ogóle należy liczyć się z tym, że formy kredytu międzynarodowego doznają po wojnie głębokich przeobrażeń, a w szczególności nie będą krępowane, jak dotąd, względami techniczno-bankowymi i zbyt partykularnymi interesami grup finansowych. Prawdopodobnie względy polityczne okażą się w orientacji tych kredytów silniejsze, niż dotąd. Lease and Lend Bill otworzył w tej dziedzinie możliwości bardzo szerokie, których zasięgu nie można dziś jeszcze w całości ogarnąć, ale które z pewnością znajdują właściwy wyraz w kształtowaniu się kredytu międzynarodowego po wojnie. Gdy Bill ten wszedł w życie, uważano go zrazu za wyjątkowe „nienormalne“ zarządzenie wojenne, gdyż był to pierwszy w dziejach wypadek wielkiego kredytu międzynarodowego, wyłącznie towarowego przy spłacie, przewidzianej również wyłącznie w towarach, a nawet w usługach, i to bez ustalenia z góry terminów spłaty. Obecnie mówi się już o tym coraz więcej, że podobna forma kredytu międzynarodowego znajdzie zastosowanie do rekonstrukcji powojennej. Niedawno zawarte zostało porozumienie między rządem amerykańskim a Komitetem Narodowym Francuskim co do udzielania przez ten Komitet, korzystający z kredytów amerykańskich na podstawie Lease and Lend Bill'u wzajemnego kredytu Stanom Zjednoczonym, w postaci dostaw towarowych z kolonii afrykańskich, pozostających pod władzą gen. de Gaulle'a. Jest to pierwszy przykład kredytu wzajemnego na zasadzie Lease and Lend Bill'u. Zapewne znajdzie on w przyszłości szerokie zastosowanie i to — jak przypuszczać należy — nie tylko w formie kredytów bilateralnych, lecz wielostronnych, przy pomocy jakiegos, utworzonego w tym celu, banku dla rozrachunków międzynarodowych. Wytworzy się w ten sposób nowa postać clearingów wielostronnych, które w istocie będą clearingami wymian towarowych, pieniądź zaś zachowa w nich swoje znaczenie wyłącznie jako jednostka miernicza. Te wszystkie urządzenia, które dziś poczynają się już zarysowywać, umożliwią w przyszłości współdziałanie gospodarcze państw, w postaci nieporównanie bardziej intensywnej, niż to było dotąd możliwe. Pozwała to żywić nadzieję, że rejon środkowo — europejski będzie mógł dokonać swojej przebudowy gospodarczej z dostatecznym natężeniem i w dostatecznie krótkim czasie, by mógł stać się istotnym czynnikiem stabilizacji europejskiej.

Rozluźnienie więzów gospodarczych, łączących dotąd rejon środkowo-europejski, zwłaszcza zaś jego część południowo — wschodnią, z gospodarstwem niemieckim, wywoła z natury rzeczy przemiany nie tylko w tymże rejonie oraz w Niemczech, lecz także w innych państwach przemysłowych. Najbardziej uprzemysłowione w tym rejonie państwa, Polska i Czechosłowacja, nie będą miały w krótkim czasie możliwości zastąpienia importu

niemieckiego w tych działach, w których przemysł ten będzie po wojnie z pewnością skurczony, a więc głównie importu wyrobów przemysłu metalurgicznego, mechanicznego i chemicznego. Utworzy się w ten sposób znaczne i przez długi czas wzrastające pole dla eksportu odpowiednich działów przemysłu amerykańskiego, brytyjskiego oraz z krajów, w których przemysł rozwinął się nagle do znacznych rozmiarów w czasie wojny (Dominia Brytyjskie, niektóre kraje Ameryki Południowej).

Koordinacja gospodarcza rejonu środkowo — europejskiego musi być oparta na odpowiedniej komasacji politycznej państw, leżących na jego obszarze. Zadanie to jest niewątpliwie trudne, lecz niezwykle ważne, gdyż od należytych powiązań politycznych zależy trwałość wszystkich stosunków, zarówno politycznych, jak gospodarczych w tym rejonie, a nawet sama możliwość jego odpowiedniego scałkowania.

Stworzenie jednolitego bloku politycznego, w postaci federacji wszystkich państw Europy środkowej i południowo — wschodniej, wydaje się na pierwszy rzut oka pojętne, gdyż stwarza jednolity wielki obszar polityczny. Jednakowoż stosunki narodowościowe i socjalne są tutaj tak różne, a poziom gospodarczy tak niejednolity, że powiązania polityczne, gdyby miały być jednolite na całym obszarze środkowo — europejskim, musiałyby być z konieczności dość luźne i zapewne nie wystarczałyby do nadania mu odpowiedniej spistości. Stąd zarysowuje się perspektywa utworzenia raczej dwu bloków politycznych, północnego i południowego. W pierwszym z nich Polska i Czechosłowacja stanowiłyby ośrodek krystalizacyjny. Taką rolę tych obu krajów zapowiadają już w pewnej mierze porozumienia między nimi i wynikłe stąd deklaracje obu rządów. Blok południowy obejmowałby kraje bałkańskie. Także tutaj uczyniono już początek w postaci deklaracji, zapowiadającej utworzenie jakiejś formy konfederacji Jugosławii i Grecji. Blok północny łączyłby, mimo różnicy poziomów, dwa kraje o wyraźnym charakterze przemysłowo — rolniczym Polskę i Czechosłowację oraz kraje sąsiednie, o wysokim stosunkowo poziomie rolnictwa, nie pozbawione także zaczątków rodzimego przemysłu. Blok południowy objąłby kraje bałkańskie o charakterze czysto rolniczym, mające podobne dane do podniesienia poziomu swojej produkcji dotychczasowej oraz do rozwoju przemysłu, opartego na własnych źródłach. Każdy z tych bloków musiałby wytworzyć swoje, odpowiadające istniejącym warunkom oraz tradycjom historycznym, formy ścisłego powiązania politycznego, wyposażonego we właściwe organy wykonawcze. Oba bloki musiałyby pozostawać we wzajemnych ścisłych stosunkach politycznych, zabezpieczających całkowicie zdolność ich wspólnego działania.

Pod względem gospodarczym każdy z tych bloków musiałby zmierzać do szybkiego przeobrażenia się w jednolity organizm gospodarczy. Wymagałoby to oparcia wymiany towarowej w obrębie bloków na zasadzie unii celnej, choć zapewne przez jakiś czas pozostałyby dla niektórych towarów cła wewnętrzne, o charakterze wyrównawczym. Z uwagi na nierówność poziomów produkcji przemysłowej w różnych ważnych działach w Czechosłowacji i w Polsce, jak również w intensywności oraz w kosztach produkcji rolnej tych krajów, takie czasowe zarządzenie okaże się z pewnością konieczne, dla złagodzenia zjawisk związanych z procesem unifikacji. To samo dotyczyć będzie zapewne także innych państw wchodzących w skład bloku północnego, choć może w odpowiednio zmienionym zakresie. W obrębie bloku południowego, unia celna typu klasycznego nie będzie nasuwała większych skrpułów, lecz będzie też miała mniejsze znaczenie. Kraje te bowiem, dzięki bardzo podobnemu charakterowi ogólnemu swych gospodarstw, mają mniej towarów nadających się do wzajemnej wymiany.

Powiązanie obu bloków pomiędzy sobą powinno być oparte na zasadzie preferencji celnych. Preferencje celne stanowiłyby więc łączącą

dostatecznie silnie cały blok środkowo — europejski w jego stosunkach z innymi państwami czy grupami państw. Z czasem powstałaby z pewnością na tym tle wspólna orientacja całego bloku, w zakresie jego polityki handlowej. Biorąc pod uwagę, że system preferencji celnych bloku środkowo — europejskiego nie byłby oparty na dążeniu do autarkii gospodarczej i do wyłamania się z kooperacji światowej, lecz wręcz na odwrót, do brania w niej żywego udziału w charakterze dostatecznie silnego partnera, nie należy się liczyć z oporem wielkich państw przeciwko takiej formie gospodarczego umocnienia bloku. Byłoby to w istocie przecież nic innego, jak tylko gospodarcze umocnienie nowej wielkiej jednostki politycznej w Europie. Te same względy, które nakazywałyby wielkim państwom sprzymierzonym uznanie celowości tej nowej formacji politycznej, służyłyby więc za dostateczne uzasadnienie zastosowania w jej obrębie systemu preferencji celnych. Istnieją zresztą w tej sprawie liczne precedensy uznania przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, możliwości stosowania preferencji celnych w stosunkach między kilkoma mniejszymi państwami np. zgoda Anglii na stosunek preferencyjny — celny Hiszpanii, Portugalii i Brazylii, między państwami bałtyckimi i Finlandią, między niektórymi państwami środkowo — i południowo — amerykańskimi, zgoda Stanów Zjednoczonych na stosunek preferencyjny — celny między Czechosłowacją, Austrią, Węgrami, Jugosławią, Rumunią i Bułgarią.

Zarysowuje się zresztą ostatnio w opinii amerykańskiej myśl o bloku regionalnym na półkuli zachodniej, który stanowiłby dla rejonu środkowo — europejskiego precedens także pod względem politycznym. Coraz więcej zaczyna się szerzyć rozumienie potrzeby politycznego i gospodarczego umocnienia wrażliwego terenu Ameryki środkowej oraz wysp położonych w rejonie Kanalu Panamskiego, przez skomasowanie ich w jednolitą całość regionalną. Pomysł ten powstał — rzecz znamienita — nie pod kątem widzenia czysto gospodarczym, lecz jako wynik zrozumienia ważności politycznej tego rejonu dla bezpieczeństwa obu Ameryk.

Ukształtowanie polityczne i gospodarcze rejonu środkowo — europejskiego jest niewątpliwie jednym z trudniejszych zadań, spośród tych, które stawia na porządku dziennym druga wojna światowa. Pilność tego zadania wynika już z samego faktu, że obie wojny światowe wzięły początek z napięć wynikłych w tym właśnie rejonie. Ciężar dokonania tego zadania spoczywa przede wszystkim na narodach żyjących w Europie środkowej i południowo — wschodniej. Jest ono tym trudniejsze, że dotychczas wszystkie federacje państwowe powstawały bądź z interesów dynastycznych, bądź w wyniku zaborów. Teraz, po raz pierwszy, budowanie nowego wielkiego tworu politycznego ma przypaść w udziale samym narodom ku ich własnemu dobru. Nie można zamykać przy tym oczu na fakt, że narody te mają między sobą wiele niezalutwionych sporów, pozostałych z niedawnej przeszłości, które wciąż wywołują poważne zadrażnienia. Z drugiej jednak strony zasięg tych sporów rozpatrywany w porównaniu z rozmiarem konfliktu światowego wokół którego toczy się wojna, każe przypuszczać, że będą one mogły być pomyślnie rozstrzygnięte, gdy przy rozważaniu ich górować będzie nad różnicami partykularnymi, nieraz bardzo emocjonującymi, choć w istocie mającymi podrzędne znaczenie, myśl konstrukcyjna. Ta właśnie myśl musi skłonić do znalezienia nowych form współżycia politycznego i gospodarczego narodów, zapewniającego pokój, bezpieczeństwo i pomyślnie warunki rozwoju wszystkim na równi. W tej trudnej, lecz koniecznej pracy koordynacyjnej ogromną rolę będzie miało poparcie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych dla tych państw położonych w rejonie środkowo — europejskim, które wezmą na siebie rolę pionierską w organizowaniu bloku Europy środkowej i południowo — wschodniej.



*Kings Cross Station
J.
dodany 1991*

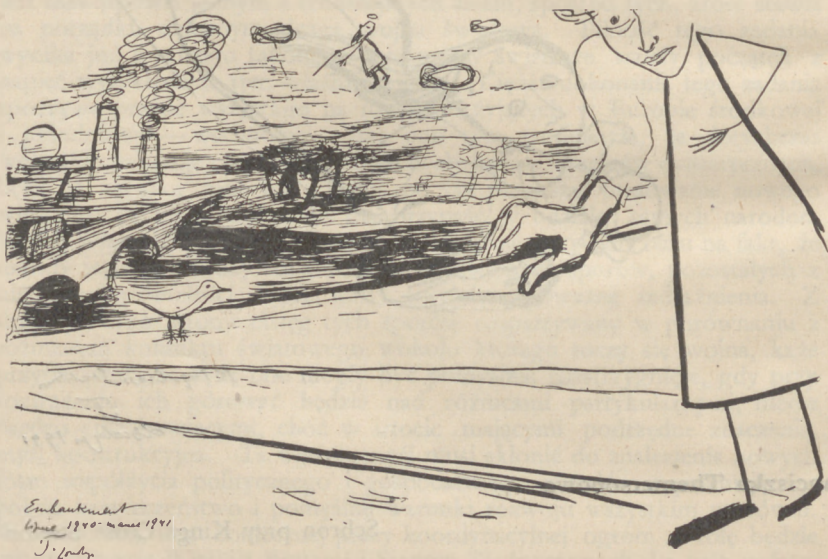
Franciszka Themersonowa

Schron przy Kings Cross Station



Franciszka Themersonowa

Alicja w Krainie Czarów 1942



Franciszka Themersonowa

Chelsea Embankment

KONIEC JAPOŃSKICH LIBERAŁÓW

Początek końca.

Ten ruch zaczął się przeszło przed 30 laty i od tego czasu był coraz silniejszy i popularniejszy. Problem zasadniczo zamykał się jedynie w zagadnieniu: jaką będzie Japonia? Wielcy przemysłowcy i kupcy z Osaki stale twierdzili, że kraj musi kroczyć raczej utartymi drogami angielskiego gospodarczego i politycznego postępu, gdyż to zwiększa stan bogactwa narodowego i zapewnia im spore zyski. Pierwsi Japończycy, wychowani w zagranicznych uniwersytetach; głosili również piękne hasła ogólnego liberalizmu i twierdzili, że feudalizm japoński skończył się ostatecznie w 1868 roku. Po zwycięskiej wojnie z Rosją w 1905 roku, armia miała jednak coraz więcej do powiedzenia, a jej urok zaczął coraz silniej działać na pokolenie, wychowane wśród fanfar ostatnich zwycięstw. Poza tym nastąpiła zupełnie zrozumiała reakcja przeciwko nadmiarowi wpływów zachodnich, które święciły swe największe tryumfy na wyspach „wschodu słońca“ w końcu zeszłego i na początku obecnego stulecia — i liczne tajne, patriotyczne stowarzyszenia zaczęły krzewić nie tylko za pomocą perswazji, ale również teroru konieczność powrotu do obyczajów i zwyczajów „dawnych, dobrych czasów“. W ten sposób w społeczeństwie naprawdę jeszcze półfeudalnym rozpoczął się skrajny ruch nacjonalistyczny.

Wojna światowa i związana z nią „prosperity“ nieoczekiwanie przyczyniły się do czasowej demokratyzacji państwa i pierwszy w dziejach Japonii związek robotniczy został oficjalnie zalegalizowany w 1919 roku. Potem wśród poddanych cesarza zaczęły się nawet szerzyć pewne wpływy komunistyczne, a dość liczni socjalistyczni marzyciele mogli jakiś czas otwarcie mówić i pisać o konieczności przeprowadzenia wielu reform społecznych. Nie było to jednak groźne. W miarę bowiem tego, jak kończyła się „prosperity“ i zaczynał się kryzys, policja stopniowo likwidowała różne „niepotrzebne swobody“. W 1931 roku zajęta została Mandżuria i wpływy armii wzrosły ogromnie. Imperializm zaczął być modny, podczas gdy eksploatacja innych krajów okazała się nadszycząj dochodowym przedsięwzięciem. W 1936 roku nieudała rewolucja wojskowa przyczyniła się jednak do likwidacji różnych liberalnych doradców cesarza — w rok później zaś rozpoczął się „konflikt“ chiński — i od tej pory wychowanie społeczeństwa stało się przeważnie obowiązkiem policji i żandarmerii.

Japoński nacjonalizm miał zasadniczo łatwą przeprawę z japońskim liberalizmem. Tą ostatnią nazwą ochrzczono wszelkie prądy polityczne, ekonomiczne i kulturalne, które wychodziły z założeń zachodniej myśli postępowej i pragnęły przekształcić życie narodu według jej wzorów. Japończycy bowiem przyswoili znakomicie technikę Zachodu, ale zachowali na ogół swoją starą mentalność feudalną — i nawet pokolenia, wykształcone w licznych, pozornie nowoczesnych uniwersytetach i szkołach, nie mogły się jej pozbyć, ponieważ nie miały zwykle okazji poznania innego środowiska poza własnym. Ogromna masa ludzi niedokształconych weszła w ten sposób w nowoczesne życie japońskie i nie mogąc zrozumieć idei postępu zaczęła je nienawidzić. Na tym tle powstała cała wzniosła i buńczuczna frazeologia — i Zachód został ostatecznie potępiony. Z Zachodu zresztą przyszedł faszyzm, ale nie zmieniło to już sytuacji — Japonia zaczęła wszystkim i sobie wmawiać, że jedynie i naprawdę, nawet w obecnych czasach „światło idzie ze Wschodu“ wskazując na siebie.

Cesarska droga.

Gdy w początkach 1939 roku przyjechałem do Japonii, wychowaniem narodu — jako minister oświaty — zajmował się głośny generał baron

Sadao Araki, mistyk, nacjonalistyczny bohater narodowy i ideał młodych oficerów. Generał powiedział mi kiedyś, że nie ceni zbyt wiele ani włoskiego faszyzmu, ani niemieckiego nazizmu, których popularność rosła coraz bardziej w ostatnich latach wśród Japończyków, i uważa je za ideologie czasowe i przejściowe — jedyna bowiem prawdziwa wiara polityczna istnieje tylko w Japonii i jest nią „cesarska droga“. Tę totalistyczną drogę trudno zarówno wytłumaczyć, jak i zrozumieć, ale polega ona na ogół na tym, że cały naród stanowi rodzinę z ojcem-cesarzem na czele. Ludność musi być przeto „grzecznym dzieckiem“, cierpliwie czekać na to, co jej rozkaże „syn nieba“—ojciec i wykonanie każdego nakazu uważać za cel swego życia. Według opinii gen. Araki — Mussolini i Hitler są raczej naśladowcami odwiecznych wzorów japońskich — nigdy bowiem dumny Japończyk nie może się przyznać do tego, że przejął jakąkolwiek ideologię z Zachodu. Oczywiście cesarz jest osobą świętą i musi powierzyć sprawowanie rządów pewnym ludziom. Nad doбором tych ludzi — od 1931 roku — czuwała już głównie armia.

„Cesarska droga“ bardzo możliwe jest ogromnie stara, ale wyraźnie zmieniać życie Japonii zaczęła dopiero przed siedmiu lub ośmiu laty. Wśród wielu zmian zaczęły się wtedy słynne i częste „czystki“ na uniwersytetach, gdy wielu profesorów pousuwano, a wielu zaaresztowano za poglądy, wyrażone w książkach, napisanych i wydanych nawet przed kilkunastu laty. Gen. Araki na emeryturze czuł się również żołnierzem — dlatego w odpowiednio wojskowy sposób zreorganizował całe szkolnictwo. W końcu 1939 roku zarząd policji tokijskiej ogłosił w prasie rezultaty swej pracy wychowawczej podkreślając z dumą, że policjanci stale wykładają na uniwersytetach na tematy patriotyczne, anty-demokratyczne, anty-komunistyczne itd. Studenci podobnie z zapalem przybywają na te wykłady, zwłaszcza że za nieobecność na nich grozi areszt. W tym samym mniej-więcej czasie ostatni istniejący, japoński związek robotniczy „dobrowolnie“ się rozwiązał.

W roku 1940 przyszło szaleństwo „nowej struktury społecznej“ — odpowiednika w pewnym sensie naszego rodzimego Ozonu — która nie bardzo się udała, ale zdławiła i steroryzowała kraj do reszty. Wszystkie partie polityczne rozwiązały się nagle z „własnej woli“, a stowarzyszenia wszelkiego rodzaju zaczęły podobnie dobrowolnie ograniczać lub zawieszać swoją działalność, lub też łączyć się w organizacje, nakazane przez władze. Rząd dokonał wtedy nie byle jakiego wyczynu, gdyż jednym dekretem zespolił liczne sekty budyjskie, istniejące przeszło od tysiąca lat — i zapowiedział podobną reformę wśród wyznań chrześcijańskich. Nie jest to łatwe zadanie — może coś o tym powiedzieć historia chrześcijaństwa, ale tej historii nikt w japońskim ministerstwie spraw wewnętrznych nie czytał. Zaważyła jednak interwencja Watykanu — katolicyzm zostawiono prawie w spokoju, zjednoczono natomiast wszystkich protestantów, a głową japońskiego kościoła prawosławnego został wykładowca wyższej szkoły wojskowej — po usunięciu starego metropolity, Rosjanina. Cudzoziemców w ogóle zaczęto tępić coraz bardziej — nawet ci, którzy spędzili długie lata w Japonii jako misjonarze, nauczyciele i doradcy musieli opuścić swe stanowiska lub wykonywać coraz bardziej podrzędne funkcje.

Nad krajem zaciążyła wszechładna i wszechobecna cenzura. Przykłady jej są wprost niezliczone, cytaty jej mogą być bardzo zabawne, ale dla tych, którzy muszą dostosowywać swe życie do jej wskazań, jej skutki są co najmniej przykre. Radiostacji zagranicznych od dawna już nie było wolno słuchać, później zakazano czytania zagranicznych wydawnictw, a wreszcie oficjalnie zabroniono rozmów — nawet najbardziej prywatnych — na tematy polityczne. Dla ludności uczyniono jednak pewną koncesję — i już od dwóch lat wszyscy, których dręczy ciekawość lub wątpliwość, mogą się zwracać z zapytaniami na najbardziej skomplikowane tematy poli-

tyczne, ekonomiczne i wszelkie inne do każdego posterunkowego na ulicy. Przedstawiciel bezpieczeństwa nigdy nie odmawia odpowiedzi i udziela ją zgodnie z okólnikami głównej dyrekcji policji. Dzieła wielu pisarzy europejskich uległy nagle konfiskatom, chociaż poprzednio nikt nie wysuwał zastrzeżeń przeciwko przekładowi ich na język japoński. Oczywiście opera „Madame Butterfly“ nie może być wystawiana obecnie w Japonii, policja bowiem doszła ostatnio do wniosku, że obraża ona uczucia narodowe.

Gdy Francja kapitulowała przed nawałą niemiecką, w życiu japońskim dokonywała się przełomowa zmiana — i resztki japońskich politycznych, ekonomicznych i kulturalnych liberałów musiały zrezygnować ze swych poglądów lub zapełnić więzienia. Sposób myślenia znalazł się pod kontrolą, a prasa, zgodnie ze wskazówkami rządu, jednogłośnie i stale rozpoczęła wychwalać urok japońskich nacjonalistycznych tradycji tępiąc wszystko, co było obce i co głosiło wolność. Japoński czytelnik wtedy przejrzał i nareszcie zrozumiał, że „plutokratyczne narody anglo-saskie — pod dyktaturą londyńskiej City i newyorskiej Wall Street — postanowiły szerzyć na świecie zawieruchę wojenną i za pomocą swej nauki, literatury, kultury, demokratycznych idei, potęgi militarnej i presji ekonomicznej chcą zgniebić Japonię i ujarzmić ludy Azji Wschodniej“. Naturalnie podobne wyzwanie należało mężnie przyjąć — i hasło „wspólnej sfery pomyślności w wielkiej Azji Wschodniej“ stało się lub musiało się stać wyznaniem wiary każdego japońskiego patrioty, a walka z wrogiem na odcinku zewnętrznym i wewnętrznym przysłała jako nakaz obowiązku. I tak „cesarska droga“ stała się gościńcem, prowadzącym kraj w przyszłość.

W jesieni tego pamiętnego 1940 roku rozmawiałem z moim przyjacielem T. Z., jednym z najwybitniejszych literatów i intelektualistów japońskich. Z okien baru na Ginzie, głównej ulicy Tokio, patrzyliśmy na jakiś wojskowy pochód, który witały — wymachując chorągiewkami — spędzone, zmęczone kobiety w białych „patriotycznych“ kimonach. Zapytałem go, co myśli o tym wszystkim. „To jest, jak fala — odpowiedział — zalewa nas wszystkich i cofa Japonię w dawne, okropne lata. Co robić? Jak z tym walczyć i czy wogóle można z tym jeszcze obecnie walczyć? Sądzę, że jedynie można udawać i czekać. Trzeba wejść w totalistyczny nacjonalizm i starać się go rozbić z wewnątrz. To chyba jedyna narazie droga. Walczyć o idee, iść do więzienia? Nie, proszę pana, zginiemy i nikt o nas nie będzie wiedział. W Japonii nikt nie wie nic o męczennikach — ich sprawy są załatwiane przez rząd dyskretnie, po cichu“.

Ostatnie słowa powiedział szeptem. Był po wielu kieliszkach „sake“ i dlatego nie skrywał przede mną swoich poglądów. Ale przy sąsiednim stole już od dłuższego czasu siedział dzientelmen o krótko ostrzyżonych włosach, ubrany w białą marynarkę, czarne, alpagowe spodnie i żółte półbuciki, który z nonszalancką miną udawał, że pije piwo, i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Wiedzieliśmy obaj, jaki jest jego zawód.

Spotkanie w więzieniu.

Rok 1941 przyniósł dalsze zaostżenia i ograniczenia, dalszą likwidację szczątkowych resztek japońskiej wolnej myśli i ostateczną, urzędową unifikację ludności. Mundury dla wszystkich — dla ludzi i dla poglądów. Profesorowie filozofii uzgadniali swe wykłady z kapralami żandarmerii, a plutonowi policji uczyli profesorów prawa, jak mają wobec słuchaczy interpretować konstytucję. Literaci zostali zrzeszeni w jeden związek i „postanowili“ pisać jedynie na tematy patriotyczne. Jakimś cudem ocalał japoński PEN Club — chyba dlatego, że ucichł, schował się i przestał działać — i dlatego, że jego sędziwy prezes i głośny pisarz, Toson Shimazaki, cieszy się poczytnością i ma przyjaciół nawet wśród wpływowych oficerów.

Liberalizm gospodarczy dawno już skapitulował przed ofensywą wsze-

chetatyzmu. Nad cudnym, błękitnym morzem w Hayamie, w wielkiej, подарowanej przez cesarza, japońskiej willi, 88-letni hrabia Kentaro Kaneko, autor japońskiej konstytucji i najstarszy członek tajnej rady cesarskiej, opowiadał mi jeszcze przed rokiem o tym jak budował przez całe swe życie konstytucyjną, liberalną, monarchistyczną Japonię. Ta praca oczywiście była w gruzach, lecz stary mąż stanu wyzywająco mówił o swoich poglądach powtarzając, że nikogo się w swym kraju nie boi. Zaatakował nawet Niemców. „Przy pierwszej okazji pan musi napisać — podkreślił to parę razy — że uważam ich za największych barbarzyńców świata, a to, co wyprawiają oni w Polsce, woła o pomstę do nieba“. W maju tego roku staruszek zgasł w swej uroczej willi, a wraz z nim zeszedł do grobu ostatni wielki japoński liberał polityczny, który — po śmierci przed dwoma laty, księcia Saionji — był również ostatnim przedstawicielem tych wspaniałych ludzi z 19 wieku, którzy prowadzili dalej dzieło restauracji 1868 roku starając się wprowadzić Japonię na drogę nie tylko materialnego, lecz również duchowego postępu.

Po ataku na Pearl Harbour rozpoczęły się najostrejsze represje, oparte na przesłankach, posądzeniach i denuncjacjach. Za pozory demokratycznych idei, za niesprecyzowane nawet anty-totalistyczne poglądy, za każde nieostrożne słowo, podsłuchane przez szpicla lub niechętnego sąsiada — sypały się na ludzi nieproporcjonalnie ciężkie kary. Prasa w wielu artykułach udawadniała i udawadnia jeszcze chyba obecnie, że wszystkie wielkie wynalazki są właściwie dziełem Japończyków i co najwyżej paru Niemców oraz Włocha, Marconiego — i że Japonia swą technikę zawdzięcza jedynie sobie. Armia i marynarka zafrapowały wszystkich swymi zyciostwami — ich przekonania stały się przeto prawem.

W kwietniu bieżącego roku poznałem w więzieniu tokijskim — mimo ścisłej izolacji — więźnia-Japończyka, przebywającego w jednej z cel sąsiednich. Byliśmy w kąpielni, dozorca nieoczekiwanie gdzieś odszedł, mogliśmy przeto rozmawiać po angielsku w ciągu prawie pięciu minut. Powiedział mi on, że jest pisarzem, komandorem-porucznikiem i autorem głośnej książki. Po przyjeździe do Anglii dowiedziałem się, że jego książka po wybuchu wojny na Pacyfiku wydawana jest tutaj i w Stanach Zjednoczonych w coraz to nowych nakładach, że doskonale „idzie“ i że liczni eksperci w sprawach Dalekiego Wschodu często ją cytują, gdy piszą o wojskowych dążeniach Japonii uważając autora za szczytowego wyraziciela japońskiego militarysty, nacjonalizmu i imperializmu. Niestety autor nic nie wie o swej obecnej popularności i prawdopodobnie nie otrzyma dochodów z nowych wydań swej książki. Gdy nareszcie zwolniony wyjeżdżałem z Japonii, on został skazany na 10 lat ciężkiego więzienia, chociaż się nazywał Tota Ishimaru i wydał książkę pod tytułem: „Japan must fight Britain“. Najciekawsze jest oczywiście to, że nawet takiego pisarza żandarmeria posądziła o szczerzenie jakichś liberalnych poglądów, uleganie obcym wpływom i kontakty z niebezpiecznymi cudzoziemcami. Stąd można wysnuć jedynie wniosek, że zasadniczo wszystkie drogi prowadzą do więzienia.

Przemówienie wygłoszone przed premierą sztuki Jarosława Iwaszkiewicza pt. "Lato w Nobant", w teatrze Maddermarket (Norwich Players) w Norwich, w dniu 31 Października 1942.

Panie i Panowie,

Autor komedii o Szopenie, Jarosław Iwaszkiewicz, jest nie tylko świetnym poetą, esseistą i muzykologiem, klasycznym tłumaczem surrealistów francuskich i na odwrót eksperymentalnym tłumaczem Hamleta, — ale przede wszystkim jednym z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy współczesnych. Wszystkie jego powieści (a wydał ich bez mała dwadzieścia) wywoływały po ukazaniu burzę entuzjazmu i oburzenia jednocześnie. Podziwiano w nich za każdym razem coraz to inny charakter artyzmu i stylu, coraz to inne odkrycia psychologiczne i nowe czary opisów. Gorszo się jego szczerością i śmiałością. Czas pokazał, że entuzjaści mieli rację. Rewolucyjny w swych obserwacjach, egzotyczny, niesamowity, ba . . . skandaliczny nawet Iwaszkiewicz stawał się na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat prozaikiem, nie tylko klasycznym prozaikiem, ale popularnym — w literackim tego słowa słowa — pisarzem.

Książki jego porównywano chętnie do dzieł pisarzy francuskich, do Prousta, Claudela, Mauriaca, Bernanosa. Porównania te były powierzchowne. Oczywiście twórczość Iwaszkiewicza wyrosła z literatury francuskiej, ale ożywiona była swoistą polsko — ukraińską zmysłowością, jakimś czarem, wywodzącym się z szerokich pól Europy południowo — wschodniej, od Tatr po morze Czarne.

Pamiętam, gdy przed wielu laty słuchaliśmy razem „Après-midi d'un Faune“ Debussy'ego Iwaszkiewicz zawołał: „Ach . . . jest w tej muzyce nastrój całej Francji. Ale jest w niej także coś z trudnej do wyrażenia tęsknoty wsi słowiańskiej“.

„Możnaby to samo na odwrót powiedzieć o twoich wierszach, ktoś mu odpowiedział — jest w nich nastrój całej Polski, a jednocześnie mają w sobie powściągliwość i klarowność geniuszu francuskiego“.

To zmieszanie się tych dwóch kultur, dwóch temperamentów, dwóch nastrojów charakteryzuje wielu pisarzy słowiańskich, a już w każdym razie dzieło Iwaszkiewicza.

Ta atmosfera eliksiru francusko — polskiego unosiła się także i nad domem Iwaszkiewiczów.

Iwaszkiewiczowie mieszkali o 20 mil od Warszawy, a o drugie 30 mil od Żelazowej Woli, miejsca urodzenia Szopena. Dojeżdżało się do nich kolejką elektryczną, do jakiejś małej stacyjki. Stąd szło się na przelaj polami, a potem wchodziło się w stare i rozległe lasy Helenowa. Światła elektryczne, sygnały kolejowe, szosa z samochodami, wszystko to zostawało za nami. Nagle znajdowałeś się wśród głuchej wsi, w środku ciemnego i zarosłego lasu. Tam w małej leśniczówce, która nazywała się „Aida“, tak jak tytuł opery Verdi'ego, mieszkali Iwaszkiewiczowie. Ogrodu nie było. Był tylko las. Drzewa zaglądały do okna. Wieczorami dom tonął w półmroku, gdyż nie było światła elektrycznego i paliły się tylko lampy naftowe, a na wiecznie nie otwartym fortepianie płonęły świece. Gdy przychodziła jesień i wiatry, cały las szumiał; szumiał i domek.

Jeździliśmy tam często na soboty. Pamiętam jakiś wieczór późny, jesienny sprzed kilkunastu laty. W jednym z pokojów na górze gdzie stały dwa fortepiany, ktoś walił całą pasją w klawisze modną wówczas „Rapsody in Blue“ Gershwin'a. To grali pianiści: egzotyczny Roman Jasiński i sentymentalny Landau. W pokoju na dole, w cytrynowym świetle lamp, prowadzono żywe rozmowy. W jednym kącie dyskusja o

Conradzie : Jean Aubry z „Nouvelle Revue Francaise“ - francuski tłumacz Conrada, pani Iwaszkiewiczowa, muzyczka i autorka szkiców o Conradzie, oraz poeta Słonimski, nazywany „anglofilem“ z powodu jego uwielbienia dla Anglii i jej literatury. W innym kącie pokoju rozmawiali : wielki nasz kompozytor Karol Szymanowski, Madame Casella, żona kompozytora, i Jarosław Iwaszkiewicz, który pisał Szymanowskiemu libretta do jego oper. Wreszcie na schodach siedziałem ja i opowiadałem miejscowym dzieciom historie o duchach, a nastrój nocy i wiatru sprzyjał opowieściom.

Do pokoju wbiegały raz po raz dwie stare ciotki pani Iwaszkiewiczowej, wołając że kolacja, że suftet z sera się przepali, ale nikt nie przerywał rozmowy i nie śpieszył się do jadalni. Drżące światło świec rzucało na posadzkę długie cienie przebiegających kobiet.

Nagle melodia na górze się urwała. Po krótkiej chwili jednak ktoś znowu uderzył w fortepian. Tym razem słodziej, ciszej . . . Jeden z pianistów zaczął grać drugą część Scherza Szopena. Grał wolno i powściągliwie. Razem z pojawieniem się tej muzyki, od razu umilkły wszystkie głosy, rozmowa się przerwała. Szymanowski opuścił ręce oparł głowę o ścianę. Obie szeleszczące jedwabiami ciotki, przed chwilą jeszcze tak podniecone, znieruchomiały w drzwiach do stołowego pokoju. Stary służący Piotr z politowaniem niepozobawionym współczucia popatrzył na nas wszystkich i cicho odszedł do kuchni powiedzieć kucharce, że o kolacji na razie nie ma mowy, bo goście słuchają Szopena.

Szopen ma dwa oblicza ; jedno — to oblicze — ogólnoludzkiego twórcy jak Bach, Mozart, Debussy, oblicze klasyczne Szopena. Drugie oblicze jest czysto polskie. W jego muzyce Polacy instynktownie czują smutek niewoli, epokę tragiczną, gdy podbity kraj mógł wyzywać się i wypowiadać tylko w pieśni i muzyce.

Gdy Kraj nasz odzyskał niepodległość zaczęto występować przeciwko temu uczuciowemu ujmowaniu muzyki Szopena, uważając, że ogranicza ono jej czysto muzyczną wielkość.

Iwaszkiewicz należał do rewizjonistów. „Ach trzeba skończyć z takim Szopenem, — mówił. Powinniśmy go znać, nie tylko jako natchnionego artystę, ale jako zwykłego i bliskiego nam człowieka“. Myślał o pisaniu powieści o Szopenie, ale porzucił ten zamiar, uważając że „wie romancée“ nie daje mu dostatecznej możliwości do napisania frapującej powieści. Z kolei myślał o pisaniu komedii, ale wydawało mu się, że nie ma zdolności do pisania sztuk teatralnych. Gdy jednak w roku 1935 radio warszawskie zainicjowało raz w tygodniu odczyty o Szopenie i zwróciło się do Iwaszkiewicza o współpracę, poeta zgodził się. Wtedy to powstały dramatyczne dialogi radiowe, — rozmowy między George Sand i Szopenem. Iwaszkiewicz pisał je właściwie dla wielkiej aktorki warszawskiej pani Przybyłko — Potockiej, która była entuzjastką słynnej Aurory. Od tych dialogów radiowych, które odślaniały blaski i nędze historycznego związku dwojga artystów — do napisania komedji był tylko krok.

Pod naciskiem dyrektora Teatru Polskiego, Szyfmana i Przybyłko-Potockiej, Iwaszkiewicz pisze dalsze dialogi, a wreszcie decyduje się na skomponowanie całej komedii. Jeszcze nie wysechł atrament rękopisu komedii, a już zaczynają się próby. Premiera jest wielkim sukcesem i sztuka idzie przez dziesiątki wieczorów w Warszawie, a potem w innych miastach polskich.

Iwaszkiewicz pracował nad dialogami radiowymi i nad komedią bardzo poważnie. Jeździł w tym celu do Francji ; był w Nohant ; studiował dokładnie listy i pamiątki po Szopenie ; odczytał skrupulatnie wszystkie powieści pani Sand, jak również jej korespondencję. W wielu miejscach komedii powiedzenia Aurory i Szopena są dokładnymi cytatami z ich listów i pamiątek.

A przecież, pomimo całej wierności historycznej, gdym słuchał tej sztuki

po raz pierwszy w Warszawie, siedząc gdzieś w głębiach teatru, między Jarosławem i jego żoną, powiało z atmosfery tego teatralnego Nohant coś, co mi się już wydawało znane z życia. Ach, prawda . . . Przecież to nastrój samego domu Iwazskiewiczów, przecież to nastrój willi o dwóch fortepianach, położonej w ciemnym lesie i zwanej, jak opera Verdiego, „Aida“. Przypomniał mi się późny wieczór jesienny w ich domu, gdy po namiętych dyskusjach o sztuce i życiu, ucichliśmy wszyscy: Polacy i Francuzi, poeci i muzycy, służba, goście, słuchając Scherza Szopena, niby pożegnania. I tu w ich domu, jak tam w Nohant, ponad konturami życia, bujnego i pełnego komplikacji, płynął rozlewny i nostalgiczny artyzm polski, splatając się z mądrością i wdziękiem kultury francuskiej.

Oto pokrótce historia powstawania tej komedii, którą na język angielski przełożyła pani Celina Winiewska, sama artystka i przyjaciółka artystów.

Myślę, że Iwazskiewicz którzy miał zawsze żywą predylekcję do teatrów kameralnych i literackich, byłby rad wiedzieć, że „Lato w Nohant“ wystawione jest przez zespół „The Norwich Players“, uważany za jeden z bardziej literackich zespołów kameralnych Anglii. Sława tego teatru, który pierwszy wystawił Szekspira, tak jak był grany za czasów Elżbietańskich, oraz kierownika teatru p. Nugent’a Monck’a, dobiegała i do nas, do Warszawy. Ale teatr i aktorzy z Anglii wydawali się tak dalecy, tak nieosiągalni, jak państwu wydałby się może zespół „playersów“ polskich, wystawiający gdzieś w cieniu katedry polskiej „Everymana“.

Dzisiejsza premiera przewycięża tę odległość i oto artyści angielscy podają poprzez morze rękę pisarzowi polskiemu. A podają ją w chwili, gdy sztuka w naszym kraju milczy. Autor Lata w Nohant, jak wszyscy pisarze w Polsce, nie wydaje dzisiaj swych książek, bo książek polskich wydawać nie wolno. Aktorzy polscy, którzy grali w tej sztuce, nie występują dzisiaj, bo teatry w Polsce są zamknięte. Wreszcie Szopen, nieśmiertelny Szopen, bohater dramatu, zamilkł dziś w swej ojczyźnie, gdyż wykonywanie jego muzyki jest zabronione.

* * *

W imieniu poetów i pisarzy polskich, przebywających w Wielkiej Brytanji, wyrażam wdzięczność zespołowi Norwich Players i p. Monckowi za wystawienie sztuki bliskiego nam wszystkim pisarza. Pragnąłbym też dodać, iż szczęśliwi jesteśmy, że premiera tej sztuki odbywa się w historycznym Norwich, w sercu Anglii, której rozlewny zielono fiołkowy pejzaż, uwieczniony w obrazach Constable’a, przypomina nam inny pejzaż, mniej zielony może, ale równie poetyczny, pejzaż naszego kraju — ojczyzny Szopena.

October 31st to November 7th, 1942

The Maddermarket Theatre Trust Ltd.

Manager

NUGENT MONCK

Presents

The Norwich Players

in

SUMMER AT NOHANT

A Comedy in three acts

by JAROSLAV IWASZKIEWICZ

Translated from the Polish by Celina Wieniewska

Characters in the order of their on-coming :

John, Chopin's servant *A. E. P. Sand. for*

Madeleine, a country girl

Baroness Auroré Dudevant, the novelist "George Sand" *Auroré Dudevant*

Count Anthony Wodzinski, Chopin's friend and fellow countryman *Anthony Wodzinski*

Theodore Rousseau, a young painter

Clesinger, a young sculptor

Maurice Dudevant, son of George Sand *Bryan E. Pochier*

Augustine, cousin and ward of George Sand *June D. Danard*

Mlle. de Rosieres, Chopin's pupil

Solange Dudevant, daughter of George Sand *Barbara Thomson*

Ferdinand, son of a rich neighbour *Edmonds J. J. J.*

Frederic Chopin, a Polish pianist and composer

The scene is Mme. Sand's drawing room in her Chateau at Nohant, during the 1840's.

Act I. A Summer's Morning.

INTERVAL

Act II. A very sultry afternoon a few days later.

Act III. Evening towards the end of summer.

The Piano is played by Maria Geist.

Maria Geist

W. Nugent Monck

SPECJALNE ZADANIE KOŚCIOŁA

„Nowa Polska“ jest jedynym wydawnictwem w Anglii, które w całości podało tekst przemówienia wygłoszonego przez Arcybiskupa Canterbury, dnia 26 września w Albert Hall'u. W następnym numerze podamy pełny tekst przemówienia Sir Stafforda Crippsa.

Jednym ze sposobów określenia zadań, które życie stawia przed Kościołem jest stwierdzenie prawa i obowiązku Kościoła do wypowiadania swego sądu o zjawiskach i ruchach społecznych oraz ustanawiania zasad, które winny kierować porządkiem społecznym. Oczywiście, prawo Kościoła do ustanawiania zasad, rządzących życiem indywidualnym, było zawsze uznawane: co jednak podawano w wątpliwość—jakkolwiek nie zawsze w historii chrześcijaństwa—to prawo Kościoła do ustanawiania zasad, określających postępowanie wielkich zrzeszeń ludzkich, jak związki zawodowe, związki pracodawców, państwa i t.p.—oraz do wywierania swego wpływu, nie tylko na postępowanie jednostki w społeczeństwie, ale również na strukturę samego społeczeństwa. Przedział między życiem indywidualnym jednostki, a życiem społecznym większych zrzeszeń ludzkich, nie jest dłużej do utrzymania. Życie każdej jednostki jest na wskroś społeczne. Niewątpliwie, można kłaść większy nacisk na społeczny aspekt życia, jako przeciwstawny z indywidualnym, lub na indywidualny, przeciwstawny ze społecznym. Są one jednak ściśle ze sobą związane i cokolwiek dotyczy ludzkiego życia, dotyczy obu tych aspektów.

Kościół posiada prawo określania etyki społecznej, ponieważ dzięki danemu mu Objawieniu, oświełającemu wszystkie pobudki działania ludzkiego, posiadał zrozumienie człowieka i jego przeznaczenia, wynikającego z tego Objawienia. Ma obowiązek głoszenia zasad, które są zawarte w Ewangelii Chrystusa i określają postępkę ludzką: a ten obowiązek jest przede wszystkim obowiązkiem naczelnym wobec samego Boga. Nie jest on obowiązkiem pierwszym wobec społeczeństwa: społeczeństwo jednak ma prawo szukać w Kościele przewodnictwa. Oczywiście, społeczeństwo zwraca się czasami do Kościoła o przewodnictwo, lecz gdy to się zdarza, widzimy że to, czego człowiek w gruncie rzeczy pragnie jest dowiedzenie się, jak może uniknąć konsekwencji swoich grzechów bez troszczenia się o same grzechy. A w tym Kościół nie ma żadnego zainteresowania. Ma jednak obowiązek wobec Chrystusa, Pana wszelkiego stworzenia, głosić Jego naukę w całej pełni i wskazywać na dobrodziejstwa, wypływające z tej nauki dla człowieka.

Przyпускаjąc, że liczne zastrzeżenia, w stosunku do zadań społecznych Kościoła Chrześcijańskiego, powstają głównie z obawy przed tym, że Kościół może dążyć do nałożenia na społeczeństwo, składające się z ludzi różnych wyznań i bezwyznaniowych, takiego sposobu życia czy systemu organizacji, który właściwy jest tylko doskonałym Chrześcijanom. Gdybyśmy usiłowali stosować dosłownie zasady Ewangelii w polityce, prawdopodobnie popadlibyśmy w ten błąd. Jeśli jednak będziemy rozważać naukę Chrystusa jako całość—zabezpieczymy się przed tym błędem. Podstawą bowiem Chrystusowej koncepcji człowieka jest to, że człowiek nie jest zdolny żyć całkowicie na podobieństwo Boże, póki nie zostanie oświecony Łaską i nie zacznie Jej ufać. Tak więc naszym pierwszym obowiązkiem jest głosić zawsze podstawową Ewangelię i zzywać ludzi do jej przestrzegania, a następnie wyciągać zawarte w Niej wskazania, i stosować je w życiu społecznym, oraz wskazywać co najmniej te drogi, które zdają się wymagać naszego przewodnictwa.

To jest właśnie naszym obowiązkiem—obowiązkiem wobec Boga—i w tym duchu musimy podejmować nasze zadania: nie jako zagubieni obywatele, szukający po omacku rozwiązania problemu, lecz przede wszystkim, jako wyznawcy Objawienia, którzy idą przez świat, nawołując ludzi do poznania i przyjęcia Jego wskazań.

Jest rzeczą niemożliwą wyłożyć w tego rodzaju przemówieniu, a już zwłaszcza w jego wstępnej części, zasady społeczne, zawarte w Ewangelii. Próbowano to czynić wiele razy i rezultat można z góry uważać za przesądzony. Lecz jeśli w świetle społecznych wskazań Ewangelii spojrzymy na naszą społeczność, znajdziemy co najmniej dwa punkty—a nie wątpię, że jest ich dużo więcej—które zmuszają nas do zmiany istniejącego porządku społecznego i do ogłoszenia jego potępienia. Pierwszym z nich jest rozbita jedność (the broken fellowship) naszego życia społecznego. Oczywiście w tej chwili wojna zjednoczyła nas wszystkich: mamy obecnie cel, który nas wszystkich łączy i dla tego celu odkładamy na bok wszelkie nieporozumienia. Wiemy jednak, że okoliczności wojenne nie są trwałe i ufamy, że szybko się zakończą. Zarodek krzywdzącego podziału społecznego wciąż jednak istnieje i jeśli nie będziemy przygotowani do nowych okoliczności i do wstąpienia na nową drogę, wyrośnie z powrotem i wyda gorzkie owoce. Pan nasz powiedział wyraźnie, byśmy szukali najprzód Królestwa Bożego, a wtedy wszystko inne samo się ułoży: a przez to “wszystko inne” rozumiał podział gospodarczy dóbr, to, o czym w sposób prosty i bezpośredni mówi Ewangelia: “co mamy jeść, co mamy pić i w co mamy się odziać.” Jeśli zapagniemy, aby każdy z nas miał najpierw konieczne minimum dóbr materialnych, zanim ktokolwiek z nas będzie miał ich nadmiar, wtedy wszyscy będziemy ich mieli pod dostatkiem. Gdybyśmy dbali więcej o sprawiedliwość, niż o wygodę i luksus, problem podziału dóbr byłby na dobrej drodze do rozwiązania. Oczywiście byłoby jeszcze wiele zagadnień do opracowania: potrzebowalibyśmy biegłości ekonomistów i administratorów, lecz ci nie znaleźliby już nieprzewidywanych trudności.

Uważni czytelnicy Nowego Testamentu często wyrażali zdziwienie, że święty Paweł mówiąc o skłonnościach ciała, mówi o zazdrości, o walce, o buncie,—ale przez “ciało” rozumiał on taki pogląd na życie, który dotyczy głównie dóbr materialnych. Tu muszę powtórzyć raz jeszcze starą, ale podstawową zasadę, że dobra materialne ograniczone są ilościowo w czasie i że im więcej ma jeden człowiek, tym mniej mają inni ludzie, a zatem w konsekwencji wzbogacenie się jednego człowieka oznacza zubożenie innych ludzi. Nie jest to całkowicie prawdziwe, jeśli chodzi o dobrobyt ekonomiczny, który w znacznym stopniu polega na kredycie, a ten z kolei składa się głównie z czynników moralnych. Ale jest to prawdziwe w odniesieniu do rzeczy czysto materialnych: trzeba chleb smarować masłem cienko, jeśli się chce, aby starczyło masła na wiele kawałków chleba.

Natomiast nie jest to prawdziwe w odniesieniu do wszelkich rzeczy ducha, do tych wszystkich szlachetnych rzeczy, z których korzystamy dzięki wspaniałym zdolnościom duchowym człowieka. Nie jest to prawdziwe w odniesieniu do nauki, z której owoców korzystają wszyscy—do sztuki, której wpływ udziela się wszystkim—do odwagi, której wpływ jest jeszcze większy niż wpływ sztuki. Nie jest to prawdziwe w odniesieniu do miłości, radości i harmonii Ducha, które wszędzie, gdziekolwiek znajdują schron, wyrastają bujnie. Tak więc, gdyby ludzie postawili na czele szlachetne rzeczy ducha, rozprzestrzeniliby je między sobą, ponieważ tu wzbogacenie się jednego człowieka staje się bogactwem wszystkich ludzi. Jeśli zaś postawią na czele dobro materialne, doprowadzeni muszą być zawsze do rozłamów społecznych, do walk i nienawiści. Rozłam społeczny bowiem ma zawsze źródło w materializmie naszego codziennego światopoglądu. Stamtąd płynie wszelkie istotne zło naszego życia społecz-

nego. Stamtąd wypływa w ostatecznej konsekwencji bezrobocie, ów pasożyt nowoczesnego społeczeństwa oraz ograniczenie prawdziwej swobody dla tych wszystkich, którzy są zatrudnieni w dzisiejszym systemie gospodarczym.

Jednym z naszych pierwszych dążeń musi być danie prawdziwej swobody wszystkim warstwom społecznym, pamiętajmy jednak, że jedyną różnicą między swobodą a bezrobociem jest to, czy się ma pieniądze do wydania.

Tę samą myśl można wyrazić innymi słowami. Motywem, który kieruje przemysłem jest, pokrótce mówiąc, motyw zwany "motywem zysku." Sądzę, że niema nic złego w motywie zysku, jako takim. Każdy człowiek dąży do polepszenia własnego bytu oraz do zapewnienia swoim dzieciom warunków na przyszłość lepszych. Jest to naturalne, chociaż nie jest to najważniejsze.

Jeśli jednak motyw zysku góruje nad wszystkim innym, jeśli wyłącznie decyduje w naszych rozstrzygnięciach ekonomicznych i przemysłowych—staje się prawdziwym złem. To zło—według mnie nie leży w tym, że wyraża interesy egoistyczne, a przez to podrzędniejsze—choć nie każdy interes osobisty jest zły, że przypomnijmy sobie wspaniałą naukę Buttlera o miłości własnej—ale w tym, że gdy polityka ekonomiczna świata kierowana jest tym motywem, powstaje w rezultacie rozkład, którego nie można uzdrowić, zanim na miejsce poprzedniego motywu nie postawi się innego.

Zwróćmy uwagę, na przykład, na takie zagadnienie, jak umiejscowienie przemysłu. Gdzie, w jakim miejscu, ma być dana fabryka zbudowana? Jeśli jedynym względem, który miałby decydować o miejscu jej budowy byłby wzgląd zysku, wtedy zagadnienie istotnego związku między życiem wsi i miasta—między przemysłem a rolnictwem—nie będzie rozwiązane. Wytworzenie zaś tej równowagi jest jednym z ważniejszych problemów, które musimy rozwiązać w najbliższej przyszłości. Ale jakże ma być to urzeczywistnione, jeśli decyzja w tej sprawie zależy od szcuplego grona ludzi, dla których jedynym celem współpracy—jedyną podstawą ich związku—jest wydajność powierzonego im przedsiębiorstwa, oceniana, stosownie do dzisiejszych zwyczajów, w zależności od osiągniętych zysków. A motyw zysku, bez względu na to czy dotyczy on zainteresowania się wysokością płac czy dywidendami—płace i dywidendy są w równej mierze motywami zysku—nie powinien nigdy zajmować naczelnego miejsca w naszym życiu. Nie można go jednak usunąć z tego dominującego miejsca tak długo, jak długo przemysł będzie organizowany według wzorów dotychczasowych. Jakby nie byli wzniośle i społecznie nastawieni dyrektorzy prywatnych przedsiębiorstw, muszą w pięciu wypadkach na sześć, kłaść na pierwszym miejscu sprawę rentowności przedsiębiorstwa, w którym pracują, a nie interes publiczny. A jeśli nawet postawią na czele interes publiczny, jakże mamy wiedzieć, czy oni właśnie są predysponowani do oceniania tego, co jest interesem publicznym. Do tego przecież nie są powołani. Mogą słusznie powiedzieć, że to do nich nie należy. Jeśli chcemy postawić interes społeczny na pierwszym miejscu, musimy tak zorganizować nasze życie, aby ludzie, powołani do zajmowania się interesem publicznym i do jego określenia, stali ponad wykonawcami technicznymi i mieli możliwość bezstronnego kontrolowania ich pracy. Jeśli chcemy to urzeczywistnić, jeśli rzeczywiście chcemy postawić interes publiczny ponad prywatnym, musimy powziąć zasadniczą decyzję w dwóch sprawach, a sprawy te dotyczą ziemi i pieniądza.

Są cztery podstawowe elementy potrzebne nam do życia, których Bóg nam hojnie użyczył—powietrze, ogień, ziemia i woda. Elementy te istniały, zanim człowiek włożył w nie swą pracę: a jeśli chodzi o powietrze i ogień, człowiek nie wiele mógł z nimi zrobić, co najwyżej je zatruć. Przypuszczam, że gdyby możliwe było ustanowienie prawa własności w powietrzu, ustanowione ono było by od dawna i właściciele powietrza

żądaliby dziś od nas, abyśmy płacili za to, czym musimy oddychać, a coby się nazywało ich powietrzem. Ponieważ nie było to możliwe do zrobienia, więc nie zostało dokonane. Było to jednak możliwe do zrobienia z ziemią — i zostało dokonane. Wydaje mi się, że byliśmy dotąd nazbyt delikatni wobec żądań roszczyonych przez właścicieli ziemi i wody, jeśli zważymy, że interes publiczny wymaga, by ziemia i woda były dostępne dla wszystkich ludzi. Osobiście nie jestem przekonany, by ten problem mógł być rozwiązany w drodze upaństwowienia ziemi, lecz jestem pewny, że trzeba znaleźć drogi dochodzenia praw publicznych przeciw interesom prywatnych właścicieli. I tu wracamy z powrotem do głębokiej chrześcijańskiej zasady, że prawo własności jest prawem zarządzania i nie powinno nigdy służyć wyłącznie osobistym interesom. Jest to stara, mądra zasada chrześcijańska, sięgająca najdawniejszych chrześcijańskich tradycji. Odeszliśmy od niej tak daleko, że zapomnieliśmy, iż prawo własności jest z natury i konieczności rzeczy faktem społecznym, i pominęliśmy interes społeczeństwa na rzecz interesu tych, którym społeczeństwo tę własność powierzyło. Tę równowagę musimy obecnie przywrócić. Dodać tu pragnę, że ukazał się niedawno "Uthwatt Report" wykazujący w sposób optymistyczny korzyści, wypływające z kontroli inicjatywy prywatnej przez społeczeństwo. Raport ten musimy powitać z radością, pamiętając jednak, by jego zasady nie zostały w przyszłości okrojone, jako ustępstwo na rzecz praw dotychczasowych. Z góry zakładam, że nierozsądnie byłoby przypuszczać, że ludzie od razu zaczną działać z pobudek czysto społecznych. Rzeczą więc kościoła jest uczyć ich — w miarę jego możliwości — konieczności poporządkowywania interesów osobistych dobru społecznemu. Był czas, gdy ludzie uważali za oczywiste, że interesy: społeczny i osobisty godzą się z sobą. Te interesy jednak nie godzą się ze sobą, a skoro się nie godzą, to z dwóch — interes dobra publiczności — musi przeważać.

Jeśli weźmiemy pod uwagę zagadnienie pieniądza widzimy, że nasze metody zmieniły się zasadniczo w ciągu ostatnich stu a nawet pięćdziesięciu lat. Dawniej, gdy istniała wielka ilość niezależnych banków, zrozumiałe było, że te banki musiały być odpowiedzialne za kredyt. Dziś jednak, na skutek fuzji banków, doszliśmy do takiej sytuacji, w której pieniądź lub kredyt, spełniający rolę pieniądza, stał się w rezultacie monopolem, a skoro stał się monopolem winien być poddany publicznej kontroli. Wydaje mi się — choć nie twierdzę aby opinia moja była wiele warta — że niewłaściwą rzeczą jest, by kredyty były udzielane przez osoby lub instytucje prywatne. Podobnie w wiekach średnich niedopuszczalne było, by jakiegokolwiek osoby lub instytucje prywatne biły ówczesne monety: a przecież te dwie rzeczy są ze sobą równoznaczne. Pragnąłbym więc, aby banki miały ograniczone prawo udzielania pożyczek (lending power) i mogły je udzielać wyłącznie do wysokości sum powierzonych im przez deponentów, oraz aby wszelkie kredyty, wyższe ponad sumy złożone przez deponentów, udzielane im były przez jakąś odpowiedzialną władzę publiczną (public authority). Nie chcę przez to krytykować naszych banków i bankierów, którzy kierują powierzonym im systemem ze szczególną prawością, zdolnością i nastawieniem społecznym. Kierują oni jednak systemem, który jest obecnie przestarzały i stał się anomalią. Doszło nawet do tego — co prawie zawsze następuje, gdy się chce utrzymać anomalię — że system, który początkowo miał służyć ludziom, stał się systemem, któremu ludzie służą: że finanse, które miały początkowo służyć produkcji, stały się jej panem: że konsument wreszcie, którego potrzeby winny być podstawowym celem produkcji, stał się jedynie nieodzownym warunkiem zyskowego produkowania.

I to prowadzi mnie do ostatniego punktu mych rozważań. Cokolwiek się myśleć będzie o poszczególnych punktach tych rozważań, dochodzimy

w rezultacie do podstawowej zasady życia. Źródłem trudności społecznych jest grzech—owa dziwna mieszanina przewrotności i ułomności natury ludzkiej—która przemienia dobrodziejstwa natury na jej zgubę. Kościół więc musi w pierwszym rzędzie wzywać wszystkich ludzi do zwrócenia się z powrotem do łaski Bożej. Kościół nie wierzy, aby jakiegokolwiek zewnętrzne uporządkowanie struktury życia mogło zrodzić braterstwo albo powszechną dobrą wolę. Niewątpliwie, są formy ludzkich społeczeństw, które sugerują wspólnotę społeczną, są takie, które propagują rywalizację między ludźmi: lecz jakaby nie była forma zewnętrzna życia społecznego, grzech ludzki może ją w każdej chwili opanować i władać nią. Ta zaborczość natury ludzkiej, która wyraża się w społeczeństwach demokratycznych przez szukanie za wszelką cenę dobrobytu materialnego, może równie łatwo wyrazić się w społeczeństwie skolektywizowanym przez pochwylenie steru władzy państwowej i kierowanie nią dla celów osobistych. To drugie byłoby jeszcze zgubniejsze dla członków społeczeństwa, niż to co mamy obecnie.

Pierwszym obowiązkiem Kościoła było zawsze przypomnienie ludziom, że jeśli zaniedbują Boga, nie osiągną pomyślności w życiu. Tylko przez zdążanie drogami Pana mogą osiągnąć szczęście: ale chcąc iść Jego drogami, muszą poddać się Jego wskazaniom. I jeśli chcemy by tak było, jeśli chcemy rzeczywiście podporządkować nasze życie społeczne i indywidualne wyzwalającej sile miłości Bożej, musimy zespolić prawdziwe uczucie chrześcijańskie z ideałami społecznymi. Pamiętajmy, że doskonały obraz chrześcijańskiej społeczności mamy wiecznie w Eucharystii—gdzie ofiarujemy Bogu to, co jest owocem naszej pracy—chleb i wino—aby odzyskać je, namaszczone Jego łaską z powrotem i dzielić się nimi po bratersku z innymi. Zaniedbywaliśmy miłość do Boga i musimy ją w sobie z powrotem odrodzić, zarówno dla współżycia społecznego, jak i dla kierowania społeczeństwem, na podobieństwo Boże. Musimy iść drogą miłości Bożej, nawet gdyby ta droga zamienić się miała w drogę poświęceń. A gdy miłość Pana stanie się znów powołaniem naszego życia, a samo życie — tak przemysł i handel, jak rodzina i przyjaźń — stanie się wyrazem tej miłości, wtedy ujrzemy znowu Kościół w rozkwicie a nasze ideały społeczne zniszczone.

Istnieje wszakże niebezpieczeństwo—niebezpieczeństwo używania imienia Bożego, jako środka do naszych celów osobistych. A to byłoby trucizną. Trzeba nam jednak przezwyciężyć wszystkie niebezpieczeństwa i zabrać się od razu do dzieła: wierzymy bowiem, że Bóg wezwał nas do wypełnienia Jego celów i do przygotowania dnia przyjścia Jego Królestwa.

I takie jest oto zagadnienie, które w ostatecznym wyniku staje przed każdym człowiekiem, tu czy gdzie indziej. Przed wszystkimi nami staje wezwanie: czy usłuchacie i pójdziecie za wskazaniem Chrystusa? Czy poddacie wasze myśli i dążenia, wasze nadzieje i plany, zarówno osobiste jak i ogólnoludzkie, kierownicemu wpływowi Ducha Świętego? Mówiąc krótko—czy będziemy uczniami Pana we wszystkich sprawach naszego życia? Wierzę, że nasza odpowiedź będzie wyrażona słowami starego hymnu misyjnego:

Będziemy—dzięki Twej Łasce, o Panie,
Oto odpowiedź, co płynie ku niebu.

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI I ZAGADNIENIA SPOŁECZNE

Wielki meeting urządzony w Albert Hallu, w sobotę 25⁶ września, przez Christian Industrial Fellowship, na którym dwaj arcybiskupi Canterbury Yorku i oraz Sir Stafford Cripps, ongi przywódca lewicy Labour Party i apostoł wspólnego frontu z komunistami, wystąpili z krytyką obecnego ekonomicznego i społecznego porządku ekonomicznego wywołał olbrzymie poruszenie w brytyjskiej opinii publicznej.

Przez blisko dwa tygodnie kolumny listów do redakcji Times'a i Daily Telegraph'u poświęcone były prawie wyłącznie temu wystąpieniu. Wydawać się mogło, że to co się stało było rzeczą rewolucyjną i zgoła niespodzianą. Tymczasem nieoczekiwanym był jedynie fakt, że na platformie obok dwóch najwyższych dostojników Kościoła anglikańskiego znalazł się działacz socjalistyczny. A i tutaj były okoliczności „łagodzące”. Mniejsza już o to, że Sir Stafford Cripps jest dzisiaj ministrem i leader'em Parlamentu. Ale przecież Sir Stafford, syn Lorda Parmoora, radcy prawnego Kościoła anglikańskiego i jednego z najwybitniejszych świeckich przedstawicieli tego Kościoła, sam także jest wiernym synem Kościoła interesującym się jego sprawami, tak że jego obecność na manifestacji urządzanej przez organizację religijną nic w sobie dziwnego nie miała.

Sam fakt zaś, że arcybiskupi publicznie wystąpili, głosząc konieczność reform społecznych, potępiając współczesne formy kapitalizmu, walcząc z bankami, był jedynie kulminacyjnym momentem ewolucji, która się rozpoczęła już względnie dawno, bo od konferencji w sprawie chrześcijańskiej polityki, ekonomii i praw obywatelskich, zwołanej w roku 1924 w Birmighamie.

W 1926 roku, czasu tego wielkiego strajku węglowego, który w pewnym momencie przerodził się w strajk jeneralny, biskupi anglikańscy wystąpili oficjalnie z propozycją mediacji. Prawda, że do mediacji nie doszło a ówczesny premier p. Baldwin, próbę tę zbył kiepskim żartem, zapytał bowiem w parlamencie coby biskupi pomyśleli o tym, gdyby rząd zwołał Federację właścicieli hut, by rozstrzygnęli sprawę modyfikacji creda. Faktem jednak jest, że ta inicjatywa biskupów wskazywała wyraźnie, że kościół co raz mniej jest dla spraw świeckich obojętny.

A w 1941 roku konferencja w Malvern, zwołana pod auspicjami tegoż samego Christian Industrial Fellowship pod przewodnictwem ówczesnego arcybiskupa Yorku, a obecnego arcybiskupa Canterbury, Williama Temple, powzięła uchwały, równie daleko idące, jak oświadczenia w Albert Hallu.

Wszakże jedna z tych uchwał mówiła: „Wierzimy, że w sytuacji obecnej utrzymanie takiej struktury społecznej, w której własność głównych bogactw przemysłowych może być skoncentrowana w ręku prywatnym stanowi poważne niebezpieczeństwo. W ten sposób bowiem najbardziej członkowie społeczności mogą być pozbawieni niezbędnych środków do życia. Z drugiej strony póki te bogactwa będą własnością prywatną ludzie będą walczyli o zdobycie ich dla siebie. W rezultacie pozostanie system życia oparty na supremacji motywów ekonomicznych, sprzeczny z etyką chrześcijańską... nadszedł czas, kiedy chrześcijanie muszą głosić konieczność dążenia do formy społecznej, któraby utrzymując istotne wartości indywidualnej osobowości ludzkiej uniemożliwiła kontynuację wyzysku nadużyć.”

Część dostojników kościelnych idzie jeszcze dalej niż arcybiskupi Yorku i Canterbury. W maju roku bieżącego zebrała się w Leicester konferencja kleru pod przewodnictwem biskupa Bradfordu. Konferencja ta przyjęła następującą deklarację: „Wierzimy że własność prywatna wiel-

kich produkcyjnych bogactw społecznych jest przeciwna sprawiedliwości Boskiej i nieuchronnie prowadzi do życia egoistycznego. Wierzymy, że wspólna własność tych bogactw, z uwzględnieniem wolności indywidualnej, jest bliższą woli Boskiej co do życia ziemskiego, tak jak została ona objawiona przez Jezusa Chrystusa. Zobowiązujemy się działać w tym kierunku, uważając tę pracę jako istotną część naszego obowiązku chrześcijańskiego.“

Konferencja ta postanowiła zorganizować komitet składający się wyłącznie z księży, którzy zobowiążą się pracować w celu doprowadzenia do przejścia z systemu własności prywatnej na system własności zbiorowej.

Wystąpienie w Albert Hallu nie było więc jakimś nieoczekiwanym sporadycznym czynem ale, było jednym z ogniw ewolucji w życiu Kościoła anglikańskiego, datującej nie od wczoraj.

Zmiana ta ma charakter rewolucyjny w stosunku do tego, czym Kościół anglikański był wczoraj, jednocześnie jednak nawiązuje do najwcześniejszych tradycji tego kościoła.

Za czasów Tudorów bowiem i pierwszych Stuartów Kościół anglikański mocno jeszcze trzymał się doktryny średniowiecznego kościoła katolickiego, doktryny przyznającej kościołowi i władzom kościelnym prawo ingerencji w stosunki ekonomiczne, uznającej zakaz lichwy i zasadę sprawiedliwej ceny. Ówczesne zaś sekty nonkonformistyczne zarówno angielskie jak szkockie trzymały się doktryny kalwińskiej uznającej zupełną swobodę stosunków ekonomicznych i wyznaczającą Kościołowi jedynie troskę o zbawienie duszy i o moralność. Walka purytanów z arcybiskupem Laudem, doradcą Karola I, była nie tylko walką dwóch doktryn religijnych ale jednocześnie i walką mieszczaństwa przeciw wszelkim ograniczeniom zarówno wolności gospodarczych, jak religijnych.

Powoli jednak sytuacja poczęła się zmieniać. Kościół anglikański za Tudorów i Stuartów walczył z mieszczaństwem w oparciu o feodalną arystokrację i o króla. Był reprezentantem ginącego świata, ale jako kościół państwowy był reprezentantem tych sfer, co jeszcze władzę miały w ręku. Gdy w wieku XVIII a bardziej jeszcze w XIX i XX to samo mieszczaństwo, które było rewolucyjne w wieku XVII, stało się z kolei warstwą rządzącą i konserwatywną, Kościół urzędowy zaczął odzwierciedlać poglądy zwycięskiego mieszczaństwa. *Laissez faire* ekonomiczne stało się hasłem właśnie Kościoła anglikańskiego. Jedynym ruchem społecznym, w którym przedstawiciele tego Kościoła wzięli czynny i wybitny udział, to walka o zniesienie niewolnictwa na początku wieku XIX.

Jednocześnie zmienił się charakter kościołów nonkonformistycznych. Były one zawsze bliższe ludności od kościoła anglikańskiego, chociażby przez to, że laicy w ich organizacji odgrywali decydującą rolę, że nie było hierarchii kościelnej i że przez to były one bardziej demokratyczne. Powoli Kościół oficjalny stawał się kościołem sfer posiadających, kościoły nonkonformistyczne, szczególnie kościoły metodystyczne kościołami biedoty, kościołami dochodzącej do głosu klasy robotniczej. W tych warunkach kościoły nonkonformistyczne nie mogły nie zainteresować się sprawami społecznymi: nie mogły nie wziąć udziału w walce o poprawę bytu klasy robotniczej. Gdy na początku XX wieku po raz pierwszy poważniejsza liczba posłów nowopowstałej Labour Party znalazła się w parlamencie, przeszło 70% z pośród nich było kaznodziejami nonkonformistycznymi. Do nich należeli i dwaj późniejsi wielcy przywódcy Labour Party — Jerzy Lansbury i Artur Henderson.

I między klerem anglikańskim znajdowali się ludzie przekonani lewicowych. Takim był przyjaciel Chestertona, jeden z najoryginalniejszych ludzi Anglii XX wieku, Conrad Noel, który po rewolucji bolszewickiej wywiesił na kościele flagę z sierpem i młotem. Podobnie zajął stanowisko wysoki dostojnik kościelny, Hewlett Johnson, dziekan Canterbury, który

formalnie nie należąc do partii komunistycznej jako „fellow traveller“, jest jedną z najmocniejszych jej ości. Były to jednak jedynie indywidualne wyjątki, nie mówiące za kościół i nie mające wewnątrz kościoła żadnego autorytetu.

Kościół, jako taki, był identyfikowany jeżeli nie z partią torysowską, to co najmniej z istniejącą organizacją społeczną.

Jeżeli więc dzisiaj apostołami reform stają się najwyżsi dostojnicy kościelni to jednak oznacza to, że coś się w kościele zmieniło.

I to ma znaczenie nie tylko w sferze religijnej.

Pamiętajmy bowiem, że w odróżnieniu od Kościołów nonkonformistycznych, które są zwykłymi zgromadzeniami wiernych, Kościół anglikański jest instytucją państwową. Wyraża to się w tym, że jest utrzymywany przez państwo, wyraża się w tym, że biskupi są ex officio członkami Izby Lordów. Poza tym Kościół ma wielki wpływ na szkolnictwo nie tylko przez to, że utrzymuje szereg szkół początkowych i średnich ale i przez to, że kierownikami największych szkół publicznych jak Harrow czy Eton są zazwyczaj księża i że nieraz takie dyrektorstwo szkoły poprzedza osadzenie dyrektora na stolcu biskupim.

Oczywiście, jeżeli cały czas mówiliśmy o Kościele to był to jedynie dogodny skrót. W książce swej „Christianity and Social Order“ arcybiskup Canterbury mocno podkreśla, że wszelkie jego wystąpienia w sprawach społecznych są jedynie wystąpieniami indywidualnego chrześcijanina, że nie angażują Kościoła, jako takiego. Istotnie biskup Gloucester np. jest nadal skrajnym reakcjonistą. Tym nie mniej wobec hierarchicznej organizacji Kościoła anglikańskiego fakt, że dwaj jego najwyżsi dostojnicy arcybiskupi Canterbury i Yorku na wielkim wiecu wystąpili z przemówieniami domagającymi się reform, usprawiedliwia użycie tego skrótu.

Nic więc dziwnego, że wyąpienie to wywołało tak gwałtowną reakcję w sferach identyfikujących się z dawnym porządkiem.

Co ciekawsze, że i na lewicy wystąpienie arcybiskupów nie było powitane z jednomyślnym entuzjazmem. Najlepiej te wątpliwości wyraziła socjalistyczna „Tribune.“ Pisze ona: „Kierownicy Kościoła mają do wyboru dwie drogi. Mogą albo w ogóle nie zajmować się polityką, albo też mówić o niej w sposób precyzyjny, pozwalający na natychmiastowe wcielenie głoszonych zasad w czyn. Zabawianie się w dwuznaczne i kwieciste przemówienia na tematy istotnie żywotne dla ludzi, znaczy to budzić mocne wzruszenia a potem pozwolić na bezowocne rozpląnięcie się tych wzruszeń w piaskach braku decyzji i niezrozumienia. To właśnie jest istotą demagogii: budzenie wzruszeń, których nie można przeobrazić w czyn. Przypuszczamy, że kierownicy tego nowego ruchu odpowiedzą nam, że nie mogą bliżej sprecyzować swych celów, gdyż wprowadziłoby to do kościoła kontrowersję polityczną. Jest to prawda, ale to właśnie jest argumentem by Kościół się nie wtrącał do polityki. Sprawy świeckie nie powinny być obiektem kontemplacji religijnych.“

Ten zły humor części lewicy jest również zrozumiały zresztą, jak zły humor prawicy. O ile prawica widzi z przerażeniem, że Kościół, który miała za swą oporę i swego sprzymierzeńca przechodzi na stronę świata nowego, o tyle rewolucyjna lewica obawia się, że wpływy kościoła na lewicy wzmocnią skrzydło reformistyczne ruchu robotniczego.

Szczególnie zaś bolesnym dla „Tribune“ było to, że w Albert Hallu, na trybunie mówców, znalazł się jeden z jej założycieli, że wiec ten był stwierdzeniem, że Sir Stafford Cripps stanowczo zerwał ze swą partyjną przeszłością.

Gdy William Temple został arcybiskupem Canterbury nominacja ta została uznana za fakt przełomowy w dziejach Kościoła anglikańskiego. Ocena ta nie zawiodła.

SPIS RZECZY

	Str.
JÓZEF WITTLIN	
<i>Wiersze</i>	617
MARJA DANILEWICZOWA	
<i>Wspomnienie o Wacławie Berencie</i>	618-624
ANTONI SŁONIMSKI	
<i>Listopad—wiersz</i>	624
IGNACY WIENIEWSKI	
<i>Z Dziejów Uebermenscha i Herremvolku</i>	625-632
ŁUCJAN ŁAGNIEWSKI	
<i>Grudzień 1939</i>	633-647
BOLESŁAW POMIAN	
<i>George i Pani Żyrafa</i>	647-658
EUGENIUSZ CĘKALSKI	
<i>Ostatnia jesień</i>	658-666
MARJAN PIOTROWSKI	
<i>W obozie jeńców</i>	666-671
ADAM PRAGIER	
<i>Rejon środkowo — europejski</i>	671-678
FRANCISZKA THEMERSONOWA	
<i>Trzy rysunki</i>	679-680
ALEKSANDER PISKOR	
<i>Koniec japońskich liberalów</i>	681-684
STANISŁAW BALIŃSKI	
<i>Przemówienie</i>	685-688
WILLIAM TEMPLE	
<i>Specjalne zadanie kościoła</i>	689-693
(cep.)— <i>Kościół anglikański i zagadnienia społeczne</i>	694-696

3/-

Published by "NOWA POLSKA" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (subsidiary of STAPLES PRESS LIMITED)
83-91 Great Titchfield Street London W 1